

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/627

1999



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

K. CZYŻEWSKI: WARIACJE KOSOWSKIE

J. MONDRY: W KIERUNKU SPRAWNEJ ARMII

A. MICEWSKI: DEWALUACJA SŁÓW

**INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW ROCZNIKA
„KULTURY” ZA ROK 1999**

**REDAKCJA „KULTURY” SKŁADA
SWOIM PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE**

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Inż. Mieczysław Bornet, Toronto, ON (Kanada) – po raz 30-ty . . .	F. 620,00
Dla uczczenia pamięci Ryszarda Sopera, adwokata, w czasie wojny Delegata Ambasady Polskiej w Uzbekistanie, więźnia sowieckiego, byłego zastępcy rzecznika dyscyplinarnego Rady Adwokackiej w Warszawie, zmarłego w Londynie 30 września 1999 r. – Maria i Albin Ossowsy – £. 100,00	F. 1.000,00
Leda i Henryk Giedroyciowie, Paryż – zamiast kwiatów na grób naszej serdecznej przyjaciółki Krystyny Szomańskiej zmarłej w Londynie 20 listopada 1999 r.	F. 500,00
Stefan Kuszell, Richmond, Wielka Brytania – pamięci Krystyny Szomańskiej, zmarłej 20 listopada 1999 r. – £. 50,00	F. 500,00
François Prause, Chianguai, Tajlandia – po raz 45-ty	F. 300,00
Naszej więcej niż przyjaciółce Krystynie Szomańskiej, zmarłej dzisiaj, w sobotę 20 listopada 1999 r. w Londynie, zamiast kwiatów – Zofia i Kazimierz Romanowiczowie z córką Barbarą	F. 200,00
Lucjan Raubo, Hobart, Tasmania (Australia) – po raz 7-my	F. 270,00
Franciszek Strociak, Park Ridge IL, USA – po raz 39-ty – dol. 91,00	F. 540,00
Henryk Zygadlo, Soller, Mallorca (Hiszpania) – po raz 11-ty	F. 230,00
Zamiast kwiatów na grób naszej ukochanej przyjaciółki śp. Krystyny Szomańskiej, zgodnie z jej wolą – składamy na Instytut Literacki – £. 50,00 – Sława Rumistrzewicz, Krystyna z córką, Andrzej z rodziną	F. 500,00

DZIĘKUJEMY

NOTATKI REDAKTORA

Krzysztof Miodowski	139
Leszek Sosnaga	141
Maria Danilewska Zielińska	145
Witold Lejterber	148
	150
	158
	159
	150

Wariacje kosowskie (1)

Wspiąłem się na wzgórze u kresu Macedonii. Dalej już nie mogłem iść. Zaciągnięta mgłami, rozpościerała się przede mną nieprzejrzysta toń Kosowa – krainy, która imię swe wzięła od czarnych ptaków zrywających się ku wolności. Tak mi przynajmniej tłumaczył Agim Čavdarbasha, rzeźbiarz. Ale jego ptaki, usadzone na zielonej trawie ogrodu w wiosce Čaglavica nieopodal Prištiny, otoczone bliskim sąsiedztwem serbskich domów, krzyczącobiałe, nosiły na sobie chropawe pręgi. W ich marmurowopowabną skórę wżerały się pęta, niewidoczne z oddali, różne od reszty nie barwą lecz fakturą materiału. Dopiero przy dotyku stawało się oczywiste dlaczego żaden z nich nie ma rozwiniętych skrzydeł i nie zrywa się do lotu. Szorstkość dawała inny odcień bieli, który ranił wolność ciężarem ponad jej siły.

Wtedy, stojąc na granicy, czułem jakbym dotykał białych kosów Agima – nasze europejskie nadzieje, wiara i miłość, wolność, równość i braterstwo, pozostawały śmiertelnie niewidocznie spętane. Był marzec 1999 roku. Rdzawy zmierzchny cedził ciemnisty osad na dno krainy otoczonej zewsząd pasmami gór, niby do dymiącej kadzi, z której Sybilla odczytuje złowrogą wyrocznię. Kosowo przyginało duszę do samej ziemi. Ostatnie ptaki, ścięte zmrokiem nieuchronności, spadały w otchłań śmiertelnego snu, z którego nic nie wróżyło przebudzenia.

Doliną ciągnął sznur pojazdów. Uchodzili wszyscy, którzy przybyli tu ze świata, by powstrzymać anioła zagłady. Stacjonowali w Kosowie od października zeszłego roku, kiedy to po kolejnych masakrach ludności albańskiej w rejonie Dre-

nicy, odkrytych przez dziennikarzy Reutera i Human Right Watch, NATO zagroziło nalotami, a Richard Holbrook negocjował z Miloševićem wycofanie części wojsk serbskich i powrót wypędzonych, co miało nadzorować dwa tysiące międzynarodowych wysłanników. Widziałem ich twarze z bliska, z pobocza szosy, twarze obserwatorów OBWE, lekarzy, dziennikarzy, działaczy organizacji humanitarnych i praw człowieka. Nie patrzyli prosto w oczy, złowrózebni, świadomi grozy nadciągającej w miejsce przez nich opuszczone, które powoli za nimi spowijała ciemność. Teraz tu, w Kosowie, wybiło jej źródło. Mogłem uciekać.

Na lotnisku w Skopje panował przeraźliwy tłok i panika. Posiadanie biletu z rezerwacją nie dawało jeszcze gwarancji miejsca w samolocie. Na szczęście miałem lot łączony, musiałem zdążyć w Wiedniu na samolot do Budapesztu, więc przeprowadzili mnie poza kolejką... Do autobusu, który miał już ruszyć w stronę samolotu, podszedł porządkowy w ciemnych okularach i wskazując palcem dwie osoby w ściśniętej jak śledzie gromadzie pasażerów, powiedział: „Pan i pan, wysiadać...”

Lecę nad Kosowem, Europejczyk w ucieczce. Już zaraz będzie dobrze, na Schewechat znam każdy zakamarek, pójdę na dobrą „wiedeńską” spokojnie, bez przepychania się, z kulturą...

W dole blisko czterdziestotysięczne siły serbskie zbliżają się od północy do granic Kosowa. Znowu przychodzi czas na generała Ratko Mladicia, wstawionego czystkami etnicznymi w Bośni, i na Arkana, przywódcę paramilitarnych bojówek. Zaledwie dwa dni upłynęły od zawieszenia konferencji pokojowej w Rambouillet i Paryżu, zakończonej fiaskiem, bo tylko jednostronnym podpisaniem porozumienia przez stronę albańską. Holbrook poleci jeszcze do Belgradu, będzie groził nalotami, ale nic już nie powstrzyma przygotowanej przez dowódców serbskich „Operacji Podkowa”, która ma być wreszcie „ostatecznym rozwiązaniem” problemu kosowskiego, dla którego sednem nie jest kwestia takich czy innych praw Albańczyków, czy też ich dyskryminacja, lecz „zasadnicza zmiana struktury etnicznej odwiecznie serbskiej ziemi”. Gdy za cztery dni, 24 marca, zaczną spadać na Jugosławię pierwsze bomby NATO, ofensywa serbska będzie już w pełnym toku

i dziesiątki tysięcy Kosowian dzieląc będą los wygnańców z własnych domów. Świat zacznie mówić o początku wojny, ale dla Serbów i kosowskich Albańczyków wkroczy ona jedynie w nową fazę. Obie strony wybrały wojnę już wcześniej.

Milošević jeszcze w październiku 1991 roku, na konferencji w Hadze, odrzucił plan lorda Carringtona, który dawał Serbom mieszkającym w Chorwacji i Bośni bardzo szerokie prawa, włącznie z odrębnym parlamentem i podwójnym obywatelstwem. Wiedział, że oznacza to również przyznanie podobnych praw Albańczykom w Kosowie. Zasada, o której wówczas się mówiło „KKK”, „Krajina kao Kosowo” (Krajina jak Kosowo), nie interesowała go. Wołał poświęcić Serbów z chorwackiej Krajiny, by kwestię Kosowa rozstrzygnąć według własnego planu. Pierwszym jego etapem było wprowadzenie w Kosowie apartheidu, który przez wiele lat w Europie, jak i w większości środowisk serbskiej opozycji, pozostał przemilczany i zamaskowany oportunistycznym polityków. W ciągu kilku miesięcy od lipca 1990 roku 90% Albańczyków zwolniono z pracy w sektorze państwowym. W następnym roku usunięto ze szkół i wyższych uczelni około 45 tysięcy albańskich wykładowców i studentów. Raporty organizacji międzynarodowych mówiły o najdrastyczniejszym w Europie łamaniu praw człowieka, ale nikt tego nie słuchał. Opublikowany w Brukseli raport Konferencji Wolnych Związków Zawodowych już w 1993 roku zwracał uwagę, że „masowa czystka etniczna w instytucjach kosowskich ujawnia, że jej celem nie jest dyskryminacja etniczna na różnych poziomach, lecz radykalna zmiana struktury narodowościowej w Kosowie.” Wyglądało na to, że Milošević czeka tylko na odpowiedni moment. Chciał konfrontacji, nie dialogu i współpracy. Jednym z pierwszych kroków jakie poczynił wobec elit albańskich, był atak na polityków znanych ze swej projugosłowiańskiej postawy, takich jak Azem Villasi i Mahmut Bakalli.

Tymczasem reakcja kosowskich Albańczyków wyraźnie nie była po myśli reżimu w Belgradzie. W ich środowisku wraz z rokiem 1989 skończyła się era komunistycznych działaczy dawnego systemu, na których miejsce weszła młoda inteligencja, skupiona w takich organizacjach jak Stowarzyszenie Filozofów i Socjologów Kosowa oraz Stowarzyszenie

Pisarzy Kosowa, któremu przewodniczył Ibrahim Rugova. Ich pierwszym manifestem była, napisana w duchu postawy Gandhiego, petycja „Za demokracją, przeciw przemocy”. Zyskawszy duże poparcie społeczne, w grudniu 1998 roku tworzą własną partię polityczną, Demokratyczną Ligę Kosowa, której przewodniczącym zostaje Rugova. Po tym, jak w 1990 roku Milošević pozbawił Kosowo autonomii i rozwiązał kosowski parlament, Albańczycy w 1991 roku ogłaszają Kosowo republiką (uznaje ją jedynie Albania), a w roku następnym, przytłaczając większość głosów, wybierają Ibrahima Rugovę na swego prezydenta. Opowiadają się za stopniowym dążeniem do niepodległości, ale wyłącznie na drodze demokratycznej i bez użycia przemocy. Narzucony im przez władze w Belgradzie system zniewolenia, wymusił na nich konieczność samoorganizacji, utworzenia podziemnego państwa z własnym rządem, systemem edukacji, ochrony zdrowia itd., finansowanym z tzw. „podatku niepodległościowego” (3% miesięcznych dochodów), który zgodziła się płacić na rzecz Kosowa cała diaspora albańska. W rezultacie dobrze ich przysposobiło do funkcjonowania w warunkach wolnego rynku, prywatnej przedsiębiorczości i samorządności. Natomiast Serbowie, paradoksalnie, pozostając w pozycji państwowo uprzywilejowanej, uzależnieni od „państwowego garnuszka”, stali się zakładnikami jego biedy i korupcji, co szybko stało się widoczne gołym okiem w obrazie sytuacji materialnej współmieszkańców Kosowa. Rodziło to dodatkowe napięcia, których i tak nie brakowało w przeciągu lat 90-tych. Innym ich źródłem byli serbscy uchodźcy z Bośni i Krajiny, których rząd nie chciał wpuścić do Belgradu, odmawiał im nawet jugosłowiańskiego obywatelstwa, wymuszając jednocześnie, najczęściej wbrew woli samych zainteresowanych, ich osiedlanie się w Kosowie, co z kolei radykalizowało postawy Albańczyków. Jedną z pierwszych akcji, dzięki której dała znać o swoim istnieniu partyzantka kosowska, było podłożenie w lutym 1996 roku pięciu bomb pod znajdujący się w Prizrenie ośrodek dla serbskich uchodźców z Krajiny.

Rugovie coraz trudniej będzie utrzymać tak powszechne poparcie dla taktyki biernego oporu. Milošević, któremu nigdy już później nie uda się uzyskać tak absolutnego poparcia jak w roku 1990, będzie utrzymywał się przy władzy dzie-

ki koalicjom, w czym pomoże mu w pewien sposób strategia przywódców albańskich – bojkotując wybory, za każdym razem oddadzą zwolennikom Miloševicia 40 miejsc w parlamencie, które wystarczyłyby może do jego obalenia. Inna rzecz, że opozycja serbska nawet nie podejmuje rozmów z Albańczykami, by wspólnie doprowadzić do zmiany władzy w Jugosławii.

Gdy w 1996 roku na arenę wydarzeń wstępuje Wyzwoleńcza Armia Kosowa, dla Miloševicia pojawia się nowa szansa do wykorzystania, a w każdym razie znacznie bardziej „wygodny” partner dla jego kosowskich planów niż pacyfista Rugova. UÇK (Ushtria Clirimtare e Kosoves) ogłosiła swe powstanie pod koniec 1992 roku, ale długo nikt nie wierzył w jej istnienie, mówiono nawet o serbskiej prowokacji. Po raz pierwszy Kosowianie zobaczyli ich umundurowanych na pogrzebie nauczyciela zabitego przez serbską policję w wiosce Llaushe w 1997 roku. Usłyszeli wtedy od nich słowa, które długo sobie potem powtarzano: „Będziemy walczyć póki ostatni serbski policjant i żołnierz nie opuszczą tego obszaru”. Dużo by mówić o maoistowskiej ideologii leżącej u początków tego ruchu, o koligacjach z komunistycznym reżimem Envera Hodży oraz powiązaniach z mafią i różnego rodzaju przemytem. Ale czasy się zmieniały, zmieniały się władze organizacji i struktura jej członków, zmieniał się kontekst w którym działała. Dla mieszkańców Kosowa pod koniec lat 90-tych, zdesperowanych brakiem rezultatów umiarkowanej polityki ich przywódcy i zaostrzającym się aparatem represyjnym władz w Belgradzie, partyzanci UÇK stali się obrońcami i nadzieją na spełnienie marzeń o wolnym Kosowie. Niechybnie zbliżał się czas konfrontacji.

Gdy wiosną 1997 roku rozpoczęły się rozruchy w Albanii, pogrążając cały kraj w anarchii, do Kosowa przedostaje się blisko milion sztuk broni zrabowanej w magazynach wojska i policji. Broń jest wprawdzie marnej jakości, ale partyzanci poczuli się pewniej. Tymczasem w grudniu tego roku, w imieniu strony serbskiej, generał Mamcilo Perisić zapowiada dużą operację wojskowo-policyjną w Kosowie. Przełomowy okazuje się miesiąc luty 1998 roku. W odpowiedzi na zabójstwo przez UÇK dwóch policjantów, Serbowie niszczą i palą ponad dwadzieścia wiosek w rejonie Drenicy, zabijając ponad sto osób, głównie starców, kobiety i dzieci.

Czy już wtedy można mówić o początku wojny? Gdyby kierować się przepowiednią „Wojna zaczęła się w Kosowie i w Kosowie się skończy”, to pojawiła się ona jeszcze w roku 1980, podczas majowych manifestacji mieszkańców domagających się dla Kosowa statusu pełnoprawnej republiki, krwawo stłumionych przez policję. Tak więc w pewnym sensie od tamtego już czasu trwał w Kosowie stan wojny. W lutym 1998 roku nastąpiła niewątpliwie nowa jej faza. Jeśli liczba partyzantów UÇK pod koniec 1997 roku wynosiła 300 osób, to po masakrze w Drenicy wzrosła do 15 tysięcy. Tak poważnie wzmocniona UÇK przystąpiła do ofensywy, wyzwalając w ciągu pięciu miesięcy ponad 30% terytorium republiki. W lipcu rozpoczęła się wielka ofensywa wojsk serbskich. Międzynarodowa Federacja Praw Człowieka alarmuje o ponad stu tysiącach Albańczyków wygnanych ze swych domów. Władze Czarnogóry po przyjęciu 40 tysięcy uchodźców informują, że nie mogą więcej i zamykają granicę. Raport „Lekarzy bez granic” mówi o „licznych przypadkach zbiorowych egzekucji, odciętych głów, wylupionych oczu, obciętych uszu, zbiorowych grobów”. Oczywiście ofiary istnieją również po stronie serbskiej, giną Cyganie i Goraniecy (Słowianie wyznania muzułmańskiego), ale proporcje są takie jak w Drenicy, albo jeszcze bardziej na niekorzyść Albańczyków. Dziennikarze mają drogę odciętą do tych wydarzeń, niewiele informacji przenika do opinii publicznej, a brak obrazów telewizyjnych sprawia, że politycy nie traktują sprawy Kosowa wystarczająco poważnie. Dlatego wrześnieowe przedarcie się dziennikarzy Reutera i Human Right Watch do rejonu Dranicy i odkrycie tam nowej masakry było tak istotne, pociągnęło za sobą działania wspólnoty międzynarodowej i zawiesiło na czas jakiś walki zbrojne. Ale jeszcze w Boże Narodzenie tego roku rusza serbska ofensywa w region Podujeva w północnym Kosowie. Belgrad mówi o „ograniczonej operacji mającej na celu schwytanie zabójcy serbskiego policjanta”, na co szef misji obserwatorów OBWE, Walker, zauważa uszczypliwie: „Zawsze mnie dziwiło, że czołgi są potrzebne do poszukiwania tych, których nazywa się kryminalistami”. Międzynarodowy Czerwony Krzyż podaje, że w wyniku tej ofensywy ponad 6 tysięcy Albańczyków musiało opuścić swe

domy. W oficjalnych statystykach liczba wygnanych Kosowian w całym 1998 roku przekracza 300 tysięcy.

Tak, ta wojna nie zaczęła się w momencie, kiedy NATO rzuciło pierwsze bomby na Jugosławię. Wtedy, gdy leciałem samolotem nad Kosowem, nie było już innej możliwości, by powstrzymać posuwającą się w dole armię, dowodzoną przez najlepszych w Europie specjalistów od czyszczenia etnicznego. Jednocześnie było już za późno, by ustrzec mieszkańców Kosowa przed eksterminacją i wypędzeniem. Teraz przychodziło zapłacić cenę za kosowski letarg społeczności międzynarodowej, za tragiczną w skutkach niefrasobliwość konstruktorów porozumienia pokojowego z Dayton, którzy pominęli zupełnie problem Kosowa, nie przygotowując dla niego żadnego rozwiązania. A był to ostatni może moment, kiedy można było uprzedzić katastrofę. Przeczuwało ją tak wielu i tak wielu okazało się bezsilnych.

W chwili, gdy obserwowałem z samolotu małe czołgi w dole, posuwające się wzdłuż białego pasemka drogi, powrócił do mnie pewien sen z dzieciństwa, powtarzający się potem, przywołujący przeczucie jakiejś katastrofy, która czai się tuż za krawędzią wszystkiego, w co się bawię. Największy lęk budziło nie to, co się miało stać, lecz sama nieuchronność zbliżania się czegoś mrocznego, co posiadało swój wibrujący dźwięk i pozostawiało słodkawy posmak w ustach. Teraz coś podobnie niepowstrzymanego koncentrowało się na północnych rubieżach Kosowa. Myślałem o różnych dyskusjach dowodzących wyższości jednego narodu nad drugim, o megalomanii naszej cywilizacji, o kłamstwie zaklętym w mitach, kulturze i polityce, o poczynaniach w imię interesu własnego, o tchórzliwych unikach i inteligentnych wymówkach odwołujących od zmierzania się z rzeczywistością taką jaka ona jest. To wszystko docierało do mnie w postaci rozmów ze znajomymi, spotkań i lektur, stanowiło naturalny element podróży i życia na pograniczu, ale teraz dopiero zaczęło ujawniać swą prawdziwą naturę, trucicielską, stając się nieuchronne, nieodwołalne, nie-do-zagadania, skoncentrowane w tym wojsku w dole, już przygotowanym ideologicznie i emocjonalnie do dokonania eksterminacji sąsiedniego narodu. Byłem prze-

rażony, śniłem w samolocie koszmarny dziecięcy sen, który nie był już snem. Za wszystkim w co bawiliśmy się w Europie, czaiła się katastrofa.

○ Rozmyślałem oczywiście o Serbach, o Jugosłowianach, których znałem wielu i do których często podróżowałem. Przypominałem sobie ten ich gest ręki z rozmachem wyrzucanej z dołu w górę, przed twarzą, który tak często pojawiał się podczas rozmowy, gest podkreślający pewność ich racji, a jednocześnie starający się za jednym zamachem uciąć wszelkie wątpliwości i komplikacje z tą racją związane, których istnienie sami przeczuwali. Przypominałem sobie zwrot „ne ma problema”, powtarzany równie często, jak zapewnienie o tym, że z polityką nie mają nic wspólnego, co miało zwalniać od odpowiedzialności; i jeszcze to, że każdą krytykę zwróconą choćby w stronę prezydenta, któremu byli przeciwni, brali przeciwko sobie, nie potrafiąc poradzić sobie z urażoną dumą narodową; i jeszcze okrzyki szlachetnie protestujących w obronie demokratycznych wyborów w Belgradzie, rzucane w stronę policjantów: „Nie nas bijcie. Idźcie do Kosowa!” i jeszcze te zwroty o kobietach albańskich „maszynkach do robienia dzieci”, odnajdywane w najlepszych pismach literackich; i jeszcze to przekonanie o cywilizacyjnej wyższości, bo gdyby nie oni, Serbowie, to Albańczycy pasaliby jeszcze owce w górach... Jugosławia wyciągnęła do nich rękę, pomogła im, a oni, niewdzięcznicy, teraz chcą niepodległości (i w tym właśnie momencie następuje ten gest, szybki, by w porę uciąć wszelkie uwagi o tysiącach ofiar jakie to „wyciągnięcie ręki” za sobą pociągnęło, o wcieleniu Albańczyków przemocą do federacji jugosłowiańskiej, bez pozostawienia im jakiegokolwiek wyboru).

Kosowo od wielu lat było przekleństwem Serbów. Powstrzymywało ustanowienie demokracji, która – zapewniwszy swobody obywatelskie i wolne wybory – mogła prowadzić do utraty prowincji w 90% zamieszkałej przez Albańczyków: umacniało władzę dyktatorską, mobilizowało agresję nacjonalistów, aż w końcu przyprowadziło wojnę – toczoną dotychczas gdzieś daleko w Słowenii, Chorwacji czy Bośni i Hercegowinie – na próg ich własnego domu, do samego Belgradu i innych miast serbskich. Z drugiej strony, ten położony na peryferiach region, w zbiorowej pamięci stanowił jedno

z centrów duchowych, obciążone całym bagażem narodowej mitologii. Czy Serbowie mogli się tego wyrzec? A czy Polacy mogli się wyrzec Wilna i Lwowa? Nie przyszło to łatwo. Aby nie dać się zamknąć w mitologicznym getcie narodowym, aby sprostać zmieniającej się rzeczywistości i jej nie zakłamać, potrzeba było wielkiej przenikliwości, dalekowzroczności i odwagi, przełamującej kompleks „zdrady narodowej”. Potrzeba było takiego środowiska paryskiej *Kultury*, którego Serbowie nie mieli i nie mają.

○ Rozmyślałem o tym, jak trudno jest zachować niezawisłość od zbiorowych odczuć, zwłaszcza w sytuacji dla narodu kryzysowej. Przywoływałem w pamięci Mirjanę Miočinović, Ivana Čolovicia i inne pojedyncze osoby z Belgradu, którym udało się ją wywalczyć, płacąc w zamian wysoką cenę izolacji i cierpienia, bo niby wszyscy jesteśmy różni i grzechem jest uogólnianie, aż tu nagle czterdzieści tysięcy osób znajduje się w jednej grupie żołnierzy, pod jednym rozkazem i – wobec jednej sprawy, jaką mają wspólnie do zrobienia – jakież to ma znaczenie, że w czymś są od siebie różni? Nacjonalizm jest szaleństwem zarówno zbiorowości jak i jednostek – przestrzegał Danilo Kiš. Bycie osobnym i pojedynczym jeszcze od niego nie wyzwala. On tworzy „pozór indywidualności”, „indywidualistę bez indywidualności”. Dosięga z łatwością również tych, którzy nie uważają się za nacjonalistów, a zachowują się wobec niego biernie, którzy tracą czujność rezygnując z samokrytycyzmu i poddawania w wątpliwość własnych racji. Wywalczona w życiu na co dzień – w tym kotle gotującym się od propagandy nienawiści, narodowego turbo-folku, kultu patriotycznych mitów i plemiennych herosów – nieprzynależność jest tym minimum, które nas uwierzytelnia wobec demona nacjonalizmu.

Danilo Kiš jest serbskim i europejskim pisarzem. Jego książki ważne są dla nas dzisiaj nie dlatego, że dotyczą Jugosławii, w której po jego śmierci wybuchła wojna, ale dlatego, że dotyczą nas właśnie, Europejczyków. Snując rozmyślenia o Serbach, wcale nie mam poczucia, że zamieszkują oni inną krainę od tej, w której mi przyszło żyć, i do której zmierzam teraz samolotem. Prawda, że jesteśmy od siebie odcięci – oni wszędzie potrzebują z trudem osiągalnych wiz, ja nigdzie w Europie, z wyjątkiem Jugosławii. Zdaje się jednak, że żyjąc w

Polsce, w Wiedniu czy w Unii Europejskiej, wcale nie jesteśmy wolni od tych używek, którymi oni przyprawili swą śmiertcionołą mieszankę wybuchową. Nasz charakterystyczny gest z pozoru jest inny – wyciągnięta spokojnie przed siebie ręka, zdająca się coś poklepywać poufale pod sobą, pewna swej racji, aż do momentu, gdy nie wyczuje swego kresu, krawędzi przestrzeni, do której nie sięga i która staje się w tej samej chwili przestrzenią zagrożenia: wtedy ręka cofa się szybko i jak oszalały kamerton wymachuje w obie strony starając się za wszelką cenę nie dać przystępu czemuś, co mogłoby się z tej ciemnej otchłani wynurzyć. Mamy też swoje niefrasobliwe „no problem”, a właściwie „take it easy”. Mamy ledwie skrywaną wyniosłość cywilizacyjną, graniczącą czasem z rasizmem, jak to bywa choćby w przypadku Cyganów. Mamy nacjonalizm, a sartr’owski typ pana Julka, przywoływany przez Kiša, który – kochając własne, „francuskie” stadko – blednie w kawiarni na każde przywołanie angielskiej herbatki i dzięki temu właśnie blednięciu tenże Julek staje się kimś, zyskuje indywidualność... takich typów ci dostatek, nie tylko na Bałkanach.

Istnieje hipoteza mówiąca o tym, że to, co się dzieje pod koniec dwudziestego wieku w krajach byłej Jugosławii, jest odrabianiem zaległych procesów historycznych, które tu przebiegają z opóźnieniem i są zwykłym anachronizmem we współczesnej Europie. Mnie osobiście o wiele bardziej przekonuje opinia Ralfa Dahrendorfa, odziedziczona po jego mistrzu, Erneście Gellnerze, wybitnym badaczu zjawiska nacjonalizmu w dziejach ludzkości. Otóż Gellner, przed samą śmiercią miał powiedzieć swemu uczniowi, że „wydarzenia dziejące się na Bałkanach są zjawiskiem na wskroś nowoczesnym. To mobilizowanie ludzi przez pozbawionych skrupułów przywódców, którzy wykorzystują różnice, których sami ludzie byli w małym stopniu świadomi”. Wiele jest w Europejskich nagromadzonych pokładów, łatwopalnych i mitotwórczych, które mogą w każdej chwili zostać wykorzystane przez przywódcę pokroju Miloševicia. Sprzyja temu współczesna kultura, zbywająca słabości naszej natury – ludzkie i istniejące od zawsze – magiczną formułą „take it easy”, a każdej próbie zmagania się z naszymi przypadłościami przyczepia

epitet „zaangażowania”, który pod koniec dwudziestego wieku ma wydźwięk pejoratywny.

Naiwnością z mojej strony było sądzić, że po wyłączeniu na Swewechat wszystko powróci do normy. Wprawdzie nikt się nie przepychał i spokojnie mogłem się napić „wiedeńskiej”, ale były to tylko pozory spokoju. Za krawędzią otaczającego mnie blichtru czułem wzbierający niepokój. Zaraz się zacznie. Za parę dni gazety zaczną donosić o nowej wojnie, a na ekranach telewizorów śledzić będziemy nocne naloty na Jugosławię. W głowach ludzi powstanie szalone zamieszanie. Z jednej strony wściekła akcja militarna z powietrza, bardzo agresywna, jakby starająca się zagłuszyć swoje zapóźnienie i całą wcześniejszą hipokryzję, przymykającą oko na zbrodnie dyktatora, z którym przez całe lata się układano, przyjmując za dobrą monetę jego nigdy nie spełnione obietnice. Z drugiej strony prawie równie hałaśliwa antyamerykańska histeria dużej części inteligencji europejskiej, która – w całej swojej słabości i zagubieniu, mamrocząc coś o pacyfizmie i potrzebie negocjacji, o procedurach prawnych i odrzuceniu przemocy, a tak naprawdę nie potrafiąc w żaden sposób zmierzyć się z rzeczywistością i nie będąc w najmniejszym stopniu zdolną do wygenerowania konkretnych propozycji zmierzających do rozwiązania problemu, który przecież w jej własnym organizmie się zrodził – znalazła sobie kozła ofiarnego w postaci NATO i złych Amerykanów. Nie wszyscy temu ulegli, zdając sobie sprawę, że jeżeli Europa sama nie wyrwie się ze swego letargu, w którym pogrążona była jeszcze w czasie wojny w Bośni, a także z zakłętego kręgu Maastricht i dyktatu euro, jeśli nie zacznie brać w swoje ręce spraw całego kontynentu, wytwarzać własnych antyciał wobec zjawisk takich jak czystki etniczne na Bałkanach, wówczas pogrąży się w chaosie, niwecząc cały proces zjednoczeniowy. „Ustawiliśmy Maastricht przed Sarajewem. Teraz płacimy cenę” – pisał w trakcie bombardowań Timothy Garton Ash.

Po rozpoczęciu nalotów NATO na Jugosławię zaczęto mówić o wojnie w obronie praw człowieka, pierwszej takiego rodzaju w historii, zapowiadającej nadejście lepszego świata w nowym tysiącleciu. Starożytni Rzymianie mawiali: *Si vis pacem para bellum* (Jeśli chcesz pokoju, szykuj się do

wojny). Wówczas oznaczało to wzmocnienie własnej obronności, dzisiaj oznacza militarną interwencję w innym, suwerennym kraju. Ta wojna nie miała innego interesu niż przywrócenie pokoju, wstrzymanie zabijania i zapewnienie uchodźcom powrotu do domu. Toczyła się jednak na kilku planach, pośród których nie jest nam łatwo znaleźć jasną dla siebie orientację. Wytoczono wojnę Miloševićowi, którą póki co przegrano, bo nie udało się go obalić. Serbowie, którzy od początku nalotów ponosili ofiary w ludności cywilnej, w większości uznali tę wojnę za skierowaną przeciwko swemu narodowi. Serbscy reżyserzy teatralni, którzy wystawiali kiedyś sztuki Vaclava Havla, napisali do niego: „Cóż takiego zrobiliśmy tobie, by nas bombardowano?” W odpowiedzi usłyszeli: „Nic nie zrobiliście, ale wasz reżim morduje waszych współobywateli. A robiąc to Albańczykom robią również mnie. To jest podstawowa zasada: Jeżeli ktokolwiek jest raniony, ja jestem raniony. To jest uniwersalna zasada ludzkiej solidarności, przecinająca granice państw i regionów”. Czy odpowiedź prezydenta Czech była dla nich zrozumiała?

A Kosowianie, czy rozumieją, co to znaczy, że ta wojna toczy się o prawa człowieka? Brzmi to dosyć abstrakcyjnie, jak na europejskich salonach dyplomatycznych. Tam w górach wojna toczy się o Kosowo, o wolność. Czy to jest to samo, co prawa człowieka? Czy świat toczy walkę o Kosowo? Gdyby tak było, to wraz z nalotami, ruszyłyby wojska lądowe, wyzwalając prowincję. Tymczasem zaczęto bombardować miasta serbskie...

Zaraz na wstępie, po porwaniu przez Serbów trzech żołnierzy amerykańskich, usłyszeliśmy jeden z priorytetów tych, którzy dowodzą w wojnie o prawa człowieka: przede wszystkim dbać o własną skórę. „To jest mentalność pokolenia, które chciałoby mieć zasady, ale nie jest zdolne do płacenia ceny za ich posiadanie” – taką ocenę wystawiał pokoleniu prezydenta Clintona w dniach wojny George Soros. „Kiedy zasady i własny interes wchodzi w konflikt, wtedy górę bierze interes własny.”

Argument potępiający tę wojnę dlatego, że wcześniej nie podjęto podobnej w obronie praw Kurdów czy Tybetańczyków, nie jest dla mnie przekonujący. Jeżeli komuś leży na sercu ich los, powinien robić wszystko, aby ta wojna okazała

się zwycięska. „Było, nie było”, ale nie może być „jest jak jest”. Chociaż tyle. Chociaż w Kosowie.

Problem stanowi natomiast przejrzystość tego, o co się walczy i w imię jakich zasad. Dzisiaj w Europie tej przejrzystości nie ma. Co więcej, o ocenie wydarzeń rzadko decydują racje moralne, od których silniejsze są resentymenty historyczne i przynależność do jednej wspólnoty religijnej czy kulturowej. W takiej sytuacji o wiele trudniej zaangażować się w walkę o wolność Kosowa tak, jak kiedyś lord Byron zaangażował się w walkę o wolność pobliskiej Grecji. Działo się to na początku XIX stulecia, a Grecy byli pierwszym narodem na Bałkanach, który walkę taką, zakończoną zwycięstwem, podjął. Doświadczyli wówczas wielkiej europejskiej solidarności. Byron, wraz z setkami innych ochotników z Europy, na wieść o rzeziach dokonywanych na powstańcach greckich przez Turków, wyruszył na wojnę za Grecję. To prawda, że byli tacy, co upatrywali w tym walkę chrześcijan z muzułmanami: to prawda, że *kleftowie*, wcześniej zwykli rozbójnicy, którzy stali się głównymi bohaterami powstania, odbiegali znacznie od romantycznego wyobrażenia herosów dawnej Hellady: to prawda, że Metternich traktował powstańców greckich jako niebezpiecznych ekstremistów, zakłócających spokój Europy, a obradujący w 1822 roku w Weronie kongres monarchów europejskich, nie chciał nawet udzielić audiencji wysłannikowi greckiemu, przybytemu z prośbą o pomoc, wszystko to jednak nie odbierało Byronowi wiary, że walczy i umiera (zmarł tam na malarię w oblężonej przez Turków twierdzy Missolungi w 1824 roku) za słuszną sprawę, za wolność i niepodległość kraju, którego większość mieszkańców pragnie tego z głębi serca. W dzisiejszej Europie niewielu jest odważnych, którym słowa wolność i niepodległość w odniesieniu do Kosowa, przejdą przez usta. Mówi się natomiast o stabilności w regionie, nienaruszalności istniejącego *status quo*, zagrożeniu ze strony ekstremistów albańskich... Pojawiają się dyplomatyczne uniki, przemilczenia, zawołowane wypowiedzi. Rodzi się *Kosovo correctness*, nowa kultura kłamstwa.

Uciekałem przed Kosowem, z samego krańca Macedonii, razem z innymi, którzy nie patrzyli prosto w oczy. Uciekałem z miejsca, skąd widać było krainę, w której wybiło źródło ciemności. Gdziekolwiek jednak bym się teraz nie zwrócił, to źródło biło przede mną. Nie było ucieczki. Zасыpiając w swoim domu przed oczami miałem białe kosy Agima Čavdarbašy. Tak bardzo chciałem uwolnić je z pęt. Wiedziałem, że będę musiał powrócić do Kosowa.

Krzysztof CZYŻEWSKI

Z ukosa

Świat staje się wyogładany. Gdziekolwiek jest coś oryginalnego, niezwykłego, pięknego, to owo miejsce od razu zamienia się w sensację turystyczną. Ostatnie, jeszcze nie zawiedzione ładne skrawki ziemi będą słynne, właśnie dlatego, że nikt tam jeszcze nie był. I w panicznej ciekawości runie w nie ludzka rzesza, gapić się, robić zdjęcia, dotykać, deptać i śmiecić. Skoro wszystko staje się do zwiedzania, to wszystko jest do sprzedania. Nic więc już nie jest w pełni autentyczne.

Krajem do niedawna mało znanym była Portugalia, dlatego nagle stała się modna. Zamieszkaliśmy w pobliżu hiszpańskiej granicy, na południu. I chociaż to był już koniec sezonu i plaże były nieomal puste, żuczki wynajętych samochodów z ciekawskimi pełzały wokół turystycznych miejscowości, ale zanikały, im dalej na północ. Udało mi się bez trudu znaleźć wioski w górach, gdzie patrzono na nas jak na przybyszy z innej planety. Te wioski jak twierdze, kamiennymi domkami włączają na siebie, pokraczne, malowane na fioletowo i zielono. Bardzo to malownicze. Nie widać wielkiej biedy. W kamiennych stodołach zwykle nie ma już zwierząt, stoją czasami nowe samochody, a stare, od lat martwe pojazdy blokują wąskie uliczki. Ludzie tu do niedawna biedni, jak polscy chłopi mają nawyk by niczego nie wyrzucać, wszystko może się kiedyś przydać.

Ten koniec Europy chłostany falami Atlantyku zawsze mnie pociągał. Kraj, który podbił kawał świata, zapłodnił Brazylię, fragmenty Indii, Indonezji, Afryki, dopiero w tym roku Chinom oddaje Makao, a więc to imperium, które nagle stało się biednym, jednym z najbiedniejszych państw Europy.

Dlaczego? Było tu wielkie trzęsienie ziemi w roku 1755, spustoszyły Portugalie wojska Napoleona, tłukli ich nieco Hiszpanie, ale gdzie im do nas, do naszych tragedii i powstań. Wydaje się, że to paradoksalnie właśnie kolonie, o których tak marzyli nasi nacjonaści, zamiast dać się i dobrobyt stały się pijawkami, które wypiły krew z organizmu kraju. Bogactwa szły w fasadę, a nie w rozwój infrastruktury. Potem daremna walka o utrzymanie zamorskich posiadłości nadwyrężyły ich siły. Już w XIX wieku kraj degraduje się. W muzeach nadaremno szukam ciekawego portugalskiego malarstwa z tego czasu, a mieli je wcześniej. W wieku XX kolejne dyktatury nie pozwoliły kapitalizmowi rozwinąć skrzydeł. Dzisiaj Portugalia ma lepsze wskaźniki ekonomiczne niż Polska, podobno odskoczyli od nas o niemal 20 lat, jeśli założyć, że będziemy szli prostą drogą. Ale ten kraj nie upokarza bogactwem i organizacją życia, jak choćby Niemcy. Jest porównywalny do Polski, też w pewnym niechlujstwie i w tej wyraźnie wyczuwalnej czarnej nici melancholii. Może więc być dla nas punktem odniesienia.

W Portugalii byłem turystą bez innych obowiązków niż obowiązek polizania i powąchania tego miejsca. To też bywa niewola. Ale czas podróży po latach staje się jedynym czasem nadziei. Nie ocenia się niczego obiektywnie, spada z pleców codzienny garb i patrzy się ze skrzydłami. Co może być dolegliwe dla mieszkańców, nie jest twoim problemem, więc nie waży zbyt wiele. Dlatego mamy raczej skłonność by idealizować zwiedzane miejsca, cenimy ich niecodziennosc, tym łatwiej, im bardziej dolega nam rodzima codzienność.

Odniosłem wrażenie, że Portugalczycy są, a jakby ich nie było. Fizycznie niepozorni, nie rzucają się też w oczy swoim zachowaniem, nie są grzeczni, ani niegrzeczni. Nie mają wyraźnej formy. Kelnerzy na ogół nie potrafią elegancko się zachować, ale nie potrafią też być chamscy. Przewodniki ostrzegają, że Portugalczycy prowadzą samochody zbyt szybko i bywają niecierpliwi. Przejechałem około trzech tysięcy kilometrów i doprawdy, chciałbym, aby Polacy tak rozważnie prowadzili swoje pojazdy.

Ten do niedawna jeden z najbiedniejszych krajów Europy ruszył szybko do przodu. Inna sprawa, co tam jest na tym przodzie? Coraz bardziej mnie niepokoi odpowiedź na to

nietaktowne pytanie. Ale trzymajmy się ziemi. Niemal każda porządna droga, nie mówiąc już o autostradach, mosty, planacje, są opieczetowane wianuszkiem gwiazd na niebieskim tle z napisem „sfinansowane z funduszy Unii Europejskiej”. I ludzie to widzą i czują, mówią: „mieliśmy wiele obaw, ale skorzystaliśmy więcej na wejściu do Unii niż ktokolwiek się spodziewał”. Ten rozwój nie ma jednak, jak u nas, charakteru histerycznego, nie jest to skurczowo-rozkurczowa pogoń za pieniądzem, dorobić się za wszelką cenę, szybko, choćby po cudzym lub własnym trupie. Polska ma znacznie podwyższoną gorączkę i wysokie ciśnienie, tam mimo upałów jest obniżona temperatura, a ciśnienie niskie. I nie widać na ulicach pijanych, ani molestujących żebraków. Co za ulga! Jest za to, jeśli nie depresyjność, to lekka melancholia. Czy nie jest to melancholia końca świata? Ten kraj zawsze był otoczony potężnym morzem, kiedyś z groźną zagadką czającą się za horyzontem i nie było gdzie uciekać. Może stąd siła ekspansji na zewnątrz w tym pozornie pozbawionym energii zakątku świata. Polska depresja jest chorobą środka Europy, rozjechanego przez historię, bywa głęboka i zwykle ma swoją manię. Jest więc u nas zaniechanie i bierność, obok maniackiej i chaotycznej nadaktywności, bardzo to męczące.

Jeżeli Europa posiada nos, to jest nim przyładek św. Wincentego. W dzieciństwie, gdy wędrowałem marzeniami po mapie, ten nos zawsze mnie fascynował. No i stoję teraz na nim, a ostre jak żyłotka słońce zachodu daje niezwykle barwy oceanowi i wysokim rudym skałom. Silny wiatr wydaje się, że wywiał cały ten krajobraz. Na skraju przyładka stoi latarnia morska. A na samym czubku nosa widzę komunikat napisany czerwonym flamastrem „Andrzej, Robert, Agnieszka. Płońsk. Byliśmy tu, 1999”. Nasi są jak widać wszędzie i za wszelką cenę próbują powiedzieć „jesteśmy, mimo wszystko jesteśmy”. Pobliska twierdza żeglarza Henryka, to miejsce skąd wyruszali na wielkie wyprawy pierwsi śmiałkowie, z przerażającym łopotem żagla nad głową, jak skacze się w otchłań bez dna. Hotel na dalekim skalistym brzegu przypomina, że to nie tylko koniec świata, ale też koniec wieku, który wszędzie ujawnia klęskę architektury. Te pęczniące nadmorskie turystyczne kurorty, to wielka

globalna estetyczna porażka i kaleczenie na wieki piękna natury.

W Portugalii jest też niechlujstwo i podobnie jak u nas brak czułości wobec matki ziemi. Ale porównanie tych dwóch zaniedbań ukazuje różnice. Zaniedbanie południa jest oparte na winie, nasze na wódce. Jak powie ktoś z młodszego pokolenia, ich zaniedbanie nie ma syfu. Nie znoszę tego słowa, ale zrobiło ono wielką karierę, a z językiem jak z oceanem, walczyć można tylko jak butelka kołysana przez fale. Syf więc robi karierę, niewiele mniejszą niż słowa „koles”, „dokładnie” i „super”. Oderwał się ów syf od syfilisu, czyli wenerycznej choroby, która jest niemal w zaniku. „Od roku, drogi panie, nie miałem przypadku wenerycznej choroby – mówi mi lekarz wenerolog. Więc ten syf jest teraz jedynie dosadnym opisem zaniedbania, którego istotą jest trwałość tatuazu brudu. I jest u nas lekki element gnilny, co ma też związek z klimatem, a również z formami autodestrukcji. Syfu nie da się, ot tak, po prostu zmyć. Na to trzeba pracy pokoleń. Portugalskie zaniedbanie, pozbawione jest naszej agresji wobec przedmiotów, bywa zwykle zaniechaniem. Na zboczu gór, które oddzielają prowincję Algarve od kontynentu, zapewniając temu regionowi niezwykły klimat, piętrzą się wysypane śmieci, czasami o wyraźnych kształtach. Wzruszającą nagą jest wysypany na zbocze tapczan, w doskonałym stanie. Nic, tylko położyć się na nim i zapłakać nad głupotą i ślepotą naszej cywilizacji.

Ze zdumieniem obserwowałem, że portugalskie psy i koty żyją ze sobą w zgodzie, te psy nie są agresywne, rzadko szczekają, podobnie jak w Szwecji, gdzie milczenie psów jest uderzające. Polskie psy, podobnie jak ich właściciele, żyją w stanie pobudzenia ruchowego i wokalnego. W moim niewielkim warszawskim domu niemal każda rodzina ma psa i każdy z tych psów drze się wniebogłose, gdy ktokolwiek idzie kłatką schodową. Czuję się więc czasami jak na wsi, gdzie po ogniowach łańcucha psiego szczekania można dojść w czeluście minionych wieków. Polska bije rekordy świata w liczbie domowych psów, warto by się zastanowić co to znaczy? Czy nasza szlachta trzyma je zamiast koni?

I jak wszędzie na świecie ta sama telewizyjna choroba,

W pobliżu Hiszpanii, skalne wzniesienie nad morzem, kościół-twierdza, do którego tulą się domy i cmentarzyk, gdzie zmarli, spopieleni, stoją na marmurowych półkach jak książki o kiczowatych okładkach. Ta osada jest w szpalerze kaktusów, z oszałamiającym widokiem na ocean. Ale nie ma żywego ducha na zewnątrz, nikt nie patrzy na ten spektakl przyrody, za to w oknach jak w jaskiniach Platona przesuwają się cienie na ekranach telewizorów. Mieszkańcy gapią się na portugalskie i brazylijskie idiotyczne seriale. I wszędzie, na całym już nie Bożym a telewizyjnym świecie, jest tak samo.

Pomstowałem kiedyś na warszawskich zajmowaczy miejsc do parkowania samochodów. Przypisywałem ten bezczelny sposób wymuszania pieniędzy tylko naszemu regionowi. Zapewne zbyt często popełniam grzech gromienia nas za to, co dolega gdzie indziej, a o czym nie wiemy. W Portugalii i Hiszpanii są tacy sami zajmowacze miejsc, którzy każą sobie płacić za „przypilnowanie samochodu”. No, może są tylko bardziej zadbani i trzeźwi.

Porusza odmienność Portugalii i Hiszpanii, ale strach tak pisać gdy się wie, jak bardzo różnorodna jest sama Hiszpania. W Sewilli bez trudu zamiast muzeum wybieram corridę. Nie ma jednak we mnie ducha Hemingwaya i to nie męskość walki z bestią mnie fascynuje, a kolorowo zastygły w tradycji obyczaj. Torreadorzy są śmieszni ze swoim honorem wobec pyska i rogów głupiego zwierza, które zazwyczaj kończy „humanitarnie” żywot w rzeźni, a tu jest ogłupiane a potem zarzynane na arenie przez grupę clownów i supermana z czerwoną płachtą, który honorowo się wygina i pręży, jakby był całościowo w erekcji. Torreador przestaje być śmieszny, gdy bykowi udaje się wbić róg w jego ciało. Udało się to jednemu, co przyjąłem jako potwierdzenie, że to wszystko jest naprawdę. Widzowie zerwali się z miejsc i poczęli machać białymi chusteczkami, by ułaskawić dzielnego zwierza, ale ten zmarł na naszych oczach od poniesionych ran, a jego krew zmieszała się z krwią torreadora, którego wyniesiono triumfalnie do karetki, gdy byka ściągnięto po chamsku za nogi.

Festyn w małym hiszpańskim miasteczku. Kiczowate stragany pulsują od różnych różności. Ogromna rzesza ludzka pije wino i piwo, ale nie ma ludzi zataczających się i agresywnych, a przecież byłiby w małym polskim miasteczku. Ta

ludzka tkanka na polskiej prowincji jest rakowata, to widać na tle bardzo przeciwieństw prowincjonalnej hiszpańskiej prowincji. Wzruszyły mnie w Portugalii zakłady fryzjerskie. Nie wiem czemu, ale one jakby najdłużej opierają się fali modernizacji, wiele zachowało wystrój z dawnych lat, wzruszające skórzane fotele i liczne akcesoria, niektóre pamiętam z warszawskich fryzjerskich zakładów mego dzieciństwa. A poza tym wszystko co nowe wybebesza stare, a to nowe jest globalne, higieniczne, standardowe i po prostu brzydkie. Bogaćca się Lizbona zaczyna remontować swoje malowniczo oplecione zaniedbaniem dzielnice, które pną się na wzgórza. I czar przyska. Czy to są ostatnie lata gdy ten kraj ma wdzięk malowniczego zaniedbania?

I znowu widać jak na dłoni, że to nie polityka, religia, sztuka czy seks, ale piłka nożna jest najważniejszą rzeczą na świecie. W poprzednim tekście wspomniałem, że idąc bulwarem w pobliżu morza ujrzałem *pub*, gdzie wśród *menu* napisano na tablicy kredą danie „Polska-Szwecja”. Mecz obejrzałem w gęstwinie rozgorączkowanych Anglików, dla których porażka Polski była jedyną szansą na przeżycie ich drużyny. Siedzący obok angielskojęzyczny mężczyzna i jego żona, stali się nagle zagadką. Kibicowali Polakom. Okazało się, że są Szkotami, on wykazywał znacznie więcej niż ja polskiego patriotyzmu, zaś swoją nienawiść do Anglików ujawnił wykonując wobec nich gesty wymiotne. Stanowiliśmy więc małą polsko-szkocką wysepkę na tym angielskim morzu. Dla Polski nieszczęśliwie, a zapewne szczęśliwie dla nas i dla Anglii, potomkowie Wikingów dołożyli polskiej drużynie.

Tego dnia było wiele ważnych dla świata zdarzeń, trwały liczne mecze eliminacyjne do mistrzostw Europy, grała też Portugalia z Węgrami. W Faro, gdy zapadał beżowy zmierzch, poczułem niepokój, tak bardzo miasto było wymarłe. Jedynie bocian na gnieździe uwitym malowniczo na wieży kościoła Largo de Se klekotał, zdawało się, że po polsku. (Należy tu przy okazji zauważyć, że język polski i portugalski, to dwa chyba najbardziej szeleszczące języki w Europie.) Lecz oto nagle miasto eksplodowało, jak poduszka powietrzna w samochodzie, gdy jest kraksa – balkony i okna wypełniły się ludźmi. I rozległ się grzmot. „Potugalia, gol!”

Ujrzałem oczyma wyobraźni jak nad Węgrami zawisa czarna posępna chmura. Czy mamy do czynienia z globalną kretylizacją świata, czy może tylko wynaleziono zastępcze wojny światowe? Ilość wojen prawdziwych każe w to wątpić.

Na piaszczystych brzegach Atlantyku odnajduję dziecięcą radość zabawy z falami. Ale to ocean, więc jest to i granie z wodnym ogniem. Z plaży, otoczonej niemal stumetrowymi rudymi skałami, które ostrzy słońce zachodu, dzwonię z komórkowego telefonu do zakatarzonej i szarej Warszawy, do ucha mojego syna, aby posłuchał szumu fal. Nadal jeszcze zdumiewa mnie ta możliwość kontaktu w każdej chwili, podzielenie się żywym słowem z kimś bliskim, kto jest tak daleko. Jest w tym wielki przywilej, jakbyśmy zagarniali kolejne regiony, które wedle dawnej wyobraźni należały do Boga. Ale ta łatwość kontaktu zarazem go spłyca. Bo właśnie trudność pokonania oporu przestrzeni nasycą różne formy spotkania żywą barwą i smakiem. List, który wędruje do nas przez kilka dni, dojrzewa przez ten czas jak owoc. Teraz te owoce dojrzewają w ułamku sekundy i spadają nam do ust w postaci kropli, która od razu znika.

Rozmawiam z dziewczyną, obecnie studentką iberystyki w Warszawie, która przez sześć lat mieszkała w Portugalii. Potwierdza niektóre moje intuicje. Od roku jest znowu w Polsce. I zimno jej tu, też w wymiarze psychicznym. Wyjechała mając 17 lat, wróciła już do innego kraju. Przez sześć lat mogła obserwować jak zmienia się Portugalia, jak szybko oplata ją sieć autostrad. W Polsce po powrocie imponuje jej ilość nowych firm, sklepów, budynków, ale przeraża chamstwo, pośpiech, szczękościsk, i że „tu każdy tylko ciągnie w swoją stronę”. Polska stała się krajem ludzi zagonionych, samotnych i bardzo egoistycznych. Czy to jest tylko choroba wzrostu? Portugalia skoczyła do przodu nie mniej szybko, ale nie płaci takiej moralnej ceny. Dziewczyna tęskni teraz za ciepłem Portugalii, też ciepłem które jest tam nadal między ludźmi, a które spomiędzy nas wyparowało, tęskni za brakiem pośpiechu. I tam ludzie nie mają pieniędzy w oczach i w ustach. Polska neurastenii ma jednak wiele historycznych usprawiedliwień. Oni mieli jedno wielkie

trzęsienie ziemi, u nas tych historycznych trzęsień było bez liku.

Wiem to wszystko, ale jednak ja też cierpię gdy wracając do Polski, podłączam się do sieci wysokiego napięcia. I jak wielu jest tu ludzi, którzy są zgorzkniali, łażą porozpinani z pretensjami na wierzchu, ekshibicjoniści przegranego życia. Na Portugalii na pewno kończy się zachód Europy. Można dyskutować, czy na Polsce kończy się jej wschód, boję się, że jesteśmy ogniwem, czy raczej organem pośrednim, między Rosją, Białorusią, Ukrainą a zachodnią Europą. Z oddechem ulgi i z pańskim odruchem wyższości wracamy z Rosji, z Ukrainy, do naszej ojczyzny, by wyjeżdżając na Zachód odkryć, że jest w nas więcej Rosji i Ukrainy, niż potrafimy tego na co dzień zobaczyć, do czego jesteśmy skłonni się przyznać.

Maniacko ostatnio wracam do tematu wódki. Nigdy jeszcze tak silnie nie czułem, że Polski nie da się wytłumaczyć bez wódki, wyłobila na naszym zbiorowym obliczu głębsze ślady niż nam to się wydaje. Nie tak głębokie jak na obliczu Rosji czy Ukrainy, ale kształt tych bruzd jest niestety taki sam. One są nie tylko w twarzach ludzi, a też rzeczy. Rzeźbią oblicza inteligentów, chłopów i robotników. Nasze chodniki, jezdnie, klatki schodowe i windy, one też mają alkoholowe blizny.

Podniósł się nagle w mass mediach wielki alarm, że masowo pije polska młodzież, nawet dzieci. W końcu, mają się od kogo uczyć. Piwo zaczyna konkurować z wódką. To mimo wszystko daje pewne szanse na zmianę form picia. Na razie rzeka wódki łączy się ze strumieniem piwa i taniego płynu, który udaje wino. Tą mieszaniną szprycuje się większość narodu. Obserwuję z okna moich alkoholików, jak robią te magiczne mieszanki, zaskakująco pewną ręką wlewają płyny do plastikowych kubków, namiętnie i z takim znanstwem, jak zawodowi barmani. Na pociechę należy odnotować, że około miliona Polaków próbuje rzucić palenie. A zakaz palenia w miejscach pracy i w miejscach publicznych przyjął się w Polsce i jest przestrzegany. Kto wie, czy to nie jest ważniejszy znak nadziei, niż się może zdawać.

Nadal jednak alkohol i papierosy są czynnikiem różnicowania kraju. Prowincja nie rzuca alkoholu ani papierosów.

Pani Frania ze wsi, która u mnie czasami sprząta, potwierdza ten dramat alkoholowy. Ale mówi o tym niepokojąco naturalnie, jak o wilgoci jesieni. Centralnym punktem wsi jest sklep, w sklepie piwo i wino. Przed sklepem rój chłopów, jak rój much. Czasami dojrzy w tym roju swojego syna. A pamięta ile wódki starczało kiedyś gospodarzowi na tydzień, widzi ile gospodarz potrzebuje jej dzisiaj. Sklep jest obok kościoła, więc ksiądz codziennie przejeżdża obok piwopoję i patrzy na swoje owieczki, które upodobniają się do gąsiorów, które wznoszą szyje do góry. Potem naucza lud z ambony. A lud gada, „a ksiądz to nie pije, on nawet podczas mszy pije wino”.

Uprawianie sportu u ludzi po trzydziestce jest u nas rzadkością, zaczyna być modne w wąskim gronie nowej klasy średniej. Kiedy w listopadowy wieczór ubrałem dres i pobiegłem chodnikiem w kierunku łązienkowskiego parku, do prawdy miałem wrażenie, że jestem postrzegany jako szaleńiec. Niedawno po raz pierwszy od czasów podwórkowych zagrałem w piłkę nożną zaproszony na mecz przez redakcję tygodnika *Polityka*. Posiwiali chłopcy znowu kłócimy się czy był gol, czy ręka jest zestrzelona czy nie? I ta radość robienia czegoś niezobowiązującego wspólnie, w grupie. Wtedy uzmysłowiłem sobie jak bardzo jesteśmy dzisiaj samotni, jak podzielony jest nasz egzotyczny świat, w którym już nie ma wspólnych spraw, a co najwyżej wspólne interesy. Ja z rozbitym biodrem, inni bardziej poszkodowani, ledwie żywi wleczemy się do domu, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

W komunistycznym języku morderczym zarzutem był zarzut „odchylenia prawicowego”. Teraz wiele osób jest oskarżanych o odchylenie lewicowe, ja na przykład. Ale co tam JA, nawet jak sobie te dwie litery powiększę na komputerze, one nadal są małe. Oskarżany jest choćby Czesław Miłosz, ukazują się eseje profesorów „lewy profil Miłosza”, a *Gazeta Wyborcza* to lewica jadowita, Unia Wolności lewica spiskowa i podstępna, natomiast paryska *Kultura* – lewica paradoksalna, gdyż to jednak jest dziecko wielkiego Jerzego Giedroycia. W jego wielkość jednak jak zmija wpełza lewicowa jaszczurka. Tak naprawdę u narodowej prawicy mniejsze negatywne emocje budzą postkomuniści. Drą się na nich

na pokaz, ale prawdziwa nienawiść jest do dawnych braci z Unii – znamy ten mechanizm z historii. „Kiedyś uczyłem się na pana tekstach w *Kulturze*, a teraz jest pan moim wrogiem politycznym” – oświadcza mi z dramatyczną miną młody człowiek, gdy zgasła kamera, a robił ze mną telewizyjny wywiad. „Ja wróg, a czemu to?” Okazało się, że cierpię na odchylenie lewicowe, zasilam socjaldemokratycznym jadem *Kulturę*. Doprawdy mam w nosie, jak mnie kto nazywa. I nawet się nie martwię, że sam już dokładnie nie wiem jakim jestem politycznym zwierzęciem. Gantunki pomieszały się. A jednak z moich tekstów w *Kulturze* wyłania się obraz poglądów, nie tylko moich, a też mojego środowiska, czy raczej jego ocalałych szczątków. Nie jest to światopogląd spójny, utraciliśmy już naiwność i niewinność wiary w jedną prawdę, wiemy też do czego prowadziły spójne ideologie i słyszymy jak dzisiaj bredzą ci „jednolici”.

Natomiast sobie i *Kulturze* nie po raz pierwszy stawiam zarzut, że cierpimy na odchylenie depresyjne. Bardzo to zresztą jest powszechna w Polsce przypadłość. Obok partii alkoholików – bez wątplenia malkontenci i narzekający stworzyliby w Polsce drugą siłę polityczną. Spotykam dawno niewidzianego znajomego, osobnika szybkiego i niecierpliwego, a kiedy zwlekam w odpowiedzi na pytanie „co słyhać?”, (na to pytanie Amerykanie odpowiadają rutynowo „znakomicie”, a Polacy coś tam pod nosem zajęczą), zawahałem się a on szybko za mnie dopowiada: „stara bieda”. Protestuję, „wcale nie bieda”. I popełniam nietakt. Otworzył zdumiony usta i poczułem, że jego oddech pachnie alkoholem. Tak powstaje sojusz „alkoholowo-malkontencki”.

Po okresie umiarkowanego optymizmu, jesień przynosi nam jesienne chmury niepokoju. I doprawdy to nie są tylko moje urojenia. Ja, pesymista szukam optymistów, by się ogrzać przy ich ogniu. Ale kiedy spotykam optymistów, widzę, że są zamartwieni naszym stanem rzeczy. Przed pobliskim, a wzniesionym niedawno w miejscu kina Moskwa wielkim bankiem, który przypomina gigantyczny stoik, doprawdy godny stłuczenia, spotykam J., wnuczkę marszałka Piłsudskiego. Zderzamy się czołowo. Znam ją dobrze i ciepło jeszcze z czasów opozycyjnych, zrezygnowała z brytyjskiego obywatelstwa aby być z nami w tym trudnym, ale pięknym

czasie. Marszałek byłby dumny, nie tylko z jej odwagi, a też ciepłej mądrości. Mam również słabość do jej męża Janusza Onyszkiewicza, obecnie ministra obrony narodowej. Był w nim zawsze wewnętrzny spokój, czy jest nadal? Kiedy w białoleńskim więzieniu zatrzepotał nagle we mnie ptak niepokoju, zawsze przychodziłem do Janusza by się uspokoić. Bardzo rzadka jest u nas taka harmonia wewnętrzna. Ale z tego co mówi J. obłąd naszej sceny politycznej narusza nawet jego spokój. On, podobnie jak niemal wszyscy tam na górze, siedzi na beczce ze smołą. Coraz trudniej wykonać jakiś sensowny ruch. I ta nasza biedna, ledwie żywa, armia. Z czasów studenckich wojsko kojarzy mi się jedynie ze smrodem koszar i z bęcwałstwem oficerów wyjętych żywcem z utworów Gogola. Czy to się zmieniło w ostatnich latach?

Podczas takich spotkań w biegu utwierdzamy się, że wszyscy jesteśmy zabiegani, zaszczuci przez okoliczności. Potwierdzam z J. też tożsamość naszego czucia, i że jednak zawiśło ostatnio coś parszywego w powietrzu. Popsuły się nawet stosunki między ludźmi bliskimi, wpłynęły między nas jakieś pretensje, zawiść i pośpiech. Od ilu bliskich oddaliłem się, jak wielu znajomych straciłem w ostatnich latach! Narzekamy oczywiście też na szaleństwo naszej narodowej prawicy, tradycyjnie na arogancję Unii Wolności. Pokrzepieni nawzajem wspólnym czuciem, ściskamy się i jak zające biegniemy w przeciwnie strony.

Pisałem, że szukam optymistów. Jadę więc do Krzysia, kolegi z licealnej klasy. Jest optykiem, ma zakład w znakomitym miejscu, przy Nowym Świecie. Już w szkole zawsze kojarzył mi się z okularami, nosił grube szkła, z którymi miał kłopot. Ten konfliktowy młodzian często tłukł się z kimś na pięści, a uprzednio składał w ręce kolegów swoje okulary. I to był cały rytuał. Nie miał warunków na boksera, ale dawał sobie radę, walczył sprytem i optymizmem.

Gdzie jest teraz jego optymizm? Stoi przy pustej ladzie, jakby na kogoś czekał. Mówi: „Nie mam klientów, patrz co się porobiło”. Tłumaczy, że reforma zdrowia daje emerytowi 5 zł dodatku na okulary, i jego najliczniejsi klienci, emeryci, przestali zamawiać okulary, nie stać ich. „Przychodzą czasami i mówią – czy może mi pan zrobić jedno szkiełko bez oprawki, tylko szkiełko”. I puentuje: „Rządzą nami kretyni”. Ale

mnie wzmocnił, pomyślałem. Potem narzeka, na dookolny zalew chamstwa. Niedawno jakiś facet zaparkował przed jego zakładem wóz, a tam jest zakaz parkowania. Krzyś wyszedł, by zwrócić mu uwagę. „Gdyby mnie strzelił pięścią w łeb to rozumiem – skarży się – a ten od razu wyciąga pistolet. No popatrz, co się porobiło”. I nagle, kolega wygłasza kwestię, którą jakże często ostatnio słyszę od tyłu znajomych. „Ja to teraz nawet żałuję, że nie spieprzyłem z tego kraju, gdzieś w świat, teraz to żałuję...”. Zdumiewające, moje pokolenie mówi to częściej obecnie niż za PRL-u. Może dlatego, że wtedy ludzie emigrowali naprawdę, a obecnie tylko gadają, wolna Polska ich trzyma, a wolność nie daje już nikomu łatwych usprawiedliwień. I Zachód przestał być jabłkiem na zakazanym drzewie dobrego i złego. Uciekano stąd jak ze szpetnego więzienia. Jak uciekać z brzydkiej wolności?

Najpewniejsze na naszej scenie politycznej jest to, że nowy miesiąc przyniesie gorszące skandale i awantury w ramach rządzącej koalicji, albo poza nią. Dyrektor rządowego biura studiów strategicznych, minister Jerzy Kropiwnicki obwieszcza światu fatalny, pogarszający się stan naszej gospodarki. Nie uzgodnił swego wystąpienia z ministrem Leszkiem Balcerowiczem, którego jawnie nienawidzi, ani z premierem, którego lekceważy, heroicznie głosi, co uważa za prawdę. Jest nawet gotów ponieść męczeńską śmierć, za fatalny stan polskiej gospodarki. Ten bohater podziemia, na ziemi, już jako minister, zachowuje się karygodnie, nie po raz pierwszy. A złotówka po jego wystąpieniu leci na łeb na szyję. Powinno się go wyrzucić z fotela ministra, ale przerażony premier wysłała go tylko na urlop. Jak wyrzucić z rządu człowieka ZChN-u, ta partia mierna, ale wierna, nie pozwoli swojemu zrobić krzywdy, a jak wyjdą z AWS-u, to ten zlepek się rozleci. Więc zapewne po urlopie minister wróci do pracy. I do następnego skandalu. Polska gospodarka ma kłopoty, ale która ich nie ma. W tym roku przewiduje się jednak 4% wzrost gospodarczy. Nie tak źle jak na katastrofę.

Próba stworzenia w Sejmie komisji „Równego Statusu Kobiet i Mężczyzn” stała się kolejnym pretekstem by posłuchać sobie Polski konserwatywno-katolicko-narodowej. Rozumiem, że można się obawiać używania siekiery prawa w celu

wyrównywania dawnych krzywd. Ale przecież jest prawdą, co ogłosili w Sejmie SLD, Ludowcy i Unia Wolności, proponując stworzenie takiej komisji, a motywując ten pomysł słowami, że „Polska tradycja dyskryminuje kobiety”. To jest oczywiście pewne uproszczenie. W Polsce jest tyle form rycerskich wobec kobiet, całowanie w rękę nie jest już tak namiętne jak niegdyś, ale nadal się całuje. A te pozory czasami tworzą pozytywne fakty. I wiele zmienia się w dziedzinie równouprawnienia samoistnie, na naszych oczach. Może więc lepiej stawiać na ewolucję i nie pomagać jej przy pomocy kopniaków. Problemem jest co innego, ten ton antyfeministyczny w jakim narodowcy o tym mówią, szyderczy śmiech na sali sejmowej podszyty przerażeniem, że w Polsce zapanuje owa diabelska polityczna poprawność. Kobiety to połowa głosujących, wiele wśród nich jest babonów, babiuchów, babiszonów, opętanych Matek Polek, ale jest też w Polsce wystarczająco wiele rozumnych kobiet, więc uważam niż mężczyzn, aby być pewnym, że cała ta awantura to kolejne punkty dla SLD.

Im dłużej jesteśmy skazani by słuchać jak i czym myśli nasza narodowa prawica, tym częściej wraca bolesne pytanie, czy Unia Wolności nie jest skazana by wejść w koalicję z SLD. Czy to jest ta kropka nad „i” której domaga się ode mnie moja nauczycielka polskiego? Od lat czyta w *Kulturze* teksty swego ucznia. Mądra i piękna pani, która teraz mieszka w Szwecji, a ja nigdy nie zapomnę jej płomiennego wystąpienia w obronie studentów na lekcji w marcu roku 68. Kilka razy po sprawdzeniu moich wypracowań mawiała do mnie: „Ty nie piszesz jakoś wybitnie, ale coś jest w tym, co piszesz”. Zbiegi okoliczności nie opuszczają mnie, więc zaraz po rozmowie z J. spotykam W., córkę mojej polonistki. I dowiaduję się od niej, że jej mama domaga się stanowczo ode mnie tej kropki. Miałem ją w dłoniach, ale jak sobie posłuchałem posłów SLD w Sejmie, to odłożyłem ją na bok, niech poczeka. I czy Unia po tak fatalnym małżeństwie, ma siłę by wejść w następne fatalne? Jedno jest pewne, jeśli AWS i Unia nadal leżąc w jednym łóżku będą się okładać pięściami i wyrywać sobie włosy, to SLD wygra wybory tak wysoko, że Unia nie będzie im już potrzebna do rządzenia. Przydałaby się już tylko do wyszlachetnienia. Ale plucie na SLD,

obrzucanie ich obelgami, jedynie mnoży ich zwolenników. Jeśli wygrają w demokratycznych wyborach, demonizowanie ich będzie demonizowaniem demokracji i wyrazem pogardy dla własnego społeczeństwa. Reformowanie PZPR było zwykle pretekstem dla własnego konformizmu, rzadziej naiwnością. Czym jest dzisiaj głęboka wiara wrogów postkomunistów, że po latach dzieci PZPR muszą mieć wszystkie wady swoich rodziców? I że ta partia jest i zawsze będzie parszywa? Ich druzgocąca wygrana, z pewnością nie pomoże w zmianie wizerunku, będzie zastrzykiem arogancji i buty. Kiedy patrzę na polityczną elitę SLD, niektórych jej przedstawicieli przełykam dosyć gładko, innych jako tako, a bardzo licznymi się dławię. Ale doprawdy, dobrze wyslizgany cynik łatwiej mi przechodzi przez gardło niż nasi ideologiczni narodowcy, oni są zupełnie niestrawni, tu im wystaje podarta prezerwatywa, tam korona orła, zdarza się zwichnięte ramię krzyża. Nie ma więc dobrego wyjścia, bo Unia Wolności jest skazana aby być ważnym marginesem.

I spójrzmy prawdzie w jej kaprawe oczy – prawie cała nasza klasa polityczna nadaje się do gruntownej wymiany. Na palcach dwóch dłoni mogę wyliczyć polityków, których bym ocalił z pogromu. Ale nie demonizujemy polskiej sceny politycznej, wystarczy uważnie popatrzeć na scenę w Czechach, nawet w Austrii, nie mówiąc już o Rumunii i Ukrainie, by uznać, że mamy powody do zgorznięcia, ale gdzie indziej bywa nie lepiej, a często gorzej.

Nowa afera dotyczy ustawy podatkowej. Forsowany przez rządzącą koalicję a narzucony przez Leszka Balcerowicza plan obniżenia podatków, wprowadzanie podatku liniowego, to nie tylko uproszczenie systemu. To szansa na zdynamiczowanie gospodarki, zbyt wysokie podatki zjadają aktywność ludzi i małych przedsiębiorstw. Jest jednak faktem, że zamożni będą płacić mniej, czyli będą jeszcze bardziej zamożni. Mam serce socjaldemokraty, ale rozum liberała, a serce mi się z wiekiem kurczy. Więc uważam, że to jest karmienie lokomotywy, która ma pociągnąć kraj, też tych biednych. No i mamy w parlamencie wielką awanturę, darcie szat i plucie. Populistyczna część AWS-u też się burzy, ale jest trzymana w ryzach partyjnej dyscypliny i nagle cementuje ich wspólny

wróg. I rzecz niesłychana, nagle AWS czule przytuliła się do Unii. Kiedy słucham w Sejmie debaty podatkowej, mam dojmujące poczucie obrzydzenia. I te wszystkie kruczki prawne, które stosują obie strony, jakby chciano pokazać, że nie jest tu ważna prawda, a kto kogo podstępnie wykoleguje. Ale teraz to AWS jest kąsany przez SLD, o wiele bardziej sympatyczne jest to ugrupowanie gdy jest kąsane, niż kiedy samo kąsa. Powstaje osobliwy sojusz postkomunistów, KPN Ojczyzna, ROP-u i Radia Maryja. Leszka Balcerowicza nienawidzi wielu ludzi AWS-u, ale teraz demonizuje go opozycja, chamskie, osobiste na niego ataki. Kiedy odpowiada ma łzy w oczach, ale w ustach nóż. Każde jego zdanie jest celnym ciosem, w niekompetencję i w głupotę. Na pewno bywa zbyt sztywny i doktrynerski, nie docenia wagi finansowania kultury i nauki, ale jest wybitnym fachowcem i bezinteresownym politykiem, fanatycznie oddanym sprawie rozwoju ekonomicznego Polski. Subtelności współczesnej ekonomii są dostępne wąskiej grupie specjalistów. Nie mam przygotowania ekonomicznego, gubię się licząc do dziesięciu, kieruję się więc tu bardziej intuicją niż wiedzą i podobnie jak większość obywateli muszę komuś zaufać. Problem, że większość obywateli nie ufa już nikomu.

Kiedy przed laty Wajda pokazał mi pierwszą wersję scenariusza „Pana Tadeusza” byłem przerażony. To był żywcem wyjęty fragment utworu i gwarancja stworzenia filmowego kiczu narodowego. Byłem pewien, że obraz nie udźwignie mocy słowa poety. Nie było tajemnicą, że Wajda od lat nie zrobił wybitnego filmu, że okrutnie go to męczy. I że ten niezwykły artysta, z każdym rokiem coraz lepiej mówi, tak głęboko obrazowo i mądrze, jakby mówienie było zamiast filmów. Piszę to bez cienia ironii. Wajda ma licznych wielbicieli, ale nie mniej licznych wybitnych wrogów. Jest od lat instytucją jak Ingmar Bergman w Szwecji, który ma w swojej ojczyźnie podobną sytuację. Talent Wajdy polega też na tym, że posiada tysiące ssawek, to nie są macki ośmiornicy, raczej niezwykłego owada, którymi potrafi spijać nektar z tysięcy ludzkich kwiatów. Trudno tu mówić o pasożytnictwie, to jest talent wielkiego dyrygenta.

„Pana Tadeusza” oglądałem na miesiąc przed premierą w

małej salce na Chełmskiej, ze wzruszającymi potknięciami, film był w kilku miejscach jeszcze do sklejenia. Oglądałem go przypadkiem, jeśli przypadkiem była wspaniałomyślność Czesława Miłosza, który mnie na ten mały, niemal prywatny pokaz ze sobą zabrał. Siedziałem więc obok wielkiego pisarza, któremu Wajda zaproponował, by zagrał w filmie Mickiewicza, ale ten na szczęście odmówił. Czułem więc ten film z podwójną nadzieją i trwogą. Co mówił Miłosz w trakcie i po projekcji, co potem milczał, niech pozostanie milczeniem. A jakie ja miałem uczucia w finale? Mieszane. To nie klęska, ale też nie arcydzieło, a tak film okrzyknięto po premierze chórem zgodnym i łzawym. Ten chór z protagonistą w postaci *Gazety Wyborczej*, tam by się nie precyzyjnie nawet szara mysz krytyki, potwierdził koteryjność naszego życia kulturalnego. Są albo towarzystwa wzajemnej adoracji, albo wrogie obozy. Ale uważam, że Wajda filmu nie przegrał – można nawet powiedzieć, używając ulubionego słowa naszych czasów, że to jest sukces. Też artystyczny. I podziwiam reżysera, że jednak się odważył, chociaż ryzykował tak wiele. Gdyby spadł z tego konia, nie tylko koledzy by go stratowali, jak ci ułani z piosenki. W tym filmie jest wiele znakomitego teatru i złego kina, dobrego kina i złego teatru. A bez znajomości oryginału pierwsza część filmu jest nie do pojęcia. Zabrakło w filmie metafizyki, która jest w poemacie, a też jakieś próby stworzenia szczelin przez które weszłoby prawdziwe błoto. Polskie mity jeśli nie zostaną trochę ubłocone, zginą na amen w swojej cukierkowej postaci. Jest wadą i zarazem zaletą tego filmu, że to kino akcji. Ta akcja podzielona jest na sceny teatralne, na wielkie monologi i dialogi. Z bardzo nierównej materii jest więc stworzone to dzieło. Ale nie przypadkiem, film dobrze przyjmowany jest przez młodzież, pokolenie na piersiach którego romantyzm miał zemrzeć. A niektóre dialogi, które przecież ułożył wierszem sam Mickiewicz, są lepsze od dialogów kiedykolwiek napisanych dla naszego kina, które z dialogiem zawsze miało kłopot. I wszyscy aktorzy zagraли powyżej swoich możliwości. Ale jak zwykle u nas, wielkość jest obok małości. Niektóre sceny bliskie komiksowi, ale kicz jak kolejna świeca w Soplicowym dworku, szybko jest gaszona piękną i ruszającą sceną.

Niemal równolegle obejrzałem „Ogniem i mieczem”

Hoffmana. Nie jestem zwierzęciem stadnym więc czekałem aż przez kina przewalą się tłumy. To film artystycznie gorszy, chwilami słaby, ale też chwilami wzruszający, budził do życia moje uśpione dzieciństwo i miłość do Trylogii. I ta scena, gdy husaria grzęźnie w błocie, ich połamane skrzydła, jak skrzydła Polski. A już myślałem, że stałem się odporny na polskie mity, ale wzrusza mnie gdy husaria rusza do ataku. Do husarii miałem zawsze słabość, w dzieciństwie rysował mi konie i husarzy ojciec, który miał miłość i talent do koni i do polskiej historii. Oba filmy są czytelne jedynie dla Polaków, dla tych z nieco starszej generacji. Wielka polska poezja XIX wieku jest doskonale nieprzekładalna na inne języki i okazało się, że film też nie potrafi dokonać przekładu. Chyba szkoda? Te dwa filmy zapewne przedłużą żywot pewnych polskich mitów i symboli, ale czy dodadzą im mądrości? I jest jednak porażką całego naszego kina, że po 10 latach wolności dwie największe polskie produkcje filmowe są ucieczką od rzeczywistości. Przyznaniem się naszych twórców, że nie mają języka do opisu współczesności.

A „Pana Tadeusza” obejrzałem po raz drugi, już bez wielkiej presji w sąsiedztwie. I mam jeszcze bardziej mieszane uczucia. Podobał mi się chwilami bardzo, gdy za chwilę zrymałem się w środku, jakby ktoś mi wykrywał w dłoniach żołądek. I chyba tak właśnie jesteśmy zagubieni w naszej przeszłości, w polskim imaginariu, które jakże często nagle zmienia się w ogród zoologiczny, pełen kuriozalnych zwierząt, ale wśród nich tyle niezwykłych jednorożców i feniksów, które wbrew zdrowemu rozsądkowi odradzają się z popiołów. W końcu Mickiewicz sam też był zagubiony w śmietniku polskiej klęski, emigracyjnych swarów i szaleństw. Ale jego talent porządkował świat i dawał siłę pokoleniom. Mój ojciec w czasie okupacji krzepił się jego poezją, w stanie wojennym ja też czytałem jego wiersze by się wzmocnić. Czy mój syn sięgnie po nie w trudnej chwili? Czy historia za jego życia szykuje dla Polski jakieś dramatyczne scenariusze? Nie potrafię jednak uwierzyć, że ich kształty będą nawiązywać do dramatów tak pięknie zmitologizowanych przez naszych poetów. Jak na razie jego dramat, i jego kolegów, to jak wymigać się ze szkoły podoficerskiej po studiach. Nazywa to się „załatwić sprawę”. Jest znakiem czasu, że on nie boi się trudów wojska, tak ciężko

pracuje, że twierdzi, że to byłby dla niego odpoczynek. Ale jego kariera będzie zdruzgotana, nie może sobie pozwolić na utratę sześciu miesięcy. A patriotyczny obowiązek? Gdybym zapytał go, i jego kolegów, pomyśleliby że kpię z nich.

Minister Jan Szyszko, jedni mówią wybitny fachowiec, inni że chociaż fachowiec to sobie nie radził, przestaje być nagle ministrem ochrony środowiska. W koalicji rządowej posady się rozdziela według nomenklaturowego klucza, a nie kompetencji, gdy Szyszko nieszczęśliwie dla siebie, był chyba gdzieś pomiędzy partiami. Na jego miejsce nominowano Antoniego Tokarczuka, należało się jakieś stanowisko formacji z której pochodzi. Tokarczuk ukończył socjologię. Liczni politycy żalili się, że odwołano fachowca, a o Tokarczuku bali się mówić, prawie nikt go nie znał. Ja go znam. Siedziałem z nim przez miesiąc w jednej celi ośrodka internowania. Właściwie miło go wspominam, ale to był niezwykły czas, więc wszyscy mieszkańcy Białołęki wydawali mi się niezwykli. Nawet te patetyczne wieczorne wspólne modlitwy przez okna, zlewane w jeden głos z różnych cel, wrzucały mnie, chociaż nie brałem w nich udziału, czułem w tym kicz. W celi mieliśmy wzruszający przekrój społeczny, robotnicy oderwani od warsztatów, lekarz pediatra oderwany od dzieci w szpitalu, i w końcu Antek Tokarczuk, bohater bydgoskiej afery, gdy pobito Rulewskiego, oraz jego zastępcę, Tokarczuka właśnie. (Dzisiaj rzecz jasna ci panowie się nie znoszą). Wtedy niemal doszło w Polsce do wojny domowej. Pamiętam jak jeździłem po zakładach, ludzie byli gotowi umierać za sprawę, inaczej niż potem, 13 grudnia.

Antek w wielkiej tajemnicy, na ucho, bo podsłuchy, wyszeptał mi prawdę na temat bydgoskiej afery, gdy milicja pobiła okupujących budynek, jeśli dobrze pamiętam budynek Rady Miejskiej. Ta prawda była odmienna od wersji „Solidarności”. Działacze „Solidarności” jednak chcieli okupować budynek, chociaż przysięgali, że nie. A Jana Rulewskiego tak bardzo znowu nie pobito, wyjął sztuczną szczękę do fotografii, a zdjęcie przewodniczącego regionu bez zębów, wstrząsnęło sumieniem narodu. Po tych szepciach na ucho poczułem jednak lekkie ukłucie niepokoju. Ale prawdziwy niepokój, jak to bywa z niepokojami, zrodził się z drobiazgu.

Poszło o prycze. Kiedy przeniesiono nas do innej celi, kole-dzy, bohaterowie podziemia, nagle rzucili się zajmować lepsze miejsca do spania. Ja stałem z boku, gapiąc się na ten wyścig, jak ogłupiałe dziecko. I w jakimś sensie tak mi zostało do dzisiaj. Gdy najszybsi, najrzęczniejsi, mieli już swoje miejsca, zająłem jedyną wolną prycze obok kibla. I w nagłym błysku, ujrzałem, że obok pięknej bezinteresowności, ukryty jest w nas drapieżny egoizm. Skacze jak tygrys, gdy nagle otworzy mu się drzwi klatki. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że kiedyś przejmie władzę, a prycze zostaną zamienione na dyplomatyczne (to ja na chwilę) oraz rządowe stanowiska. Antek Tokarczuk zdobył po latach prycze ministerialną. Tuż przed mianowaniem spoglądałem w telewizji na jego twarz, kiedyś ładną, nieco naiwną i chłopięcą, teraz zdeformowaną przez czas, i te oczy wilgotne od namiętności władzy.

A ochrona środowiska w Polsce? Wprowadzono nowe normy, spore pieniądze poszły na modernizację przemysłu, ale największe zasługi ma naturalne wygaszenie zbędnych pieców PRL. A ze świadomością ludzi nie zrobiono prawie nic. Niby zaczęto segregować śmieci. Obserwuję tę operację ze zgrozą na moim podwórku. Nie było wystarczającej informacji, co gdzie należy wyrzucać, należą chyba do kilku osób w okolicznych blokach, które starannie segregują papier, puszki, butelki. Niewielu mieszkańców wie jak i po co segregować, a jak wiedzą, to głoszą przekonanie, że potem wszystko i tak jest wrzucane na jedno wysypisko. I mogą nawet mieć rację.

Patrzę spode łba na dwie nowe nominacje na ważne stanowiska, nominowano ludzi, których dobrze znam, był tu oczywiście klucz partyjny, nie ma innego klucza. Jeden z nowych dyrektorów to miły, uczciwy człowiek, ale wielka niezguła. Gdzie on się nadaje na kierowanie taką wielką instytucją? Drugi, zjadany przez nienawiści, alkoholik, a na dodatek też fujara. Polityka kadrowa koalicji napełnia mnie trwogą. Oczywiście nie wypada porównywać komunistycznej nomenklatury do nowej, bo nie da się porównywać patologii systemu totalitarnego do patologii demokracji. Ale jakże podobna jest ta konsekwencja z jaką nagradza się swoich. W AWS-ie jest zbyt wiele partii i partyjek, zbyt wielu ludzi do nakarmienia, a za mało stanowisk. Nic dziwnego, że toczą się wewnętrzne wojny. By wsadzić swojego trzeba kogoś usunąć.

AWS walczy więc ze sobą, jeszcze bardziej zajadłe z Unią Wolności, która dla dobra ojczyzny też walczy o stanowiska, ma przecież bardziej kompetentnych ludzi. Maciej Jankowski, dawny przewodniczący „Solidarności”, widzi sytuację niezwykle trzeźwo: „Klucz wedle którego partiom przydziela się sektory gospodarcze jest zabójczy! Nie da się rządzić kiedy nad interesem państwa dominuje klucz partyjny. (...) AWS stworzył zasadę, że zwycięzca bierze wszystko. I dlatego, jeśli nic się nie zmieni, stracimy wszystko”.

Spotykam W. – bliski mi przed laty, nadal bliski, chociaż tak rozeszły się nasze drogi myślenia o świecie. Dla niego deską ratunku stał się Kościół. Ledwie wiąże koniec z końcem, ale nie potrafi rzucić naukowej pracy. Rzucił raz na chwilę, był doradcą pewnego ministra. Tam się napatrzył i szybko uciekł na powrót do swojej naukowej biedy. I teraz mówi: „Jest histeria, że przejmą władzę postkomuniści. A ja tych, co w rozpaczy, pytam: A co za różnica? Czy nasi teraz nie kradną, nie obsadzają stanowisk swoimi i niekompetentnymi?”

Dlatego pomysł prawicy na dekomunizację, który przepadł w Sejmie, nie ma żadnej siły nośnej. Czyściciele sami już nie są czyści. Wedle projektu miałyby się ukarać odsunięciem od piastowania wysokich stanowisk byłych, wysokich funkcjonariuszy komunistycznych. Dziesięć lat temu taki pomysł uznałbym za jedynie słuszny. Ale wtedy oni oddali nam władzę, więc jak można było ich karać, no a poza tym wydawało się zupełnie oczywiste, że żaden wysoki funkcjonariusz nie ma szans zaistnieć publicznie. I tak się niezręcznie dzisiaj składa, że tropieniem świń przeszłości zajmują się przede wszystkim małe współczesne prosiaki. Problem, że nawet małe współczesne prosię jest ogromne przy wojewódzkim sekretarzu partii sprzed dekady. Bo z tego giganta obrzydliwej przeszłości uszło już powietrze, po latach osiwiiał, pomarszczył się i skurczył, mieści się teraz na dłoni. Takie są prawa upływu czasu, on nie omija nikogo i niczego, też świńskich problemów.

„Z knurami to ja panie żyję od 50 lat, ale jak ten knur wczoraj panie na mnie lunął, to myślałem, że już po mnie” – mówi, utykając na nogę, stary chłop. „A nogę to mam teraz jak niebieski słoń”. Lubię to chłopskie, obrazowe gadanie.

Byłem w kilku mazowieckich domach wiejskich. To już nie są piękne chałupy, ostatnie z nich dożywają swoich dni, w ich miejscu powstają chałupowe pałace z suporeksu. Kupuję jedną małą drewnianą chałupkę, by ocalić jej życie, a być może przy okazji swoje, zjadane przez żarłoczne i bezlitosne miasto. Stąd te moje wiejskie odwiedziny. Ja, przybysz z miasta, gdy przekraczam wiejskie progi, mam wrażenie, że jestem na innym kontynencie, o którym coś wiemy i nie wiemy nic. W tych nowych wiejskich domach z suporeksu bywa dosyć czysto, ale jest niebywała szpetota urzędzenia wewnątrz, zmarła wiejska tradycja, a wszedł w jej miejsce przypadkowy chaos zakupiony w małomiasteczkowych sklepach meblowych. I w każdym wiejskim domu jest zawsze włączony telewizor, jak nowe niezwykle zwierzę, nie trzeba go karmić, to ono od rana do nocy karmi całą rodzinę, zamyka mu się pysk jedynie na noc, a potem od rana gada i pokazuje cuda z całego świata. I pomyśleć, że te wielkie ludzkie rzesze, dorośli i dzieci, jednym okiem gapią się w oko telewizora nawet kiedy jedzą, rozmnażają się, rozmawiają, nawet kiedy się modlą, zawsze z jednym okiem utkwionym w ten niepojęty ruchowy świat. Zaskakująco mało z niego biorą, dobrze to czy źle sam nie wiem, tyle tam piękności, ale też tyle okurucieństwa.

Zauważyłem, że modne stało się na naszej wsi hodowanie obok świń rzeźnych, małych morskich świnek, którymi bawią się dzieci. Te domowe zwierzątka, to może jakiś początek czułości wobec świata zwierząt, gdy nadal tak wiele jest na wsi okrucieństwa i braku szacunku dla natury. Stąd tak łatwo i bezmyślnie wysypuje się śmieci w pobliskim lesie, dlatego tak zatrwajające są wiejskie podwórka, gdzie jest brud, bałagan, nagromadzenie rdzewiejących i gnijących przedmiotów. Jakby to nie była przestrzeń przed moimi drzwiami i za moim oknem, a tylko worek ze śmieciami. W tych zaniedbanych wsiach, jak kosmiczne pojazdy z innej planety, stoją stare kościoły. Ale nasze miejskie podwórka i klatki schodowe też są przecież w strasznym stanie i widać jak na dłoni, że miejskie niechlujstwo jest bliskim krewnym wiejskiego. Wódka i niechlujstwo, też umysłowe, to chyba istotne powody, że rozwijamy się szybko, ale brzydko.

Ela

W pewnym uzdrowisku mieszkała Ela, jedenastoletnia dziewczynka. Jej rodzice mieli pensjonat. Były wakacje i Ela grała w koszykówkę, chodziła na wycieczki, opalała się na słońcu.

Jak wyglądała? Miała jasne warkocze, jasne oczy, policzki przypominające jabłka. Jak się uśmiechała, to otwierało się małe niebo i pokazywało równe zęby.

Oddzielną zabawę i przyjemność stanowiło przyglądanie się odjeżdżającym i przyjeżdżającym gościom. Więc interesowała się tym, jakie pokoje dostaną, jak wyglądają, zaglądała do książki meldunkowej i wiedziała z jakich miast są. Wiedziała właściwie od razu z jakich miast są, ale było jej przyjemnie potwierdzać to, co odgadywała.

Zdarzyło się raz, że do pensjonatu rodziców przyjechał osiemnastoletni chłopiec. Ela była przy tym, jak wysiadał z dorożki, którą powoził stary góral, jak uśmiechnął się do górala płacąc mu wygórowaną cenę. I w tej chwili stało się coś. Ruchy tego chłopca uderzyły w nią, rozpruły ją, jak ona jeszcze niedawno, jednym pociągnięciem ręki rozpruwała swojego pluszowego niedźwiadka. Portier zabrał jego rzeczy i zniknął za drzwiami. Ela stała długo na tym samym miejscu, trzymając piłkę w ręce. Gdy odzyskała beztróską wesołość, była zdziwiona, że to zdarzenie jej się w ogóle przytrafić mogło. Jakby zdarzenie z innego świata. Bo należy zaznaczyć, że Ela była gotującym się życiem. Na jej oczy wypłynęły znów

Z papierów pośmiertnych Leo Lipskiego do druku przygotowała
Lucja Gluksman.

wesołe błyski, wleciała do pensjonatu (tak, wleciała), biegnąc po trzy schody, i wleciała do dyżurki, gdzie była książka meldunkowa. Nazywał się Emil, pomyliła się co do miasta, z którego przyjechał.

– Ela i Emil – powiedziała cicho i zaczęła się śmiać i udawać pianie koguta. Nagle spojrzała na książkę i zobaczyła, że mieszka w pokoju nr 7. Potem poszła grać w piłkę z dziewczynkami, które przyjechały przedwczoraj.

Chłopiec czytał leżąc na leżaku, chodził sam na niedalekie spacerki; zaraz po kolacji, kiedy wszyscy jeszcze rozmawiali, mówił:

– Dziękuję – i wychodził z sali jadalnej.

Może dlatego leżał na leżaku, Ela o tym pomyślała, że na leżaku musiała także leżeć pani Irena, o której ona mówiła, że jest piękna. Pani Irena była tu już dawno, może rok, bo przyjechała podczas poprzednich wakacji. Ale Ela wiedziała o tym też, bo tatuś mówił, że „piękna” jest chora na płuca. Wtedy z Elą zaczęły się dzieć dziwne rzeczy. Wiedziała zawsze gdzie się Emil znajduje i odczuwała, że jest przywiązana do naciągniętej gumy, która się kończy tam, gdzie jest Emil. Gdyby ją spytano w tym okresie, dlaczego chodzi tam albo gdzie indziej, to by odpowiedziała:

– Bo mnie ciągnie guma.

Mógłby ktoś zapytać, co znaczy „wiedziała”? I jak można wiedzieć na odległość? Jedyna odpowiedź, jakiej by można udzielić na nierozsądne pytanie, byłaby:

– Tak jak bociany znajdują swoje stare gniazda, gdy przylatują wiosną.

W ten sposób przebywała zwykle w saloniku, gdzie chłopiec przeglądał gazety, na werandzie w kącie, żeby jej nie widziano, i w dużej ilości innych miejsc. Dowiedziała się w ten sposób, między innymi, że Emil poznał Irenę.

Pomału, pomału, zaczęła gasnąć wesoła beztróska, jej oczy robiły się duże; przedtem, przy uśmiechu, nie było ich wcale widać. Policzki straciły kolor jabłek, ale jeszcze nie zaczęły tracić ich kształtu. Robiła takie wrażenie, jakby spała za dnia i przy tym chodziła. Jej oczy zrobiły się niewidzące. Przestała grać w koszykówkę. Przestała chodzić na wycieczki. Nie zdając sobie z tego sprawy, stała się samotną dziewczynką. Rodzice nie zauważyli niczego, bo podczas sezonu

mieli dużo do roboty. Poza tym przestała zgadywać z jakich miast są goście, co zawsze w zdumienie przyprawiało portiera. Trzeba zaznaczyć, że nie mogło wprawiać kogoś innego w zdumienie, bo tylko portier o tym wiedział.

Gdy siedziała raz w saloniku i udawała, że czyta, a Emil – Ela wiedziała o tym – udawał też, że czyta i właściwie czekał na Irenę, a ona wiedziała, że Irena nie zejdzie, bo przyjechał do niej narzeczony, on spytał:

– Co czytasz?

I ona nie mogła odpowiedzieć, tak jej się trzęsły wargi i podbródek. Musiała zblednąć bardzo.

– Co ci jest?

Doszedł do niej i pogłaskał ją po włosach. Ona zamknęła oczy i twarzą odwrócona do niego bezgłośnie płakała. Odczuła głęboką ulgę, pierwszą odkąd tu go zobaczyła, pierwszą od dwóch tygodni. Było jej tak dobrze, że usnęła tej nocy bez strachów i bez snów. Na drugi dzień wstała wcześniej, w dziwnie świątecznym nastroju. Wyszła z pokoju w piżamie i szła przez korytarz wyłożony linoleum, wśród butów, które stały wyczyszczone przed rzędem drzwi. Przed 15. na przykład, to są buty Anny i jej mamy, z którą grały w koszykówkę. Przed numerem 17. stoją buty Ireny i jej narzeczonego. Wtem sobie przypomniała coś: dziś są jej urodziny.

Na końcu korytarza są szklane drzwi, które wychodzą na taras. Nie spiesząc się podeszła do drzwi i ma dziwną treść. Wiedziała dlaczego dziwny strach i radość trzepotały w niej jak ptak. Na tarasie leży Emil w piżamie, słońce liże mu powieki, jak kot. Ela wchodzi na taras całkiem cicho i staje za Emilem. Blednie, przymyka oczy i mówi:

– Ja mam urodziny dziś.

Pauza.

– Ach... Ile lat kończysz?

– Jedenaście.

Długa pauza.

– Proszę pana, czy ja mogę pana pocałować?

– Tak.

Zbliża się od tyłu do niego, ręce trzyma równo wzdłuż tułowia i całuje go w prawe oko. Cofa się natychmiast, wychodzi z tarasu tyłem, cofając się wciąż jak teatralny paż. Aż

do czwartej jest wesoła, jak dawniej. Gra w koszykówkę z Anną, idzie do parku, w którym gra muzyka, je z apetytem obiad, potem usypia.

Wstaje około czwartej i czuje, że się dzieje coś niedobrego. Najpierw sobie przypomina sny, potem sobie mierzy gorączkę: temperatura jest normalna. Wie, że coś jest nie w porządku, ale nie wie co i gdzie. Chodzi wzdłuż korytarza i wacha: Może się pali? Przed drzwiami numer 17. oczy sztywnieją jej i robią się niewidzące. Stoi chwilę. Potem naciska klamkę, drzwi się otwierają, ale ona nie wchodzi. W pokoju leży Irena, ubrana w krótkie, białe spodenki i biały golf. Koło niej na łóżku siedzi Emil. Irena mówi:

– Proszę cię, wejdz.

Ale ona zamyka pomału drzwi. Chwilę stoi przed zamkniętymi drzwiami i jej wzrok jest cały czas szklany, źrenice rozszerzone, jak po atropinie: mała lunatyczka, która wie to, co inni tylko przypuszczają, małe zwierzątko, które idzie śladem zapachu. Potem siedzi w saloniku i patrzy przez okno.

Pomału robi się ciemno, z sali jadalnej słychać ludzi rozmawiających przy kolacji. Potem widzi Emila wychodzącego z oświetlonego czworokąta drzwi, jak mu wiatr rozwiewa włosy i płaszcz, jak staje pod dużą sosną, w cieniu, w ciemności. Huczą pokryte sosnami góry, jak organy; sosny - piszczałki. Potem widzi Irenę, wychodzącą przez oświetlony czworokąt drzwi. Idą razem w stronę miasteczka przez las. Cienie chmur pełzają po górach, jak ameby. Wiatr, ciepły wiatr. Wtem widzi, że Emil wraca sam. Wraca i patrzy podobnie do niej: niewidząco. Siada na ławce i włosy rozwiewa mu wiatr. Siedzi i siedzi. Wtem głos matki:

– Ela, już pół do jedenastej, czas spać.

Ela spała źle tej nocy. Co chwilę zrywała się z krzykiem. Zdawało jej się, że ciężki, gruby kot leży na jej piersi. W końcu, już był dzień, usnęła.

Obudziła się cała mokra od potu. Było już późno: dzieciąta. Obudziła się przestraszona. Wstała z łóżka, ubrała się, umyła. Do pokoju weszła pokojówka, zakłopotana:

– Ten młody pan, spod 7., kazał paniencie to dać i tę kartkę. Młody pan wyjechał dziś rano. – I podała jej zniszczonego królika. A na kartce było napisane (co Ela z trudnością przeczytała, bo było bardzo niewyraźne):

„Nie rozstawałem się z tym królikiem od ósmego roku życia. Teraz go daję Eli na pamiątkę”.

Ela się wcale nie zdziwiła. Co więcej: zrobiła wrażenie, jakby była na tę wiadomość przygotowana. Położyła królika i kartkę na stole i wyszła z pokoju. Miała zupełnie suche oczy. Otworzyła pokój nr 17, Irena się zesała. Krzyknęła przeraźliwie:

– Dlaczego...? Dlaczego...?

Po dwóch miesiącach Emil dostał widokówkę, widokówkę z tej miejscowości, gdzie była Irena. Widokówka była zapisana szkolnym, niewyrobionym pismem. Treść była fragmentem popularnej wówczas piosenki:

„Ja mam czas, ja poczekam”.

O szczurach

Szczury są żywiołem.

Petersburg zimą. Do wodopoju, nad zamarzającą Newę. Szły co rano milionami, mlaskając ogonami. Ludzie zamykali domy, barykadowali się, ludzie śmierdzący, nienawistni, nienawidzący. Szczury dostojne, szare, z futrami zimowymi. Gdy Newa była pod lodem, szły ku dalekiemu morzu. Potem wracały. Dostojne i Królewskie.

Są zawsze z ludźmi, ale oni nie zdają sobie z tego sprawy.

Ludzie próbują fletu i to się czasem udaje.

Pod miastami. Przerastają swoją liczbą, inteligencją, organizacją ludzi.

Szczury są żywiołem.

Leo LIPSKI

Archiwum polityczne

Europa na progu XXI wieku

Szanowny Panie Dyrektorze Instytutu,
Ekscelencje, Szanowni Państwo!

Jest dla mnie satysfakcją, że tak znakomitemu gronu słuchaczy mogę zaprezentować moje refleksje, dotyczące jednoczenia Europy. Chcę przy tej okazji złożyć serdeczne gratulacje i wyrazy poważania naszemu gospodarzowi – obchodzącemu właśnie 20-lecie działalności Francuskiemu Instytutowi Stosunków Międzynarodowych – a szczególnie jego twórcy i dyrektorowi, panu Thierry'emu de Montbrial.

Trzy lata temu miałem zaszczyt mówić tutaj o Polsce i Unii Europejskiej, które razem wstępują na próg XX wieku. To, co wtedy było wizją dziś jest rzeczywistością. Rok 2000 jest o wyciągnięcie ręki, a Polska, razem z czterema innymi krajami Europy Środkowej, negocjuje z Unią Europejską warunki członkostwa.

Skalę zmian, pęd historii, odczujemy jeszcze pełniej, gdy wspomnimy, jak wyglądała Europa 10 lat temu. „Żelazna kurtyna” zaczynała dopiero pękać. Mało kto wyobrażał sobie jej rychły upadek. Nie wiem, czy ktokolwiek ośmieliłby się przepowiedzieć, że w roku 1999 Polska, Czechy i Węgry będą w NATO.

Wystąpienie Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego na konferencji międzynarodowej na forum Francuskiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych (IFRI) w Paryżu, 3.11.1999 (sesja p.t. „Jednoczenie Europy”).

Szanowni Państwo!

Jednocząc Europę, zmagamy się ze spuścizną okresu „zimnej wojny”. Myślenie o Europie obciążone było dychotomią. Mówiło się: Zachód i Wschód. Te pojęcia geograficzne stały się symbolami różnic – ideologicznych, politycznych, militarnych, gospodarczych. Mur berliński rozgraniczał dwa światy. Po jednej stronie demokracja, po drugiej totalizm. W jednym świecie – współpraca i integracja krajów-partnerów, w drugim – hegemonia sowieckiego mocarstwa.

Tak było. Ale Europa nie powstała w roku 1945, ani w 1918, ani nawet w 1815. Architektura podziałów nie jest kluczem do opisu europejskości. Europa to wieki i tysiąclecia wspólnej historii, zwłaszcza rozumianej jako procesy „długiego trwania”; to wspólna przestrzeń duchowa, to cywilizacyjne dziedzictwo pokoleń.

Wiekowe budowle i dzieła sztuki – na krakowskim Wawelu w Polsce, na praskich Hradczanach w Czechach, w węgierskim Esztergom, słowackiej Lewoczy, litewskim Wilnie, łotewskiej Rydze, estońskim Tallinie, ukraińskim Lwowie – są więcej niż zabytkami minionego czasu. Są znakami kulturowego kodu, w których wyraża się Europa i w których się przegląda jakby w lustrze. Tak jak w Paryżu, Rzymie, Oksfordzie, Wiedniu, Monachium.

Obecny rok jest czasem wielkich rocznic. Przypominają one o postaciach, które są gigantami europejskiej kultury. Dwieście lat temu urodzili się Honoré de Balzac i Aleksander Puszkina; 250 lat temu zmarł Johann Wolfgang Goethe; 150 lat temu zmarli Fryderyk Chopin i Juliusz Słowacki, wielki polski poeta. Wszyscy oni są twórcami dzieł, które składają się na europejską tożsamość i które nie uznają granic ani kordonów. Biografie można przywoływać niczym symbole. Artystyczny szlak Fryderyka Chopina prowadził z Warszawy, przez Berlin, Pragę, Wiedeń, do Paryża. Juliusz Słowacki urodził się w Krzemieńcu – który dziś leży w niepodległej Ukrainie; tworzył w Polsce i we Francji. Te, i inne wielkie postaci kultury, nauki, wynalazczości, są patronami naszej europejskiej jedności.

Europa jest wielobarwna, a jednak tworzy całość. „Żelazna kurtyna” nie była w stanie przeciąć tej duchowej

wspólnoty. Dlatego teraz, gdy upadły mury i szlabany, w myśleniu o Europie akcentujemy przede wszystkim to, co łączyło i łączy, a nie to, co dzieliło. To prawda, że doświadczenia systemu komunistycznego odcisnęły się na narodach Europy Środkowo-Wschodniej. Ich ślady pokutują jeszcze czasem w mentalności. Ale istnieje poczucie zakorzenienia w europejskich wartościach. W gruncie rzeczy, to właśnie na nim budujemy nasze sukcesy. Spójrzmy na Polskę. Rządy prawa, demokratyczne procedury, rozwój instytucji społeczeństwa obywatelskiego są oczywistością naszego życia publicznego. Konsekwentne reformy gospodarcze i duch przedsiębiorczości owocują wysokim wzrostem, trwającym już od siedmiu lat. Nasz sukces stał się zachętą dla inwestorów zagranicznych, którzy ulokowali u nas ponad 35 miliardów dolarów. W ciągu dekady Polska stała się innym krajem.

Nie dałoby się wykrzesać takiej energii z narodu, który nie ma głębokiej, psychicznej motywacji do rozwoju; który zatracił cnoty i zdolności, jakimi od wieków chlubi się europejska cywilizacja. Jest bowiem regułą wielkich zbiorowości, że sukces materialny jest pochodną wartości tkwiących w kulturze. Nasza przeszłość, nasze zakorzenienie w Europie jest napędem naszej teraźniejszości i przyszłości.

Panie i Panowie!

Dowody na to, że Europa stanowi wspólną przestrzeń duchową, można mnożyć. Pojęcia „Zachód” i „Wschód” mają dziś na powrót więcej wspólnego z geografiami niż z polityką, jednak pewne stereotypy są zasiedziały. To sprawia, że wzajemna otwartość miesza się czasem z nieufnością, partnerstwo z mentorstwem.

Są na przykład kręgi, dla których ciągle poruszająca jest kwestia „rachunku za Jałtę”. Trzeba pamiętać, że społeczeństwa Europy Środkowej i Wschodniej w większym stopniu niż społeczeństwa zachodnie przeżywają wspomnienia z przeszłości. Przez świadomość, szczególnie starszych pokoleń, przewija się wątek, że w krytycznym momencie naszej historii zostaliśmy przez Zachód opuszczeni.

Jednak postawa, nazwijmy to tak, „egzekutora historycznych długów”, coraz wyraźniej wygasa. Znowu przywołajmy

przykład Polski. Młode pokolenia patrzą przede wszystkim w przyszłość. Rozumieją że są kowalami własnego losu. Trzeba mieć także świadomość, że trudnemu procesowi jednoczenia nie pomaga coś, co czasem napotykałyśmy po stronie zachodniej, a co nazwać można postawą „sędziego technicznego”. Jest to skłonność do absolutyzowania standardów. Jest oczywiste, że członkostwo w Unii Europejskiej wymaga spełnienia bardzo wielu kryteriów. Jest oczywiste, że trzeba bacznie monitorować proces przejmowania prawa wspólnotowego (*acquis communautaire*), jasno wskazywać opóźnienia i zaniedbania. Negocjacje są trudną sztuką kompromisu, w której bardzo realistycznie należy ważyć racje. Nie da się odmierzyć w milimetrach tego, co jest wielkim działaniem się, kreacją. Jednoczenie Europy jest wielką przygodą naszej cywilizacji, historycznym wyzwaniem. Uczestnicząc w nim, musimy być realistyczni i skrupulatni, jednak powinna temu towarzyszyć wola zmian, odczytanie znaków czasu, rozmach wizji.

Szanowni Państwo!

Jeśli powieść się ma dzieło zjednoczenia, musimy głośno pytać o duszę Europy. Europejskość – to postawa aktywna, otwarta i twórcza. To wolność indywidualna, tolerancja, zmysł krytyczny. To swoboda wyrażania opinii i jednocześnie szacunek dla pojęcia prawdy. To demokracja, rządy prawa, społeczeństwo obywatelskie. To odważna, nieskrępowana przedsiębiorczość, a także wrażliwość społeczna, solidarność wobec słabszych i potrzebujących pomocy.

Jest przy tym bardzo charakterystyczne, że narody wchodzące do zjednoczonej Europy zaczynają odczuwać potrzebę debaty o własnej tożsamości. Chcą określić w sobie to, co ogólne i to, co indywidualne.

W Polsce w tym roku powstały dwa bardzo ważne filmy – ekranizacje dzieł literackich, uznawanych za esencję polskości. Obydwa cieszą się ogromnym zainteresowaniem. Jeden z tych obrazów to „Pan Tadeusz”, nakręcony przez Andrzeja Wajdę według poetyckiego eposu Adama Mickiewicza. Film jest efektem współpracy polskich i francuskich producentów. Jest to dzieło szczególne. Dialogi toczą się trzy-

nastozgłoskowym wierszem, a mimo to brzmią naturalnie. Obraz prowincjonalnej „małej ojczyzny” komponuje się z wielką sceną Europy, z epopeją napoleońską. Jest tam polska obyczajowość, litewska wieś, paryski salon – i dudnienie europejskiej burzy w roku 1812. Mówi się, że to epos i film rozumiały tylko dla Polaków – ale myślę, że mają one cechy uniwersalne. U progu XXI wieku my, Europejczycy, chyba właśnie tak odczuwamy naszą europejskość – jako zakorzenienie w świecie „małej ojczyzny” i narodowej kultury, a jednocześnie w świecie europejskich wartości. My – w naszym kraju – My w Europie.

Panie i panowie!

Jednoczenie Europy to nieprzerwany bilans osiągnięć i zagrożeń.

Dziejowym osiągnięciem są struktury integracyjne – Unia Europejska, a także NATO – oraz cały ich wieloletni dorobek. Bez nich zupełnie inaczej przedstawiałaby się historia Europy. „Ojcowie założyciele” projektu europejskiego – Jean Monnet, Robert Schuman, Alcide De Gasperi, Konrad Adenauer – stworzyli nam wszystkim możliwość, aby wyjść z zakłętego koła polityki europejskiej, poszukującej ciągle chwiejnej równowagi w balansowaniu sił. Odtąd drogę wytycza partnerstwo i współpraca. Unia walutowa, powstanie wspólnego obszaru sprawiedliwości i bezpieczeństwa, przygotowania do reformy wewnętrznej oraz dojrzewanie Unii Europejskiej do rozszerzenia nadają nowy wymiar procesowi integracji. Ważnym etapem jednoczenia Europy było rozszerzenie NATO. Oznaczało przekreślenie jałtańskich podziałów. Za tym krokiem powinny pójść następne.

Ale zjednoczoną Europę budują dzisiaj nie tylko kraje zachodnie. Impulsy zjednoczeniowe płyną z obu stron kontynentu. Coraz ważniejszym wkładem do ogólnoeuropejskiego sukcesu staje się regionalny sukces Europy Środkowej – polityczny i gospodarczy.

W Europie Środkowej i jej sąsiedztwie powstał mechanizm samoorganizujący się i samoregulujący. Produkuje stabilność i przewidywalność. Jest skuteczny, potrafi rozładowywać napięcia – także narodowościowe, które stały się zmo-

ra niektórych innych obszarów Europy. Przykładów jest wiele: pojednanie polsko-niemieckie, a także polsko-litewskie i polsko-ukraińskie, „aksamitny rozwód” Czechów i Słowaków, porozumienie rumuńsko-ukraińskie, udział mniejszości węgierskiej w rządzie słowackim. Stworzyliśmy CEFTA – wspólny obszar wolnego handlu. Próbuje łączyć ogniska współpracy regionalnej, aby stworzyć łańcuch współpracy od Bałtyku, poprzez Europę Środkową, aż po Morze Czarne.

Sporządzając europejski bilans, jako ważną pozycję w rubryce „ma” określić trzeba Trójkąt Weimarski. Współpraca Francji, Niemiec i Polski to nowy element polityki europejskiej, charakterystyczny dla nowej epoki. To jeden z kluczy do jedności i pomyślnej przyszłości Europy. Szczególnie zachęcające jest to, że wraz z upływem czasu możliwości Trójkąta Weimarskiego będą się nie wypalały, ale rosły. To istotna motywacja do współpracy.

Wyliczone tu sukcesy Europy nie powinny usypiać naszej czujności. Bo jak imponujący jest bilans osiągnięć, tak niepokojący swoimi rozmiarami jest również plik zagrożeń. Obudzili się demony złej przeszłości naszego kontynentu: autorytaryzm, agresywny nacjonalizm, ksenofobia. Szczególnie tragiczna karta to konflikty na Bałkanach, gdzie doszło do gwałcenia praw człowieka i praw mniejszości, czystek etnicznych, a nawet ludobójstwa. Niepokoić musi, że nawet w niektórych ugruntowanych, zachodnich demokracjach poparcie uzyskują siły polityczne, które do swego programu wpisały niechęć do ludzi innych narodowości. Choć w sumie umacnia się stabilność i bezpieczeństwo naszego kontynentu, wielu ludzi odczuwa, że zagrożone jest poczucie ich osobistego bezpieczeństwa.

Procesom zjednoczeniowym towarzyszy zarazem powstawanie nowych podziałów. W wielu wysoko rozwiniętych krajach Zachodu zetknąć się można wręcz z opinią, że niektóre obszary Europy są z założenia niezdolne do integracji. Nawet jeśli to przekonanie nie dotyczy Polski – budzi ono nasz najwyższy niepokój.

Widzimy też, że u wielu ludzi chwije się wiara w zdolności rozwojowe Europy. Euroceptycyzm zadomowił się w opinii publicznej Zachodu, stając się jej trwałym elementem. Coraz bardziej natarczywe staje się pytanie, czy Europa jest

w stanie sprostać światowej konkurencji. Czy europejski model socjalno-gospodarczy ma więc w sobie siłę ciągu, aby unieść nas w przyszłość? Moja odpowiedź brzmi: tak.

Ale, gdyby przyjęcie nowych członków do Unii Europejskiej miało się znacząco odwlec, reakcją byłaby u nas fala społecznego zniechęcenia, niewiary w sens poniesionych wysiłków. Ta fala, połączona z drugiej strony z zachodnim euroceptycyzmem, wyrządziłaby projektowi europejskiemu niemałe szkody.

Szanowni Państwo!

Czuje się tu reprezentantem tych milionów mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej, którzy wierzą w europejski sukces. Jesteśmy przekonani, że europejska cywilizacja ma przed sobą wielką przyszłość, a zjednoczony kontynent będzie najskuteczniejszą odpowiedzią na liczne wyzwania.

Pragnęlibyśmy aby kraje zachodnie widziały w nas nie tylko kandydatów do eurostruktur, ale przede wszystkim partnerów, którzy pomagają w budowie europejskiej pomyślności. Ta różnica to nie kwestia. To pytanie o solidarność w życiu Europy. Właśnie to poczucie solidarności nakazuje Polsce pytać o miejsce w europejskiej wspólnoty także dla naszych sąsiadów – dla Słowacji i Litwy, a także dla Łotwy, Rumunii, Bułgarii; dla innych mieszkańców kontynentu. To pytanie wydaje się niektórym przedwcześnie, albo nawet nie na miejscu, skoro stawia je kraj nie należący jeszcze do Unii. – Myślę jednak, że właśnie tym pytaniem Polska udowadnia, jak poważnie i odpowiedzialnie traktuje europejski projekt. Dla nas bowiem zjednoczona Europa to nie szalupa ratunkowa, do której im silniej starało się wejść, tym mocniej odpycha się potem innych chętnych.

Jednoczenie Europy nie może odbywać się inaczej jak etapami, których intensywności i długości nikt dzisiaj nie jest w stanie przewidzieć. Mamy zarazem świadomość, że Europa nie jest wizjonerską abstrakcją, Europa gdzieś się kończy. Myślę, że w XXI wieku zmierzyć się będziemy musieli z kilkoma zasadniczymi pytaniami.

Wielki ciężar ma pytanie o Rosję, o charakter jej kontaktów z Zachodem, z Unią, z NATO, z Europą Środkową.

Mysząc o tym, trzeba unikać uproszczeń. Odpowiedzi udzieli przede wszystkim sama Rosja. Bardzo ważne jest pytanie o Ukrainę, o powodzenie jej przemian gospodarczych, o kierunki strategicznych wyborów. Bez Ukrainy bezpieczeństwo i możliwości Europy mogą okazać się niepełne. Realne stało się pytanie o udział Turcji w Unii Europejskiej. Europa otwarta na współpracę ze Wschodem, także z krajami azjatyckiego sąsiedztwa – to wielkie cywilizacyjne wyzwanie, przed którym na pewno postawi nas XXI wiek. Polska pragnie i potrafi uczestniczyć w wychodzeniu naprzeciw tym pytaniom i wyzwaniom.

Panie i Panowie!

Jako pointę tych rozważań pragnę przywołać maksymę Jeana Monneta. Sens europejskiej wspólnoty streścił on znakomicie: „Nie jednoczymy państw, lecz łączymy ludzi”. Drugim zaś akcentem chciałbym uczynić myśl naszego gospodarza pana Thierry’ego de Montbrial. Napisał on: „Jeśli z historii XX wieku można wynieść jakąś naukę, to jest nią przekonanie, że realizm i idealizm nie wykluczają się wzajemnie, lecz uzupełniają”.

Niech będzie to dla nas wskazówka, pomocną w budowie europejskiego domu.

Aleksander KWAŚNIEWSKI

Z nordyckiej perspektywy

Nasilająca się w Polsce korupcja może zagrozić naszemu członkostwu w Unii

Transparency International jest ogólnosiwiatową grupą do walki z korupcją, publikującą co roku swój ranking różnych krajów w oparciu o tzw. wskaźnik korupcji obserwowanej

CPI (*Corruption Perceptions Index*). Wskaźnik ten oparty jest o 17 sondaży przeprowadzanych przez 10 niezależnych instytucji międzynarodowych, m.in. Bank Światowy, *Wall Street Journal*, World Economic Forum, American Institute of Public Opinion (czyli tzw. Instytut Gallupa), prestiżowy szwajcarski IMD etc. CPI podawany jest w skali od 1 do 10 – im wyższy wynik, tym większa uczciwość i wyższa pozycja w rankingu (wskaźnik rzędu 9,5-10 oznacza, że w osiągnięciem go kraju korupcja praktycznie nie występuje).

W tym roku pierwsza dziesiątka krajów najmniej skorumpowanych wygląda następująco (w nawiasie podajemy wartość CPI):

Dania (10), Finlandia (9,8), Szwecja (9,4), Nowa Zelandia (9,4), Kanada (9,2), Islandia (9,2), Singapur (9,1), Holandia (9,0), Norwegia (8,9), Szwajcaria (8,9). Tak więc pięć państw nordyckich znalazło się w czołówce tabeli. Dla porównania nadmienimy tylko, że np. USA zajęły miejsce 18, Francja 22.

Polska spadła z uzyskanej w ubiegłym roku pozycji 39 na 44, uzyskując CPI wartości 4,2 punktów – szczególnie wstyd, iż wyprzedzają nas nie tylko Słowenia (25 miejsce), Estonia (27 miejsce), Węgry (31 miejsce) i Czechy (39 miejsce), ale nawet Mongolia, Urugwaj, Peru, Tunezja czy Namibia. W opinii instytucji niezależnych uchodzimy więc za kraj bardzo skorumpowany. Co więcej – o ile nasi rywale w wyścigu do członkostwa do Unii swoją pozycję z roku na rok poprawiają, to Polska spada w dół tabeli. Przyczyniła się do tego (choć nie tylko!) przeprowadzona właśnie w Polsce reforma administracyjna: do tradycyjnie już skorumpowanych urzędników dołączyli pazerni na łapówki samorządowcy.

Ocenia się, że widzenie naszego kraju jako szczególnie skorumpowanego może mieć znacznie większy wpływ na szanse przyjęcia do Unii niż niedawne perturbacje złotówki, którym prasa polska poświęciła całe kolumny i strony. To prawda, że i Komisję i międzynarodowe koła finansowe niepokoi rosnący w Polsce deficyt handlowy i deficyt rachunku bieżącego, zwłaszcza iż wobec narastającej ponad zakładany poziom inflacji, nie należy liczyć na duży napływ dewiz. Pamiętajmy jednak, że Polska jest krajem biednym i dopiero rozwijającym się, a więc trudno oczekiwać od niej takich wy-

ników finansowych jak od Irlandii, czy Hiszpanii (nie mówiąc już o kwitnącej znowu Szwecji). Aż 7% PKB deficytu rachunku bieżącego to bardzo dużo, ale są kraje rozwijające się, które mają jeszcze większy. Zdaniem wielu skandynawskich ekonomistów złotówka i tak jest przewartościowana, a jej ostatnie wahnięcia miały przyczyny głównie polityczne – były odpowiedzią rynku na dysfunkcję obecnej polskiej koalicji, na słabość rządu z „malowanym premierem” na czele. Gwałtowne spadki kursu walut są jednak tak charakterystyczne dla wielu krajów rozwijających się, jak pewne choroby dla wieku dziecięcego. Natomiast mniej lub bardziej otwarte tolerowanie korupcji, ciemnych afer i sławnych hasetek w rodzaju „pierwszy milion trzeba ukraść” jest objawem fundamentalnej różnicy między krajem dotkniętym tym schorzeniem a Unią Europejską. W Unii korupcja też występuje, ale się z nią walczy i za nią karze.

Gwoli sprawiedliwości nadmienimy, że po opublikowaniu tegorocznego rankingu Transparency International także i nasze media krajowe zaczęły się zajmować polską korupcją. Ciągłe jednak zajmują się samym faktem jej istnienia, a nie przyczynami oraz powodem nasilania się tego smutnego zjawiska. Na pewno istnieją pewne przyczyny historycznie obiektywne, np. wątki tradycje własnego państwa musiały zaowocować słabym poziomem polskiej administracji i jej niską rangą w społecznej hierarchii. Luterkański rygoryzm krajów nordyckich, w których nawet drobne nieprawidłowości postępowania polityków czy urzędników państwowych spotykają się z silnym potępieniem społecznym, jest też całkowicie sprzeczny z polską mentalnością. Opisywana kiedyś przeze mnie „afera” byłej szwedzkiej wicepremier Mony Sahlin (*Kultura* 1/580-2/581) czy niedawna „afera” byłego ministra finansów E. Åsbrinka – który załatwił sobie przydział mieszkania lokatorskiego w Sztokholmie bez kolejki (*sie!*) – są z polskiej perspektywy wręcz niezrozumiałe. Mniemam jednak, że duży wpływ na skorumpowanie polskich urzędników oraz na pogłębianie się tego zjawiska ma specyficzny, świadomie przez część mediów stworzony, kult rozbuchanego konsumpcjonizmu. Opisywany często głód rzeczy był zawsze silny w komunistycznej gospodarce niedoborów; w Polsce był on może szczególnie silny z uwagi na nasz indywidualizm i chęć wyróżniania się.

Wielki brak pracowników branży IT

Jorma Ollila jest szefem koncernu Nokia, którego wyniki – a nawet sam fakt istnienia są źródłem nieustannego zdumienia analityków ekonomicznych. Wprawdzie pod względem obszaru jest Finlandia większa od Polski, ale ma zaledwie 5 milionów mieszkańców i jeszcze w drugiej połowie lat 60-tych, gdy koncern Nokia powstał w obecnej swej postaci, była głównie dostarczycielem taniej siły roboczej do innych krajów nordyckich, zwłaszcza do Szwecji. Fakt, iż taki peryferyjny kraj – którego 3/4 powierzchni pokrywają ostatnie, prawdziwe puszcze Europy – potrafił stworzyć nowoczesny i działający w skali globalnej koncern elektroniczno-telekomunikacyjny jest już wystarczającym powodem do zdziwienia; natomiast fakt, że owa Nokia pod względem wyników finansowych i rozwoju technologicznego prześcignęła swoich dwóch głównych konkurentów w skali światowej, amerykański koncern Motorola i szwedzki Erickson, jest sukcesem, który wydaje się wręcz niewiarygodny.

Jednak 21 października 1999 Jerma Ollila – prezentując kolejny, wspaniały rezultat finansowy firmy – oświadczył również, że jej rozwój w macierzystej Finlandii dobiega kresu, po prostu z braku rąk i głów do pracy. W roku ubiegłym Nokia – mająca dziś ponad 54 tysiące zatrudnionych – dysponowała 11 tysiącami nowych miejsc pracy. Udało się zaleźć 9500 stosownych osób, z czego jednak tylko 2700 w Finlandii. Ponieważ z uwagi na warunki klimatyczne ściąganie kadr zagranicznych do Finlandii jest prawie niemożliwe, Nokia w coraz większym stopniu lokować będzie swoją działalność za granicą, zwłaszcza w zakresie badawczo-rozwojowym i wdrożeniowym technologii informatycznych (IT).

Nokia nie jest naturalnie jedyną firmą odczuwającą stały brak pracowników. Amerykańska firma analityczna Jupiter Communications dokonała ostatnio oceny zaawansowania różnych krajów w IT i ich wykorzystywania w tzw. nowej gospodarce¹ (uwzględniono ilość stałych użytkowników Inter-

1. Wprowadzonemu dziś do literatury pojęciu nowa gospodar-

netu, telefonów komórkowych, koszty połączeń, zwyczajnie konsumentów, procent PKB przeznaczany na badania etc.). Wśród krajów wiodących znalazły się naturalnie USA oraz cztery kraje nordyckie: Szwecja, Dania, Finlandia i Norwegia – *nb.* pod niektórymi względami (np. ilości gospodarstw domowych podłączonych do Internetu czy ilości telefonów komórkowych w stosunku do liczby mieszkańców kraje nordyckie już prześcignęły USA, które jednak nadal dominują w handlu elektronicznym). Otóż we wszystkich powyższych pięciu krajach odczuwa się palący wręcz brak pracowników branży IT. Według danych firmy Jobline International w samych tylko USA brakuje dziś ponad pół miliona pracowników tego sektora, a sytuacja będzie się pogarszać z roku na rok. Jak to ujął dyrektor amerykańskiej firmy IT, Lycos – Bob Davis – znacznie trudniej znaleźć dziś ludzi niż kapitał. Podobny trend obserwuje się także w Szwecji. Przewodniczący szwedzkiego Związku Użytkowników Komputerów, Tony Hagström stwierdził, że brak pracowników w branży IT jest palący i coraz większy oraz przedstawił rządowi listę przedsięwzięć szkoleniowych, które należy natychmiast wykonać (*Computer Sweden*, 8 XI 99). Nic dziwnego, że na rynku pracy IT toczy się bezwzględna walka o siłę roboczą. Powstały wyspecjalizowane w tym celu agencje, które podkupują pracowników dokładnie tak, jak kluby sportowe znanych piłkarzy. Naturalnie nie rozwiązuje to problemu i niczym niezwykłym nie jest, gdy fachowcy IT pracują 60-70 godzin tygodniowo. Przy takim przepracowaniu sporo z nich trafia wkrótce do szpitali i problem staje się jeszcze większy. Rekrutacja nowych pracowników jest skomplikowanym zagadnieniem logistycznym, gdyż najczęściej chodzi o znalezienie osób o odpowiednich kwalifikacjach na odpowiedni okres (np. na projekt 30-miesięczny), przez który trzeba ich w firmie utrzymać. A nie jest to proste. Tzw. stała praca w ogóle odchodzi w przeszłość. O ile w latach 50-tych i 60-tych pracownik średnio pozostawał w firmie przez 22 lata, o tyle dzisiaj –

ka (czy też nowy kapitalizm) postaramy się poświęcić osobny artykuł w jednym z najbliższych numerów *Kultury*. Dla potrzeb niniejszej noty wystarczy trawestacja definicji W.I. Uljanowa: nowy kapitalizm to globalizacja plus IT.

przez 4-5 lat, a w branży IT już tylko 3 lata. Zresztą w tej branży pracownik jest poniekąd zmuszony do częstej zmiany zajęcia, gdyż wśród agencji rekrutacyjnych i szefów personalnych panuje opinia, iż ktoś, kto pracy często nie zmienia, ma słabe kwalifikacje profesjonalne i psycho-socjalne.

Coraz większy brak pracowników jest nie tyle problemem, co całym kompleksem problemów politycznych, społecznych, a nawet obyczajowych. Te ostatnie zilustruję tylko jednym przykładem. I tak np. ponad 70% szwedzkich firm IT zlokalizowanych jest w stolicy. Z anonów oferowanej pracy dochodzi więc wielki wrzask, że brak ludzi. Równocześnie na prowincji nadal jest stosunkowo dużo bezrobotnych o niezłych kwalifikacjach. Teoretycznie możliwe jest przeszkolenie ich na fachowców IT i umożliwienie im tzw. pracy na dystans, a więc z domu przez sieć. Technicznie jest to także możliwe, ostatecznie w Szwecji 100 tysięcy osób pracuje dla swojej firmy przed komputerem w domu przynajmniej jeden dzień w tygodniu, co więcej, praca na dystans okazuje się bardziej efektywna niż praca w firmie. A jednak nie jest popularna, gdyż ludzie po prostu chcą chodzić do pracy. Z jednej strony zdają sobie chyba sprawę, że zawodowe zajęcia w domu są ekonomicznie bardziej korzystne dla pracodawcy niż dla pracobiorcy (praktyczne zatarcie granicy między czasem pracy i czasem wolnym jest bardzo stresujące). Z drugiej strony jest prawdą, że nowe pomysły, inspiracje, koncepcje, rodzą się w interakcji – najczęściej w czasie picia kawy czy spożywania lunchu z kolegami. Ponadto osoba pracująca głównie na dystans *nolens volens* nie należy do kolektywu, co zawsze obniża nieco jej pozycję w firmie. Być może z czasem stosunek do pracy na dystans ulegnie zmianie, ale ponieważ zmiany mentalnościowe zachodzą znacznie wolniej niż techniczne, coś trzeba zrobić już dziś, gdyż na dłuższą metę rekrutacja przez podkupywanie sobie kadry jest błędnym kołem.

Sposoby rozwiązywania problemu braku fachowców IT są różne, w zależności od wielkości i tradycji danego kraju. W USA liczy się na coraz wcześniejszą i coraz agresywniejszą rekrutację (znana firma Oracle twierdzi, że należy ją rozpoczynać już w pierwszej szkolnej klasie, starając się tak zafascynować dzieci nieograniczonymi możliwościami IT, aby w

przyszłości wybierały właśnie zawody z tej branży). W Europie bardziej liczy się na interwencje państwa, zresztą w wypadku niewielkich krajów nordyckich trudno opierać się tylko o rekrutację nowych, młodych fachowców, gdyż po prostu nie ma tylu ludzi, trzeba przekształcać tych, którzy już są na rynku pracy. Jest to zresztą o tyle możliwe, że robotnik niemiecki czy szwedzki jest na znacznie wyższym poziomie ogólnym od robotnika amerykańskiego i do przeszkolenia się nadaje. Pytanie tylko, kto ma za to zapłacić. Piszący te słowa nie jest zwolennikiem modelu amerykańskiego: zresztą w Europie żadna niewidzialna ręka rynku nie rozwiąże tych licznych problemów, które nasuwa „nowa gospodarka”. Pomoc państwa i Brukseli jest konieczna, ale trzeba też przyznać, że europejskie firmy często przesadzają z liczeniem na zakres tej pomocy. I tak rząd fiński zainwestuje w latach 1998-2000 pokąźną sumę 200 milionów dolarów na program przekształcania siły roboczej oraz tworzenia nowych miejsc studiów dla specjalistów IT i inżynierów. Nokia – największy, najbogatszy i najbardziej tym programem zainteresowany koncern Finlandii – ofiarował na ten cel żenującą wręcz sumę 8 milionów dolarów.

Interesujące postulaty wobec szwedzkiego rządu wysunął wspomniany powyżej Tony Hagström; jego zdaniem należy:

- objąć państwowymi kursami IT, organizowanymi przez Główny Zarząd Rynku Pracy, nie tylko dzisiejszych bezrobotnych (wielu z nich i tak nie mpoźna zatrudnić ze względów społecznych, np. z powodu nałogów czy imigranckiego pochodzenia), ale ludzi, którzy już mają pracę, lecz z powodu niskich umiejętności w zakresie IT mogą ją stracić;
- stworzyć więcej gimnazjów IT i gimnazjów multimedialnych, w tym – takie gimnazja dla dorosłych;
- wprowadzić do wszystkich wyższych szkół pedagogicznych szeroki program IT z prawdziwego zdarzenia (aby wreszcie zlikwidować tę żenującą, a ciągle mającą miejsce sytuację, iż niektórzy uczniowie mają często większe umiejętności IT niż nauczyciele);
- opracować i udostępnić bezpłatnie wszystkim zainteresowanym na Internecie różne programy szkoleniowo-ćwiczebne (istnieją już dziś takie kursy, np. o Wireless Application Protocol, ale ciągle w niewielkim zakresie);

– doprowadzić do tego, aby każdy uczeń kończący szkołę podstawową, zasłużył na zestandaryzowane, europejskie komputerowe prawo jazdy (mniej skomputeryzowanym czytelnikom wyjaśniam, że jest to po prostu świadectwo, potwierdzające znajomość programów podstawowych, a przez wiele firm już wymagane nawet przy szukaniu bardzo prostych prac).

Od siebie dodam, że pierwszy postulat – bardzo kontrowersyjny politycznie (tego typu państwowe kursy przeznaczone były dotychczas wyłącznie dla bezrobotnych) – został już zaakceptowany. Na rok 2000 rząd szwedzki przeznaczył sumę 130 milionów SEK na szkolenie m.in. tych, którzy pracę już mają (dotyczyć będzie ono zwłaszcza branży budowlanej, transportowej, niższych szczebli służby zdrowia i szkolnictwa); część osób kształcona ma być sukcesywnie wg tzw. programu Coop.

Coop – interesujący eksperyment

Pięć wyższych uczelni w Szwecji kształci studentów na kilku kierunkach technicznych i handlowych według amerykańskiego programu Coop (Cooperative Education). Mówiąc najogólniej, Coop polega na kombinowaniu studiów i pracy w firmach, które potrzebują fachowców danej specjalności. W Szwecji pionierem tego programu, realizującym go już od 9 lat, jest HTU (Wyższa Szkoła Trollhättan/Uddevalla) – po zaliczeniu pierwszych trzech semestrów student nawiązuje kontakt z kilkoma ze 150 współpracujących z uczelnią firm, wybiera najbardziej interesujące go przedsiębiorstwo i pracuje w nim przez semestr. Następnie kontynuuje studia przez dwa semestry i znowu przez jeden semestr pracuje w jakiejś firmie. Praca jest też często kontynuowana w czasie wakacji. Wadą tego systemu jest, iż studia trwają oczywiście dłużej. Z drugiej strony ma on też liczne zalety (pomijam tu aspekt materialny, choć otrzymywanie w okresie praktyki normalnych poborów nie jest obojętne dla osób żyjących z dość chudej w Szwecji pożyczki na studia). Przede wszystkim studentom łatwiej się zorientować, na czym będzie polegała ich późniejsza praca, a więc łatwiej wybrać im końcową specjalizację. Znacznie

łatwiej otrzymują też atrakcyjną pracę, gdyż mają już nawiązane kontakty z kadrami różnych firm. Ponadto, jak wykazują dane statystyczne, start absolwenta programu Coop do rzeczywistej kariery jest krótszy – pracodawca wychodzi z założenia, iż pracownikowi, który już się wcześniej jakoś sprawdził, wystarczy się krócej przyglądać przed zaproponowaniem wyższego stanowiska. Ponadto studenci – widząc z praktyki, czego będzie od nich wymagać przyszły pracodawca – mają możliwość wpływania na program swoich studiów. Aspekt ten jest bardzo ważny, gdyż w ostatnich latach jeszcze powiększył się rozdziew między oczekiwaniami biznesu a możliwościami kształcenia uczelni.

Przebywający niedawno ze studyjną wizytą w Szwecji amerykański specjalista od programu Coop, profesor Jim Wilson, przyznał szczerze, iż system ten został stworzony także w interesie wyższych uczelni. W USA wielkie firmy wydają na kształcenie swojego personelu sumy porównywalne z budżetami dydaktycznymi dużych uczelni, a trend ten obserwowany jest także w Szwecji. Jest normalną praktyką, że wielkie szwedzkie koncerny kupują od wyższych uczelni różne kursy dla swoich pracowników. Ze względów finansowych starają się na nich wykładać najlepsi nauczyciele akademicy i z oczywistych względów nie są tym zachwyceni zwykli studenci stacjonarni (pamiętajmy, że studiują oni za pieniądze pożyczone, które będą musieli zwrócić, a więc przyzwyczajeni są do stawiania wymagań). Nieustannie powstają też nowe zawody i uczelnie najwyraźniej nie nadążają za potrzebami biznesu.

Jim Wilson podkreśla, że program Coop przeznaczony jest dla ludzi, którzy chcą robić szybką karierę tzw. wąskich specjalistów, którym na wizytówce wystarczy tytuł *interaction design manager*, *senior account manager*, *CRM-engineer* czy *business team manager*. Nie jest to system kształcenia stosowny dla przyszłych badaczy, którzy powinni otrzymać możliwie solidną wiedzę interdyscyplinarną, ani nawet dla osób aspirujących do najwyższych szczebli kierowniczych, od których również wymaga się szerokiej perspektywy poznawczej. I oczywiście nie jest to system dla humanistów. Chociaż program Coop został początkowo stworzony dla inżynierów oraz przedstawicieli różnych nowych zawodów

(typu: internetowe strategie maklerskie), sprawdza się również w wypadku absolwentów szkół dziennikarskich. Także w Szwecji poważne nawet gazety ograniczają etaty, coraz chętniej posługując się *freelancerami* i ktoś, kto już w czasie studiów przeszedł szlif w różnych redakcjach, lepiej radzi sobie w tym niepewnym układzie.

Prorektor wspomnianej HTU, Göran Olsson również przyznaje, że większa integracja między biznesem i wyższymi uczelniami leży przede wszystkim w interesie tych ostatnich. Wielkie firmy, już dziś dysponujące rozbudowanymi działami kształcenia personelu, mogą sobie nawet stworzyć własne szkoły wyższe, w dodatku dziś – w epoce globalizacji – na poziomie międzynarodowym. Prorektor Olsson uważa ponadto, że program Coop powinien też działać niejako w drugą stronę, tzn. osoby już wykształcone i zatrudnione mogłyby uzyskiwać płatny urlop na krótsze studia komplementarne, specjalnie dostosowane do potrzeb pracodawcy. W przeciwnym wypadku idea permanentnego kształcenia i podnoszenia kwalifikacji przez całe życie – do czego pracobiorcy nieustannie są namawiani – nigdy nie wejdzie w studium realizacji. A wobec rzeczywistości rewolucyjnych zmian rynku pracy realizacja ta jest niezbędna.

Stefan ABNER

Wywiady „Kultury”

W kierunku sprawnej armii...

ROZMOWA Z DR. PAULEM LATAWSKIM,
WYKŁADOWCĄ NA KRÓLEWSKIEJ AKADEMII
WOJSKOWEJ W SANDHURST

JANUSZ MONDRY: – *We wrześniu Kultura umieściła moje omówienie Pana książki o transformacji Wojska Polskiego na drodze do NATO. Co skłoniło Pana do podjęcia tematyki WP? Czy jest to Pana specjalność, czy w przyszłości zamierza Pan dalej zajmować się tym tematem?*

PAUL LATAWSKI: – *Moje zainteresowanie Wojskiem Polskim wywodzi się z mojego zainteresowania tymi sprawami w szerszym kontekście Europy Środkowo-Wschodniej, konkretnie państw tzw. Grupy Wyszehradzkiej, nowych członków NATO. Korzenie konkretnego zainteresowania Polską sięgają do r. 1981, okresu stanu wojennego. Zaintrygowały mnie zagadnienia kontroli cywilnej nad wojskiem w Polsce, mój pierwszy przyczynek na ten temat pt. „The Polish Military and Politics” ogłosiłem w Londynie w r. 1984. Było to pisane w zupełnie innej sytuacji politycznej w Polsce i Europie, moja ostatnia praca powstała w kontekście zupełnie odmiennych uwarunkowań.*

J.M.: – *Ale zainteresowanie tematem pozostało?*

P.L.: – *Tak. Zagadnienia stosunków między władzami cywilnymi a wojskowymi pozostają w centrum moich zainteresowań.*

J.M.: – *Nawiązując do Pana ostatniej książki, chciałbym powrócić do jednego ważnego aspektu sprawy reformy WP, a mianowicie sprawy liczebności polskiej armii, jej profesjonalizacji, w związku z dominującym dziś trendem wśród państw członkowskich NATO w Europie Zachodniej. Wydaje się, że brytyjski model elitarniej armii zawodowej zaczyna być powszechnie naśladowany. Niedawno Francja ogłosiła plan kompletnej profesjonalizacji armii do r. 2002, również Hiszpania, chociaż Niemcy zastrzegają się, iż pewien zakres armii poborowej będzie utrzymany. Natomiast w wydanej niedawno w kraju książce pt. „Sojusz a obrona narodowa”, gen. Bolesław Balcerowicz zapowiedział, że obecny balans 50:50 między armią poborową a zawodową w WP będzie prawdopodobnie utrzymany w przyszłości. Jak Pan widzi, na tle trendów europejskich, sprawę liczebności, profesjonalizacji WP?*

P.L.: – *Myszę, że osiągnięcie i utrzymanie takiego balansu, równowagi między wojskiem poborowym a armią zawodową jest krokiem we właściwym kierunku. Należy pamiętać, iż sprawa redukcji armii poborowej była, jest i pozostanie niezmiernie delikatnym dylematem dla wszystkich rządów RP, ze względu na jej wyraźnie psychologiczny wątek. Służba w wojsku była i jest uważana za swoiste wypełnianie obowiązku obywatelskiego, jest przejawem patriotyzmu. Lecz są i inne, bardziej pragmatyczne aspekty tego zagadnienia. Wystarczy przypomnieć, iż armia poborowa jest ważnym, istotnym składnikiem w aktualnych założeniach doktryny obronnej w odniesieniu do projektu tzw. „Obrony Terytorialnej”. Nie ulega wątpliwości, iż sprawa profesjonalizacji Polskich Sił Zbrojnych, kosztem stopniowej redukcji armii poborowej, pozostanie jeszcze długo dylematem dla przyszłych rządów w Polsce. Niemniej wymogi racjonalizacji kosztów obrony wskazują wyraźnie w kierunku nie tyle liczebnej, co sprawnej, dobrze wyszkolonej i wyposażonej armii zawodowej, co jest dziś wyraźnym trendem w europejskich krajach NATO. Do wymienionych przez Pana krajów należy dodać jeszcze Włochy, również z wyraźnie określonym planem kompletnej profesjonalizacji.*

J.M.: – *Czy jednak specyficznie polskie, geopolityczne racje nie przemawiają za utrzymaniem solidnej części armii po-*

borowej? Racje podobne do odczuwanych jeszcze niedawno w Niemczech. Czy nie jest tak, iż im bliżej wschodniej granicy NATO, tym mocniejsze racje dla armii lądowej? A mniejsze dla uczestniczenia w specjalnych misjach NATO, na obszarach poza ścisłym obrębem NATO?

P.L.: – Nie myślę, iż jest to właściwe spojrzenie na te sprawy, iż położenie geograficzne może tu stanowić o liczebności czy stanie profesjonalizmu armii. Nie przesądza to również sprawy uczestnictwa w misjach NATO. Właśnie przykład Polski w niedawnym konflikcie bałkańskim wykazał, iż dobrze wyszkolone jednostki nowych państw członkowskich mogą z powodzeniem brać udział w takich misjach. Nawet będąc dopiero w stadium dostosowania, integracji z NATO. Co jednak nie oznacza, iż członkowskie kraje NATO, nie tylko nowe, nie mogą mieć odrębnej polityki obronnej, uwzględniającej własne, specyficzne uwarunkowania geograficzne, wymogi obrony. Tak jak w wypadku Polski, gdzie projekt Obrony Terytorialnej stanowi ważny, integralny element obrony kraju.

J.M.: – *Jakkolwiek uznaje Pan pewną specyfikę polskich wymogów obronnych, przemawiających za utrzymaniem części armii poborowej, to jednak niewątpliwie wyraźny trend w kierunku większej profesjonalizacji polskich sił zbrojnych. Jak Pan, w takim kontekście, widzi sprawy szkoleniowe kadr WP? Przed wojną była w Polsce „tradycja francuska”. Czy dziś, w zmienionych układach, warto by przywrócić się bliżej modelowi brytyjskiemu?*

P.L.: – Myślę, że brytyjski system szkolenia kadr oficerskich i zawodowych miałby tu wiele do zaoferowania. W rzeczywistości wpływy brytyjskie są już dziś widoczne. Wystarczy tylko spojrzeć na schematy różnych misji pokojowych WP, by zauważyć w nich wpływy zachodnie, w stylu musztry, wydawania rozkazów, komendy itp. System szkoleniowy kadr WP jest już dziś właściwie oparty na wzorcach NATO, a z biegiem czasu będzie dochodziło do jeszcze większego zacierania różnic, chociaż pewne odrębności narodowe pozostaną, zresztą jak w wypadku innych krajów członkowskich.

J.M.: – *Głównym tematem Pana ostatniej książki jest refor-*

ma WP. Równie ważną sprawą dla obronności kraju jest kwestia uzbrojenia wojska, jego wyposażenia, dostaw sprzętu itp., co wiąże się ściśle ze sprawą restrukturyzacji polskiego przemysłu zbrojeniowego. Jest on, jak wiadomo z różnych doniesień prasowych, w opłakanym stanie. Z braku zamówień, klientów, wiele zakładów zbrojeniowych znajduje się na pograniczu bankructwa, łączna liczba zadłużenia oceniana jest na prawie 2 miliardy złotych, co ogromnie utrudnia proces prywatyzacji poszczególnych branży tego przemysłu. Na tle takich trudności, jakie Pan widzi szanse przetrwania polskiego przemysłu zbrojeniowego, jego widoki na przyszłość?

P.L.: – Sądzę, że polski przemysł zbrojeniowy przechodzi dziś podobny kryzys, przypomina los przemysłów zbrojeniowych większości krajów zachodnich, po zakończeniu zimnej wojny. Mocno zredukowany zakres potrzeb zbrojeniowych spowodował drastyczne skurczenie popytu na nowe dostawy broni, sprzętu itp., co zmusiło wiele koncernów zbrojeniowych do zmiany kursu, dywersyfikacji, przestawienia się na cywilną produkcję. Polski przemysł zbrojeniowy stoi dziś w obliczu podobnych problemów i wyzwań, pójdzie podobną drogą rozwoju, stopniowej ewolucji w kierunku innych dziedzin produkcji. Co jednak nie oznacza, iż cały polski przemysł zbrojeniowy przestanie istnieć, pewne jego branże, odpowiednio zmodernizowane, będą dalej produkować dla potrzeb WP. Jest tu, oczywiście, problem uporania się ze znacznym nadmiarem produkcji, swoistej pozostałości okresu zimnej wojny, a więc konieczność racjonalizacji, ograniczenia produkcji do nowoczesnych potrzeb armii. Sądząc z postępującego procesu asymilacji, zlewania się zakładów, proces takiej koncentracji w polskim przemyśle zbrojeniowym już się rozpoczął. Sprzyja temu procesowi niedawna ustawa o racjonalizacji przemysłu zbrojeniowego. W sumie proces takiej racjonalizacji pójdzie, sądzą, wg linii podobnych procesów racjonalizacji w Europie Zachodniej.

J.M.: – *Proces modernizacji, racjonalizacji polskiego przemysłu zbrojeniowego może trwać jeszcze lata, a tymczasem pozostaje niezmiernie pilna sprawa odpowiedniego dozbrojenia WP, modernizacji wyposażenia, dostaw nowoczesnych broni i sprzętu, dostosowania do NATO. Wg ostatnich*

danych londyńskiego instytutu strategicznego (IISS, *Military Balance*, 1998), teoretycznie wojsko polskie dysponuje niezłą ilością czołgów, samolotów itp., lecz liczba sprzętu zbliżona do poziomu NATO jest przerażająco niska, np. zaledwie 12 czołgów, 8 samolotów bojowych itd. Sytuacja więc katastrofalna. Jak na tle takiej sytuacji widzi Pan sprawę systemu dostaw dla WP?

P.L.: – Właśnie. Sprawa zaopatrzenia dla WP jest integralną częścią procesu reformy, transformacji polskich sił zbrojnych, lecz trudno w jasny sposób dostrzec, na czym system ten polega, jak pracuje. Wydawane są od czasu do czasu dyrektywy, co i jak trzeba dodać, czego armia potrzebuje, odnośnie podziału i dystrybucji takich dostaw, a więc zasadniczo w podobny sposób, jak sprawy dostaw wyglądają w krajach NATO. Jest jednak wiele niejasności. Wydaje mi się, że nacisk kładziony na głównie strategiczne elementy „interpretacyjności” to słuszną decyzją, lecz nie jest tak, by cały dotychczasowy system sprzętu i zaopatrzenia WP stał się nieprzydatny, że każdą armię trzeba dostosować do NATO. Kryterium to nie oznacza, iż WP powinno pozbyć się wszelkiej dotychczasowej broni, to jest przesada.

J.M.: – Są to zapewne sprawy o istotnym znaczeniu dla racjonalizacji kosztów zaopatrzenia, biorąc pod uwagę, iż znaczna część broni i sprzętu pochodzi w dalszym ciągu z obszaru b. ZSSR. W ostatnim rozdziale swej książki wspomina Pan, iż pewna ilość MiG-ów została nabyta drogą barterową z Czech. Jak na tym tle ocenia Pan niedawną „ustawę offsetową” odnośnie zakupów broni. Czy na obecnym, przejściowym etapie racjonalizacji, ma ona większy sens?

P.L.: – Nie sędzę, iż jest ona czymś niezwykłym, negatywnym. Chodzi tu o to samo, co w wypadku offsetingu na Zachodzie, o zapewnienie, iż w wypadku wielkich zakupów broni, znacznych kontraktów, część produkcji będzie się odbywała w kraju zamówienia, w danym wypadku w Polsce. Ustawa ta jest częścią procesu racjonalizacji, oparta jest na ustalonych praktykach zachodnich, w zasadzie dobra dla polskiego przemysłu zbrojeniowego.

J.M.: – Wracając do Pana książki, do „Planu reformy 2012”, który Pan szczegółowo przedstawia w ostatnim rozdziale. Dla ostatecznego sukcesu reformy WP potrzebna jest, co Pan nieustannie podkreśla, jawna i otwarta debata, w massmediach, telewizji itp., czego jednak w Polsce brak. W porównaniu np. z jawnością, z jaką była w Wielkiej Brytanii debatowana rewizja doktryny obronnej, tzw. *Strategic Defence Review (SDR)*. Czy od napisania i wydania książki, widzi Pan jakieś zmiany na lepsze, poprawę sytuacji?

P.L.: – Tak, od czasu wydania książki, dostrzegam zmiany na lepsze, w kierunku większej otwartości – w formie zwiększonej ilości publikacji, debat na łamach prasy, w telewizji. Poszerzył się zakres publicystyki na tematy związane z reformą WP. Właśnie w związku z „Planem 2012”, Przewodniczący Komisji Obrony Narodowej RP niedawno zapowiedział publiczną debatę tych zagadnień. Jeżeli zapowiedzi takie są szczere, to myślę, że dobrym przykładem do naśladowania byłby tu właśnie brytyjski model SDR, sposób jego prezentacji w massmediach, wysoko notowany w Europie. Zobaczmy, czy i w jaki sposób polskie Ministerstwo Obrony wprowadzi w życie mechanizmy, umożliwiające otwartą debatę nowej doktryny obronnej, reformy WP.

J.M.: – Dziękuję za rozmowę i życzę Panu wiele powodzenia w dalszej pracy naukowej.

Londyn, 5 listopada 1999

Janusz MONDRY

Dr Paul Latawski jest wykładowcą na Wydziale Obrony i Stosunków Międzynarodowych Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst. Jest również Członkiem Rzeczywistym (Associate Fellow) w programie Bezpieczeństwa Europejskiego w Royal United Services Institute for Defence Studies (RUSI), oraz Honorowym Członkiem Rzeczywistym (Honorary Visiting Fellow) na Fakultecie Studiów Sławistycznych i Wschodnioeuropejskich (SSEES) Uniwersytetu Londyńskiego. Zakres jego badań naukowych obejmuje sprawy bezpieczeństwa i obrony w postkomunistycznych krajach Europy Środkowo-Wschodniej, liczne publikacje na te tematy.

Opinie wyrażone w niniejszym wywiadzie są osobistymi poglądami autora i niekoniecznie odzwierciedlają opinie Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst, czy też brytyjskiego Ministerstwa Obrony.

Kraj

Dewaluacja słów

Dwa ważne słowa w Polsce ostatniego półwiecza zdewaluowały się. Nie mieliśmy po wojnie prawdziwego komunizmu, ani po 1990 roku prawdziwej „Solidarności”. Marx i Engels w połowie XIX wieku chcieli stworzyć komunizm w krajach uprzemysłowionych, mających liczną klasę robotniczą. Lenin i Trocki chcieli wcielić w życie tę ideę w 1917 roku w kraju słabo rozwiniętym, o niezbyt licznej klasie robotniczej. Praktyka polityczna spowodowała, że miejsce klasy robotniczej w ZSSR zastąpili aparaczczyki, a piękną ideologię terror i totalizm. To samo stało się w krajach Europy Wschodniej zależnych od ZSSR. Także zaczęło się w nich od terroru i skończyło względnie łagodnym totalizmem. Z czasem tak w Rosji, jak i w krajach przez nią shołdowanych komunizm stał się hasłem nierealnym, zastępowanym wieloznacznym słowem – socjalizm. W praktyce dominowały rządy autorytarne, które musiały dla swej wiarygodności dążyć do rozwoju kraju i polepszenia sytuacji życiowej społeczeństwa, a zwłaszcza robotników. I tak PRL był w porównaniu z Polską międzywojenną krajem dużo bardziej rozwiniętym, o większym zakresie sprawiedliwości społecznej. Jej system polityczny był jednak najpierw brutalnym, a potem łagodniejącym totalizmem. Z komunizmem, czyli rządami robotników i chłopów, PRL nie miał wiele wspólnego poza faktem, że młodzież tych warstw społecznych miała pracę i względnie łatwy dostęp do bezpłatnych studiów wyższych. Komunizmu w krajach Europy Wschodniej nie było, ale radykalnie zmniejszono bezrobocie, poza ludźmi nastawionymi opozycyjnie, których szykanowano na uczelniach i w zakładach pracy.

Obecna walka „Solidarności” ze starym reżimem i tak zwanymi postkomunistami – byłaby bardziej przekonująca, gdyby nie prowadziła do zaszczucia ludzi jakoś związanych z upadłym reżimem, lecz skupiła się na potępieniu struktur totalitarnych przeszłości. Teraz zaś „S” sama je częściowo powiela, dążąc do monopolu władzy zwycięskiego obozu, niezależnie od posiadanych przez nich kompetencji.

W ten sposób dewaluuje się w Polsce słowo „Solidarność”, które w latach osiemdziesiątych w naszym kraju i na szerokim świecie było symbolem dążenia do suwerenności kraju, wolności i praw człowieka w oparciu o zasady demokracji i godności ludzkiej.

Decydująca większość ludzi lewicy w Polsce i na Zachodzie odrzuca już wymyślony przed 150 laty komunizm i szuka bardziej prawdziwej drogi połączenia wolności człowieka z większym zakresem sprawiedliwości społecznej. Stąd słowo – socjaldemokracja – stało się najlepszym ujęciem związku myśli humanistycznej i godności człowieka z jego potrzebami i uwarunkowaniami socjalnymi. Chiny, wielki kraj z miliardem ludności, poszukały innego rozwiązania w połączeniu założeń komunistycznych z gospodarką rynkową. Tam wielki eksperyment nie zniszczył jednak praktyk totalitarnych, choć sprzyja rozwojowi gospodarczemu państwa środka. Komunizm był fenomenem na różnych kontynentach, a „Solidarność” stała się natchnieniem dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej do tego stopnia, że wpłynęła na politykę wielkich mocarstw, przede wszystkim USA i z konieczności także ZSSR. W rezultacie „Solidarność” przyczyniła się do upadku satelitów Moskwy w Europie Wschodniej, co w końcu przyniosło rozpad całego ZSSR.

Osobiście jestem zwolennikiem zbliżenia myśli socjaldemokratycznej i nauki społecznej Kościoła katolickiego, która uległa wielkiej ewolucji i troszczy się teraz jednocześnie o prawo do własności prywatnej środków produkcji, jak i o godność pracy ludzkiej, która wcześniej była raczej lekceważona. Ciekawym zjawiskiem w Niemczech i Austrii były wielkie koalicje parlamentarne i rządowe socjaldemokratów i chrześcijańskich demokratów. Okazały się one rozwiązaniem przejściowym, co jest typowe dla różnych związków formacji politycznych. Ale dla Polski tamten eksperyment byłby

instruktywny, choć chwilowo jest w impasie. Zresztą i u nas nie byłoby łatwo go przeprowadzić, bo nasza lewica jest jednostronnie laicka, a nasza prawica zbyt ulega mitom nacjonalistycznym. W Polsce także w dwudziestolecu międzywojennym chadecji było bliżej do Narodowej Demokracji niż do demokratycznych partii chłopskich i Polskiej Partii Socjalistycznej. Epoka jednak się zmieniła i koalicje chadecko-socjaldemokratyczne przyniosły w Zachodniej Europie wzrost dobrobytu i rozwoju cywilizacyjnego własnych społeczeństw. Osobiście przywiązuję wielką wagę do wartości moralnych i duchowych ale nie sądzę, by te wartości miały na zawsze pozostać w sprzeczności z rozwojem cywilizacyjnym i wzrostem bogactwa różnych narodów. Społeczeństwu polskiemu potrzebny jest przyjazny dialog różnych orientacji filozoficznych dla przyszłości kraju, a nie ciągłe rozpamiętywanie różnic i podziałów przeszłości. Naganne są naturalnie wszelkie próby wykorzystywania Kościoła dla celów politycznych. A próby takie podejmuje nie tylko prawica, lecz także lewica. Natomiast ludzi, którzy w okresie PRL-u dokonali przestępstw i działali na niekorzyść kraju należy potępiać, a w pewnych przypadkach nawet karać sądownie, lecz sama przynależność do dawnych partii nie powinna być przedmiotem nagonki. Naturalnie okresy totalizmu w PRL zasługują na potępienie i sprawiedliwe rozliczenie, także przed sądem. Słynna „lustracja” miałaby sens tylko przy wiarygodnej i precyzyjnej ustawie lustracyjnej, bo tymczasem sumienia polityków znalazły się w rękach ich dawnych prześladowców policyjnych. Tymczasem w parlamencie toczy się walka polityczna prawicy i lewicy, a zapomniano o priorytecie precyzyjnej ustawy lustracyjnej. I tak sędziami stali się dawni prześladowcy, co można wytłumaczyć tylko zapamiętałą walką prawicy z lewicą.

Nie cały PRL był totalitarny, lecz miał okresy wzmoczonego totalizmu. A więc lata stalinowskie, aż po wydarzenia poznańskie wiosną 1956 roku. Wydarzenia roku 1968, 1970 i 1976 zasługują na jednoznaczne potępienie. Ale na przykład ocena stanu wojennego z grudnia 1989 roku jest zróżnicowana, bo według wielu ludzi wtedy zorientowanych w sytuacji, jego alternatywą była interwencja sowiecka. Spór w tej sprawie będzie trwał jeszcze długo, a rozstrzygnie go dopiero

pełne ujawnienie archiwów ZSSR i państw zachodnich, które są ujawniane tylko fragmentarycznie. Z tego powodu słynna konferencja w Jachrance niewiele wniosła, bo nie ujawniono wielu faktów i dokumentów, a tak Rosjanie, jak i Amerykanie nie byli zgodni sami z sobą.

Naszym narodowym sukcesem jest jednak fakt, że w latach 1989-1990 strony polskiego konfliktu porozumiały się i ludzie ówczesnej „Solidarności”, zasiedli wspólnie z byłymi komunistami, by potem także ustalić nowy przejściowy podział władzy w Polsce. No i skończył się on zwycięstwem „Solidarności”, zyskującej przez lata osiemdziesiąte rząd dusz w Polsce. Obecne rządy solidarnościowe w latach 1997-1999 niestety złamały dawny rząd dusz tego ruchu przez niekompetencję w sprawach państwa połączoną z komasowaniem stanowisk państwowych w całej administracji od gmin i powiatów aż do wszystkich ministrów i premiera. Niestety, obecnie ruch tak zasłużony, jakim była „Solidarność”, znalazł się w impasie, jest podzielony wewnętrznie, trwają w nim zmagania o władzę i wiara społeczna w ten ruch przysła jak bańka mydlana. Polaków to boli, a nie cieszy, lecz powstała sytuacja, w której ruch zasłużony dla kraju może utracić władzę i to na rzecz lewicy socjaldemokratycznej, której starsze pokolenie wywodzi się z PRL. A ci ludzie nie są już postkomunistami, bo zrozumieli ewidentny koniec tamtego systemu i zdobywają nowe młode kadry, mające dobre rozeznanie nastrojów społecznych i ulatniania się legendy „Solidarności”, jednej z piękniejszych w dziejach polskich. Społeczeństwa nie żyją jednak, nawet w romantycznej Polsce – legendami, lecz realnymi osiągnięciami w gospodarce i w sferze socjalnej, a także w polityce zagranicznej.

Dlatego uważam, że polityka polska powinna się kształtować nie w kontynuacji dawnych sporów, lecz zdecydowanie w kierunku wyzwań współczesności wobec Polski, a więc jej udziału w NATO przy jednocześnie dobrych stosunkach z Rosją i innymi sąsiadami. Kolejnym wyzwaniem dla Polski jest wejście do Unii Europejskiej, co będzie wymagało wielkich wysiłków z naszej strony, lecz z perspektywą zbliżenia się do innych wiodących krajów europejskich.

Nie zapominam o żadnej krzywdzie w naszej przeszłości, lecz racja stanu państwa nakazuje Polakom poświęcić główne

wysiłki przyszłości, choć będzie ona wymagać od społeczeństwa polskiego jeszcze większej determinacji w dążeniu do godnej pozycji wśród możliwych tego świata. Dawnego PRL-u i dawnej „Solidarności” już praktycznie nie ma, bo były to fenomeny historyczne. Natomiast w Polsce, jak we wszystkich krajach demokratycznych, istnieje lewica i prawica polityczna, a także ważne – według mnie – formacje centrowe. Nasza odpowiedź na wyzwania przyszłości powinna wyrazić się w kulturze politycznej, która zakłada istnienie odmienności poglądów i umiejętność choćby porozumiewania się i debaty między prawdziwymi i poważnymi centrami politycznymi. Żeby zaistnieć silnie i trwale w układach międzynarodowych powinniśmy czasem mówić jednym głosem w sprawach dobra i rozwoju państwa. Taki obowiązek spada na prawdziwych polityków, którzy nie będą chcieli tkwić wiecznie w zaściankach i sporach przeszłości. W psychice Polaków trwają od wieków dawne spory sejmikowe i zaciętrzewienie, które kazało niektórym możnowładcom szukać wsparcia poza krajem, by zdobywać wpływy, władzę i pieniądze. Skończyło się to rozbiorem Polski i nieustannymi sporami, których ofiarą padł pierwszy prezydent niepodległej Polski Gabriel Narutowicz, choć cała ta operacja była wymierzona przeciw Józefowi Piłsudskiemu. Odpowiedzią Marszałka był krwawy zamach majowy w 1926 roku. Ktoś inny musiał stać za katastrofą w Gibraltarze, w której zginął generał Sikorski, a wyszedł z niej cało czeski pilot Prchala, katapultując się niemal zaraz po starcie. Można by mnożyć takie przypadki z różnych okresów dziejów Polski. A wniosek z nich jest tylko jeden. Należy powściągnąć w sobie emocje i nienawiść polityczną, bo prowadzi ona do tragedii gorszących cały świat. Nie powinniśmy mieć wrogów w gronie polityków, lecz tylko przeciwników, po prostu ludzi inaczej myślących. Polska nie będzie godna nazywać się krajem katolickim, jeśli w naszej polityce ciągle jeszcze będą rozlegać się głosy nienawiści. Dlatego właśnie następuje u nas dewaluacja pewnych słów, a w jej miejsce wchodzi epitet i słowa niena-wistne.

Różnice polityczne są oczywistością w dobrze zorganizowanych demokracjach. Czołowi przywódcy o odmiennych poglądach obcują z sobą co najmniej zgodnie z zasadami kultury towarzyskiej, a często pochylając się wspólnie nad

kluczowymi problemami swych krajów. Tymczasem nasz premier nie widzi powodów, by konsultować ważne sprawy kraju na przykład ze swymi poprzednikami. Państwu trzeba czasem służyć wspólnie, niezależnie od podziałów ideowych, czy politycznych. Jeśli nie będziemy tak służyć Polsce, to przegramy jej szanse, jakich od dawna nie miała.

Andrzej MICEWSKI

Kartki ze skażonej strefy

Chcą rozebrać warszawski Pałac Kultury albo obudować go wieżowcami tak, żeby nie był widoczny. Największy mурowany symbol komunizmu ma przestać istnieć.

Zbliżając się ku Warszawie, widzimy go w różnych konfiguracjach. Jest drogowskazem, że miasto tuż-tuż. Najmniej widoczny jest z bliska. Kryją go kramy, budy i dźwigi ślimaczącej się budowy metra. Prezydent miasta, Paweł Piskorski, zamierza je zetrzeć w proch i w pył. I słusznie.

Ale czy wobec Pałacu też nosi się z zamiarem unicestwienia? Jeżeli go zdetonuje, lub obstawi wieżowcami (wiele gotowych projektów leży na rysownicach urbanistów) – zginie ostatni materialny ślad po minionej epoce. Żałowałabym.

W radiu podali, że znalazł się ktoś, kto przechował komplet „kartek” nabywczycy za całe pięćdziesięciolecie. Zbiór ten przeczy dowodnie słyszonym ostatnio coraz liczniejszym głosom, że dopiero w końcówce komunizmu sklepy świeciły pustkami; przedtem jakoby wszystkiego było w bród. Wierutne kłamstwo. Myślenie życzeniowe do tyłu. Kartki –

nie tylko na mięso, ale na sól, cukier, buty, odzież i inne artykuły – pojawiły się zaraz po objęciu władzy przez komunistów i trwały z przerwami aż do jego końca. Poza tym, nagle zniknęły ze sprzedaży, na przykład, zapalniczki. Nie kupisz za skarby! Staralam się zapalniczkę łupać na dwie; wmawiano nam przecież, że przed wojną chłop polski łupał ją na czworo. A papier toaletowy? Szorstkie rolki nanizane na gruby papierowy sznur nosiliśmy na szyjach jak cenną zdobycz. Przechodnie pytali, gdzieśmy ją nabyli...

Nigdy nie podawano prawdziwych przyczyn znikania towarów z półek. Prawdopodobnie szły do ZSSR, a nam fundowano historyjki o zgniłym kapitalizmie, który wszystkiemu winien. Pamiętam popłoch wykupywania cukru w roku 1961. Mój mały wówczas syn, wychowany na opowieściach z Powstania Warszawskiego, którego relikty sterczały jeszcze w mieście, pytał przestraszony, czy będzie wojna. Pocięszalam go, że nie, broń Boże! Nic to, że nie ma cukru, skoro są dzemy. Słodziliśmy dżemem herbatę.

Cały peerelowski okres charakteryzował się nagłym brakiem artykułów podstawowych. Nigdy natomiast nie brakowało wódki. W społemowskich sklepach po wsiach i miasteczkach królował jedynie alkohol i ocet; czasem pojawiały się ptibery na zakąskę, i to był rarytas.

W stanie wojennym – inaczej. Alkohol był na kupony, ale tylko z okazji wesela. Wpadłam wówczas na genialny pomysł, żeby wziąć z mężem – wieloletnim towarzyszem życia – ślub cywilny. Dopełniwszy formalności, dostaliśmy bony na wino, zakupiliśmy je i zgłosiliśmy się na oznaczony termin zawarcia związku do urzędu stanu cywilnego. Brzmi to jak anegdotka, ale to fakt z życia, jaki poświadczyć mogą wszyscy moi bliscy, którzy na weselisku byli i wino pili.

„Kartki” były cechą immanentną ustroju, w którym *de facto* obowiązywał obieg przydziałowy, nie pieniężny. Zatem, te zachowane przez kogoś eksponaty, na zetlałym lichym papierze, powinny być chronione jak dzieło Kopernika „O obrotach ciał niebieskich” (które *nota bene* skradziono z Biblioteki Jagiellońskiej). Ale gdyby nawet zastosowano odpowiednie zabezpieczenia wobec zbioru kartek, zniszczą prędzej niż materiał, z którego pobudowano pomniki komunistycznych bohaterów. I tu wracamy do Pałacu Kultury.

Większość pomniejszych pomników zburzono zaraz po przełomie dziejowym w roku 1989. Pamiętam, jak to było z Dzierżyńskim. Stał na wysokim cokole z podniesioną głową, piękny i dumny, zdobiąc fronton ówczesnej Miejskiej Rady Narodowej na dziesięjszym (i przedwojennym) Placu Bankowym. W dniu, w którym postanowiono go zburzyć, zbity tłum czekał w napięciu i od rana obserwował czynności przygotowawcze. Gdy wreszcie nastąpiła kulminacja, i przepołożony tułów Feliksa zawisł malowniczo i zahęstał się na moment na łańcuchach dźwigu – tłum zafalował i zarechotał ze szczęścia. Z gardeł wydobyły się bliżej nieokreślone dźwięki. Klaskano i całowano się.

Media doniosły o ozdrowieńczym odreagowaniu, o *katharsis*, a mnie ten tłum przeraził, przypomniał gawiedź spod gilotyny. Pamiętam, napisałam wówczas artykuł do *Gazety Wyborczej* pod tytułem „Niechby stał!”. Całkowicie pod prąd opinii.

Broniłam „Dzierżyńskiego” nie tylko dlatego, iż przełękałam się niekontrolowanej reakcji tłumy, ale głównie po to, iż uznałam fragmenty architektury przebrzmiałej epoki za cenne świadectwo. Optowałam za pozostawieniem spektakularnych symboli na miejscu, zaopatrzonych wszakże w odpowiednie tablice objaśniające, dlaczego i w jakim czasie powstały. Nie ma lepszej poglądowej lekcji historii jak narastająca etapami i zachowana struktura miasta.

Pałac Kultury żadnej tablicy nie wymaga. Poznać po stylu, skąd się wywodzi.

Moje pokolenie wzrastało i żyło w jego cieniu w dosłownym i przenośnym tego słowa znaczeniu.

Znam Pałac od czasów, kiedy go jeszcze nie było. Kiedy w nieprawdopodobnym bałaganie i nieposzanowaniu ludzi, którzy się wokół kłębili (zbieg Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi) robiono wykopy pod fundamenty. Koparki i spychacze szalały rozrzucając gruzy i ziemię z niebywałą dezynwolturą w samym środku zburzonego miasta. Budowali Rosjanie na rosyjskim sprzęcie. Wszystko od A do Z miało być od Sojuza jako dar Stalina. Budowlańcom pobudowano baraki w stylu letnich rosyjskich „dacz” na dalekiej Woli (do dziś służą studentom jako dom akademicki).

Codziennie przez parę lat musiałam patrzeć, tonąc w

kałużach i błocie lub mrużąc oczy od pyłu i zwiru jak rosna mury symbolu.

A było to tak: mieszkalam z matką na Grochowie w baraku na Dwernickiego (dziś ulicy przemianowanej na Szaserów). Wygwizdów kompletny. Chwastowiska i jedna jedyna odrapana przedwojenna czynszówka, w której mieszkał Paramonow, słynny morderca, sądzony i stracony, za komuny bohater świata przestępczego, o którym śpiewano piosenki. Rano myłam się w misce, w której zimą woda chrzęściła od grudek lodu, i biegiem – Wiatraczną do Grochowskiej, do autobusu numer 102, który uwoził mnie dalej do miejsca przeznaczenia, ku Olszynie Grochowskiej na Plac Szembeka, gdzie była pętla. Wysiadałam i stawałam w kolejce do tej samej linii; nigdy nie udało mi się wepchnąć do tego samego autobusu. Rzadko wsiadałam w drugi lub trzeci. Stąd już prosto pod miejsce, gdzie powstawał Pałac, i gdzie był terminal przesiadkowy w różne krańce miasta. Tam ponowne stanie w kolejce do następnego autobusu, którym jechałam na Aleję Niepodległości, gdzie w baraku mieściła się Generalna Dyrekcja Teatrów, Oper i Filharmonii – czysta biurokracja! Pracowałam w pełnym wymiarze godzin, jednocześnie studiując; na zajęcia wymykałam się chyłkiem. O ósmej rano personalna zabierała listę; spóźnionym groziły konsekwencje dyscyplinarne. Zwolnienie z pracy oznaczało *de facto* wilczy bilet. Nic dziwnego, że stojąc w kolejce do autobusu, mój wzrok z Pałacu przenosił się na zegarek. Pałac-zegarek, pałac-zegarek – i strach. Dlatego tak dobrze widok ten utrwalił się w mojej pamięci.

Pałac skończono, obsadzono roślinnością. Pomieścił dwa teatry, Salę Kongresową, dwie restauracje (jedna z fontanną), Muzeum Techniki, i mnóstwo instytucji. Windy unosiły turystów na taras widokowy, opaskudzony przez gołębie, skąd można było oglądać, najpierw gruzy, a potem bloki Warszawy. Jedno i drugie okropne. Mówiono o nieprawdopodobnie kosztownej eksploatacji Pałacu. Podobno jedno spuszczenie wody w klozecie kosztowało tam 12 zł., bajońska na owe czasy suma. Ale któż wówczas kalkulował?!

Pałac niezmiennie służył jako tło trybuny dla członków Komitetu Centralnego podczas rozlicznych państwowych defilad i pochodów, na które spędzano ludzi.

Mimo wielu agend, w Pałacu istniały niezagospodarowane ogromne przestrzenie, kręte zaułki i zakamary wśród rozlicznych kolumn, których szyku nie dyktował żaden architektoniczny porządek. Idealne miejsce Tajemnicy. Symbol ciemnej epoki nadający się znakomicie do wielu mrocznych spraw.

Pierwszy wykorzystał Pałac jako miejsce powieści „Wniebowstąpienie” Tadeusz Konwicki. Dęty symbol obalił. Zamienił w przestrzeń magiczną, w schowek ludzi „zamieszkałych” w komunizmie, lecz na swój sposób oporujących jego prawidłom. „Wniebowstąpienie” dało sygnał. Za Konwickim poszli inni. Pałac i jego otoczenie stał się miejscem wielu akcji filmowych, z niedawnym popularnym serialem „Ekstradycja” na czele: w przepaścistościach Pałacu uwili główną kwaterę mafiozi gangów, w które zamieszane są najwyższe czynniki państwa.

Pałac rzeczywiście nadaje się do sensacyjnych filmów, lecz zupełnie odpada jako miejsce Międzynarodowych Targów Książki, odbywanych tu jednak rokrocznie od lat. Książka wymaga jasnej, przejrzystej ekspozycji i powietrza, a tam wszystko się gubi w dusznych, nieczytelnych mrokach.

Mnie Pałac fascynuje. I chociaż nigdy-przenigdy, *never-ever*, mimo że mi się źle dzieje, nie zatęskniłam do komuny – jednego żałowałabym: zburzenia Pałacu. Niech stoi, odkryty i wyeksponowany – na wieczystą pamiątkę.

Nie mam w sobie za grosz żyłki społecznika. Redaktor Giedroyc podsuwa mi co smakowitsze kąski z tej branży, a ja nie i nie. Wstyd mi z tego powodu, bo takie czasy nastały, że przyzwoity dziennikarz powinien się za te tematy zabrać, a ja tymczasem ograniczam się do śmiesznej drobnej prywatnej dobroczynności.

Ponieważ mam śmietnik przed oknem, więc wiem, czego poszukują „nury” (przezwisek nadane przez oficjalnych sprzętaczy „elementom” nurkującym w śmieciach). Pracuję dla nurów; segreguję, pakuję i umieszczam butelki, jedzenie i odzież w ten sposób, żeby nur miał jak najmniej nurzania się w brudach i jak najmniej fatygi w dostępie do tych dóbr. Nie

wspomagam żebraków, zwłaszcza tych dostających drgawek na skrzyżowaniach ulic, natomiast wzruszają mnie muzykanci i starsze kobiety i mężczyźni, którzy zamiast efektownie żebrąć, rozkładają na trotuarze sznurowadła, wkładki do butów czy pumeksy. Jednak niedawno nacięłam się kupiwszy od kobieciny warkocz czosnku; nie dość, że był lichy, to jeszcze kosztował czterokrotnie więcej niż na bazarze.

Nie jestem społecznicą, co nie znaczy, że społecznicy mi nie imponują. Przeciwnie. Potrafią coś, czego ja nie umiem, i co więcej – widzę, jak czerpią z tego autentyczną radość. Uważam, że społecznikostwo autentyczne jest darem Bożym, talentem; jak umiejętność pisania, malarstwa czy muzyki. Dlatego poszłam na ich uroczystość do Filharmonii Narodowej, żeby kilku z nich zobaczyć na żywo, i to w świetle ramp.

W tegorocznym konkursie na społecznika roku organizowanym przez Fundację SOS, spośród sześciu finalistów, zwyciężył pan Grzegorz Chwiątkowski z Kalisza.

Ratownik Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego na Prośnie, wijącej się malowniczo w tym mieście. Człowiek nie pierwszej młodości. Przesiadując godzinami na przystani, zaczął z nudów dokarmiać ptactwo wodne. Zauważył, że obserwują go taplające się w wodzie dzieciaki. Chcąc im zrobić przyjemność, pokrajał bochen chleba na kromki, porozdawał i powiedział: „wy rzucacie kaczkom”. I co zobaczył? Wiele dzieci nie drobiło chleba, nie rzucało na wodę, tylko chowało kromki do kieszeni. Im więcej tego chleba przynosił i rozdawał, tym mniej padało na wodę, a więcej znikało w dziecięcych kieszeniach. Dało mu to do myślenia. Tak dalece, że krótko mówiąc, dziś stworzony przez niego Bank Chleba stał się w Kaliszu znaną instytucją. Nie tylko piekarze, ale rzeźnicy, masarze, badylarze, mleczarze prześcigają się, żeby zaopatrzyć pana Grzegorza w produkty. A potrzebuje dużo, bo stworzył regularne dożywianie dzieci rodzin patologicznych i zwykle biednych, stworzył półkolonie na przystani, zabawy i gry rekreacyjne. Stał się postacią, której się nie odmawia. Pan Grzegorz nie tylko jest świetnym organizatorem i „rozdawnikiem”. Chleb przyciąga głodnych, ale pan Grzegorz ma cechę, która przyciąga do niego, kto wie, czy nie silniej: nie gorszy się, nie poucza, nie moralizuje. Przyjmuje ludzi, jakimi są.

Jak to robi, można wyczuć z kilku zdań wypowiedzianych z podium. „Gdy widzicie, że dziecko nie chce zdjąć koszulki wchodząc do wody, nie przymuszajcie go. Raz to zrobiłem i zobaczyłem na plecach razy po kablu. Odprowadzam do domu małe dzieci, po które zgłaszają się rodzice. Znam hasła melin. Przyciskam guzik domofonu i mówię ‘gazownia’. Drzwi się otwierają, zostawiam dziecko i wycofuję się...”.

Waldemar Makarewicz z Ełku, emeryt. Za młodość kopał piłkę, więc jako emeryta ciągnęło go na boiska. Zauważył, że chłopcy z miejscowego domu dziecka mają nie piłkę, lecz kapeć. I nagłe olśnienie. Wsiadł w pociąg i pojechał do dawnych kumpli, którzy porobili kariery sportowe, dostał pierwszych dziesięć piłek z prawdziwego zdarzenia. I tak się zaczęło. Chłopaków doprowadził aż do mistrzostw drużyn domów dziecka. Nie chodzi mu o wyłowienie gwiazd piłkarskich, ale o stworzenie odskoczni od kompleksów i wykojenia, jakiemu często podlega dziecko wychowywane anonimowo, bez rodziny. Sport doskonale dowartościowuje. Kilku jego wychowanków studiuje już w Wyższych Szkołach Wychowania Fizycznego.

Zapytany, dlaczego to robi, pan Waldemar stwierdza, że dla siebie. Dużo pił; no, był pijakiem, co tu gadać. Praca z młodzieżą skutecznie odciągnęła go od alkoholowych ciągów. Odważa się to powiedzieć publicznie w świetle reflektorów.

Barbara Kozłowska z Gliwic. Młoda, przystojna, inteligentna. Członek Rady Rodzicielskiej w szkole, do której uczęszczają jej córki. W każdej szkole jest taka rada, nic wielkiego, ale nie w każdej taka pani Barbara. Nie chodzi o to, że zorganizowała dożywianie dzieci głodnych, że za jej sprawą wydaje się w szkole kilkadziesiąt darmowych obiadów dziennie, ale że jej działalność wyrównuje szanse w społeczności klasowej. A więc nie tylko papu, ale korepetycje, wycieczki, kółka zainteresowań, podręczniki, zeszyty, długopisy – wyposażenie ucznia jest dla wielu rodziców niedostępne finansowo.

Szkoła polska jest dziś jak społeczeństwo – rozpostarta na dwu biegunach: bogactwa i biedy. Pomijając materialne braki, codzienna konfrontacja ubóstwa z bogactwem fatalnie działa na psychikę dziecka. Działalność pani Barbary skutecznie niweluje tę różnicę. Ale co będzie, gdy jej dzieci ukończą podstawówkę i ona odejdzie z Rady? „Dyrektorka

powiedziała, że już dopilnuje, żeby nie zdały do następnej klasy” – śmieje się zainteresowana...

Przerywam laudacje. Nie jestem pewna, czy moi bohaterowie byliby nimi zachwyceni. Z oporem mówili o swoich dokonaniach, z lekkim wzruszeniem ramion, jakby nie było o czym. Co do mnie, to mam ciężki problem, do kogo się wybrać, żeby podejrzeć ich w akcji; żeby zobaczyć na własne oczy, jak oni to robią. Może coś ze swego ducha przeleją w moje wypalone serce. Pojadę. Niech no tylko dzień się wydłuży...

Z Warszawy nie było finalisty Fundacji SOS. Może przypadek, a może prawidłowość. Trudno przpuścić, iż dwumilionowemu miastu brak społeczników z zacięciem. Mamy przecież takie głośne znakomitości jak Janina Ochojska czy Małgorzata Chmielewska. Ale gdzie są bezimienni szaracy? Wiem, że istnieją i działają pierwszorzędnie, ale też wiem, że wielu życie przycięło skrzydła. Rzecz w tym, iż społecznik nic nie wskóra, jeżeli nie natrafi na podatny grunt; jeżeli zostanie zlekceważony i odtracony. Społecznik, żeby być skuteczny, musi mieć choćby odrobinę przychylności i współdziałania w otoczeniu. A warszawski grunt wyjątkowo oporny. Ludzie albo zagonieni, mierzący czas w sekundach, albo zgorzkniali. Wypisane mają na twarzach zdanie: „nie moja sprawa”.

Sądzę, że w Warszawie, stolicy państwa i siedzibie władz, najgłębiej zakorzenił się „homo sovieticus”. Nie w poglądach, ale w postawie; w postawie wyjąłowanej z obywatelskich inicjatyw i konsekwentnej umiejętności wprowadzania ich w życie oraz czerpania z pracy dla drugich osobistej radości. W Warszawie zakorzeniło się sobkostwo.

Szkoda mi warszawiaków. Są biedni duchem. Choć fizycznie blisko innych, odwracają się od siebie, stają się samotni i smutni. W Warszawie nie sprawdza się powiedzenie, że szczęśliwszy jest ten co daje niż ten, co bierze, natomiast sprawdza się, gdy się tylko od niej odsadzić nawet o niewielki szmat drogi.

Mówiono, że Mickiewiczowski „Pan Tadeusz” trafił pod strzechy, gdy tylko wprowadzono go do obowiązkowych lektur szkół podstawowych już przed wojną. Nieprawda!

Poprzedzany „achami” i „ochami” nauczycieli wmawiającymi dzieciom, iż oto przystępujemy do przerabiania arcydzieła, książki prześwietnej – sprawiał rozczarowanie. Po prostu, nudził. Spodziewaliśmy się Bóg wie czego, a poemat był dla nas za trudny. Pamiętam doskonale swoje oczekiwanie a później zawód.

Dopiero grubo później zasmakowałam uroków trzynastozgłoskowca i treści Mickiewiczowskiej epepei. „Pan Tadeusz” jest zdecydowanie lekturą dla dorosłych.

Nie miałam najmniejszych obaw, że Andrzej Wajda sparoli film. Przeciwnie, uważałam, iż poemat pasuje mu jak ulał i od dawna czeka, żeby mistrz wziął go na filmowy warsztat.

W Warszawie odbyły się jednocześnie dwie premiery. Dla „możnowładców” w Operze i dla pomniejszych – w Sali Kongresowej. Do obu pomieszczeń trzeba było mieć specjalne złożone zaproszenia. Nie starczyło złożonych dla wielu znacznych, którzy się poobrażali; ci, którzy je dostali, ale nie takie miejsca, które byłyby ich godne, wyszli demonstracyjnie z Opery. Słowem, jak to u nas. Honor, własny honor przede wszystkim...

Mnie projekcja wciągnęła. Zgadzam się całkowicie z opinią prof. Marii Janion, że nad sielskim wątkiem sentymentalnym dominował nurt polityczno-społeczny. Mickiewicz okazał się wizjonerem, i Wajda to uchwycił: pokazał nas; jesteśmy tacy sami, jak wtedy, nic się nie zmieniliśmy. „Dawali dobra – brałem”, mówi Sędzia. Ze od Targowicy? Co za znaczenie?

W kupie działamy dzielnie, ale często bez pomysłu, bez moralności i bez hierarchizowania ważności spraw. Najpierw załatwiamy na bij-zabij swoją prywatę, potem, ewentualnie, nakładamy mundur i troszczymy się o Ojczyznę. A że w międzyczasie stało się już za późno, że przepadło? Cóż, jakoś to będzie...

Prof. Maria Janion pisze, że trzynastozgłoskowiec (mówiony przez aktorów świetnie) brzmiał w jej uszach jak werbel bitewny długo po wyjściu z projekcji. Była nim porwana. Podobnie chyba wszyscy.

Sceny z zajazdu Wajda pokazał nie na ludziach, ale na inwentarzu. Szlachciury szlachtowały kury, gęsi, wszelki drób, nierogaczną i bydło, po czym, unurzani we krwi pobitych

zwierząt, pospali się, aż przyszedł Moskal i spokojnie wziął ich w dyby...

Po wyjściu z sali zobaczyłam na kolistym *foyer* jakby powtórkę tej sceny. Przesadzam, ale skojarzenie się narzucało. Na stołach i parapetach leżały półcie mięsiwa. Sznury kabanosów, kilometry kiełbas, boczki, szynki, dziki, prosiaki... A po bokach beczki z piwem. To był bankiet. Podjedliśmy sobie i popili. Nikt nikogo w dyby nie zakuł. Ale żarcia i napitku zostało tyle, że obsłudze starczy do Sylwestra 2000 roku.

Jan Nowak-Jeziorański ukuł powiedzenie, że Polsce grozi nie rozbiór, ale rozbiórka. Trafna diagnoza. Rozbierzemy się sami. Własnymi rękami zburzymy zręby powołanej do życia demokracji. Podobnie jak naonczas w zaścianku „Pana Tadeusza”, tak dziś w naszych najwyższych władzach panuje pozorne wymiatanie, podczas gdy dom się wali. Władze chcą zaprzętnąć nam głowy sprawami odegrania się i zemsty, nie bacząc, że ludzie oczekują od nich choćby minimum troski, przyzwoitości, organizacji, kompetencji i konsekwencji.

Taki drobiazg. Dyrektor Centrum Onkologicznego na warszawskim Ursynowie, do którego kieruje się ciężko chorych z całego kraju, zakomunikował, iż nie może ich przyjąć, gdyż Mazowiecka Kasa Chorych nie chce za nich płacić. „To skandal, żeby w cywilizowanym kraju w środku Europy odmówić, powołując się na przepisy, pomocy człowiekowi z nowotworem złośliwym” – skonstatował. Co więc robić w sytuacji, kiedy chorych na raka niepokojąco u nas przybywa? (Widzę to kursując ostatnio coraz częściej między szpitalami a pogrzebami.)

Za to nasze młyny lustracyjne beztrzesko miały. Wiesław Chrzanowski siedem lat siedział w stalinowskim więzieniu. Dokładnie tyle samo czasu czekał na oczyszczenie z zarzutu, że nie był komunistycznym agentem, o co pomówił go Antoni Macierewicz w słynnej aferze teczkowej. Sąd lustracyjny zarzut wreszcie obalił, ale to nie koniec udręk tego człowieka. Rzecznik Interesu Publicznego, niezmordowany Bogusław Nizieński, obiecuje, że do sprawy powróci. Jakież on interes reprezentuje, u Boga Ojca?! Niedawno napisałam, że Janusz

Pałubicki, minister spraw wewnętrznych, ma twarz inkwizytora. O rzeczniku Nizieńskim powiedziałabym, że ma oblicze egzekutora, który wykonuje fizycznie, własnymi rękoma, polecenia bliżej nie określonej inkwizycji.

Przyjeżdżał do nas Ruslan z Podkawkazja, wypróbowany od lat przyjaciel. Kiedyś bardzo mi pomógł przy przeprowadzce. W ogóle, pomagał, zwłaszcza wielu starym ludziom. Kiedy wprowadzono wizy dla Rosjan, wysłałam Ruslanowi oficjalne zaproszenie. Przyjechał latem, ale ponieważ przedłużył pobyt o półtora miesiąca, polski pogranicznik chciał mu zrobić zapis zakazujący wstępu do Polski na pięć lat. Ruslan załatwił sprawę za pomocą piętnastu dolarów. Wizy dla Rosjan do Polski są nonsensem (dla gangów to żadna przeszkoda), ale żeby polski urzędnik w polskim mundurze z drobnych, naprawdę drobnych wykroczeń, robił sobie mały dochodowy interesik?!

Wstyd. Za dużo tych wstydy u nas. Mój młodszy syn, biegły w polityce i zaangażowany w jej obywatelski wymiar, zwykle moderuje moje czarnowidztwo. Jednakże ostatnio jakby wyczerpał się jego optymizm; powiedział, że obawia się, żeby nie doszło do tego, że zacznie wstydyć się, że jest Polakiem.

Listopad, 1999 r.

Ewa BERBERYUSZ

Wizyta w Polsce

Jest koniec września i wracam z krótkiego wypadu do Polski, pierwszego od 1978 r., gdy to na Okęciu kazano mi wyskoczyć z ubranka i zdumiano się na widok druków KOR-u pod koszulą.

Byłam w Polsce tylko tydzień i tylko w Białymstoku, więc moje wrażenia są bardzo powierzchowne. Przede wszystkim nie byłam przygotowana na tak wielkie zmiany w życiu codziennym i omal nie zabrałam z Londynu zapasu przyzwoitej herbaty – tak żywe były wspomnienia o makabrycznych nalewkach na *Trybunie Ludu*. Białystok, niegdyś smutny i szary, do którego wpadało się jak na dno studni, zmienił się nie do poznania, również i dlatego, że peerelowskie blokowiska przysyłają okazałe drzewa. Teraz jest jasnym, czystym i pełnym zieleni miastem z ładnie odnowioną „starówką”, pałacem Branickich i innymi zabytkami. Może miałam szczęście, ale ani razu nie słyszałam tak powszechnych niegdyś pyskówek w sklepach i autobusach. Te ostatnie budzą zazdrość punktualnością i częstotliwością, o jakiej londyńczyk (wbrew urzędowym nawoływaniom o zostawianie samochodów w domu i korzystanie z publicznego transportu) nie śmie nawet marzyć. Nawet publiczna toaleta na dworcu autobusowym, kiedyś istne *inferno*, jest czysta, co podobno świadczy o kulturze narodu. Tak oto komunizm poraża wszystko, czego się dotknie – nawet (*pardon!*) wychodki.

W Śródmieściu, koło dworca i na targowiskach, dużo Rosjan sprzedających „z ręki” wódkę i papierosy. Ubrani są biednie, ale po europejsku – nie to, co pamiętam z lat 1940-42. Tak nisko upadł bujny do niedawna handel z Wielkim Bratem, gdy białostocki bazar słynął na całą Polskę i wielu białostoczanom – nawet z wyższym wykształceniem – o wiele bardziej opłacał się stragan na bazarze niż sprzedawanie nabytej wiedzy.

W sklepach Europa, nie tylko pod względem towarów, ale i obsługi. Wszystkiego można dotknąć, rozłożyć i obejrzeć, żadna baba nie wrzeszczy „co tak pani z łapami!” Ba – można nawet kaprysić! Mój szczególny przedmiot zainteresowania – księgarnie – cieszą oko ładnie wydanymi książkami, które z przyjemnością bierze się do ręki. Dużo książek zszywanych i nawet luksusowe wydawnictwa wydrukowano w Polsce – gdzie te niechlujne cegły z wylatującymi flakami, z jakimi przez prawie 30 lat użerałam się w British Museum! Ale coś jednak przetrwało z czasów Peerelu: „Polskę wczoraj, dziś i jutro” Jana Nowaka-Jeziorańskiego dostałam... spod lady.

Z ciekawostek: unikalny (od „unikać”) McDonald’s dotarł i tu, a pizza w różnych wersjach, niegdyś przedmiot

niewybrednych dowcipasów, rozwieliżniła się w barach i supermarketach. Dotarły również *sex shops* – jeden przycupnął naprzeciw katedry, jakiś taki bury i zażenowany, wnętrza nie zwiedzałam. Podobno zaślania się firanami, gdy *vis-à-vis* szykuje się procesja. W Cepelii zdziwienie budzą matroszki, które – jak słyszę – włączyły się do polskiej sztuki ludowej i wyrabiane są w kraju. Od rosyjskich różnią się kokieteryjnymi twarzami: obfite rzęsy, uśmiech i loki wyglądające spod chustki. Dlaczego nie robią ich w pasiakach? W zamierzczłych czasach, gdy dzieci nazywały je „babki”, miałam taką kurpiankę czy łowiczankę.

W rozbudowanej Hajnówce, przed wojną mieścinie znanej z tartaku, zwraca uwagę okazała nowa cerkiew, bardzo piękne połączenie nowoczesności z tradycją. Co rok odbywają się w niej festiwale chórów cerkiewnych, na które przyjeżdżają goście zza wschodniej granicy. A na ulicy 3 Maja niezwykle bar „U Wołodzi” przyciąga tubylców i turystów. Jest to zdumiewające muzeum zabytków sowieckiej „kultury materialnej” porozwieszanych i porozstawianych w domku i na otoczonym palisadą podwórczku, z których goście mogą korzystać bez żadnej kontroli. Ze stojaka z szynelami i czapkami różnych broni wybiera się rzeczy wedle gustu i fotografuje w nich. Można też delektować się Leninami i Stalinami w różnych pozach i wcieleniach, czerwonymi proporczykami – nagrodami dla stachanowców, łozungami itp. oraz podziwiać zszargany do granic wytrzymałości „pim” – walonkę, która uparcie milczy, a miałaby wiele ciekawego do powiedzenia. Niestety brak łągiernych bucików ze szmat i opon samochodowych powiązanych powróstami, jakie pamiętamy z naszej „gościny” w Sojuszu. W tym apetycznym otoczeniu pije się letnie piwko z sokiem, a na pamiątkę dostaje się firmową wizytówkę: na tle czerwonego sztandaru tak nam znane profile Wielkich Ludzi – Marks, Engels, Lenin, Stalin i piąty: „chaziain”, onże Wołodzia czyli Wojciech Rynarzewski.

Przy szosie Hajnówka – Bielsk Podlaski jest białoruska wieś Hołody, w której było nadleśnictwo mego Ojca. O jej mieszkańcach Rodzice mawiali zagadkowo, że pachnie im wiatr ze wschodu, toteż mieliśmy szczęście że latem 1939 r. Ojciec awansował do Białowieży, bo by się z nim „porachowali”. *In absentia* kwiaty z naszego ogrodu przydały się na

ozdobę bramy powitalnej dla „wyzwolicielei”. Była to duża i ludna wieś, dzieci w szkole (z której dotąd mam świadectwo z II klasy) uczyły się na dwie zmiany. Jeszcze w 1968 r. bez trudu poznałam stare kąty (nadleśniczówka spłonęła podczas wojny), a teraz nie poznałam niczego. Wieś skurczyła się i chaty przerzedziły, wszystko zarosło – nawet łąkę przy szosie, na której moje szkolne towarzystwo pasażo gęsi, zarósł las. Widać jak wieś się wyludnia. Nadleśnictwo przeniosło się do Bielska, a Hołody zdegradowano do rangi leśnictwa. Nie zmieniła się jednak swojska twarz Podlasia: drewniane chaty w kwiatkach (strzechy znikły kompletnie), stadka kawek, pola na których stoją rzędy worków na kartofle i kręcą się ludzie, linie drzew przy drogach i na horyzoncie, jesienniejące lasy. Pięknie.

I w końcu droga powrotna. Na Dworcu Centralnym w Warszawie wylądowałam z bardzo ciężką walizką wyladowaną prezentami i książkami. I z niepokojem, bo słyszałam że jest on centralą złodziei – specjalistów od wyciągania pieniędzy ukrytych za pazuchą i chuchania w twarz ofiary czosnkiem po to, by ją błyskawicznie obrać, gdy odwróci się ze wstrętem – gdzie do nich naszym londyńskim i kontynentalnym zjeżdżającym tu „na robotę”, z okazji ważnych meczów, królewskich zaślubin itp. Ale na dworcu było spokojnie i przestronnie, w informacji ostrzeżono mnie, że taksówkarze to rabusie. Przekaraskałam się podziemiem na drugą stronę ulicy i u wyjścia pytam stojącego tam chłopaka czy stąd odchodzą autobusy na Okęcie. Był zaskoczony i od razu nie odpowiedział. Przystanki były puste, ale nieopodal stała taksówka. Ile na lotnisko? 60 zł – rzeczywiście rozbój, ale ta straszna walizka, więc wsiamam. Jedziemy, szofer mówi: – Te 60 zł to się pani tanio obeszły. Tam takie chłopaczki już się interesowały. Jakby wszystko zabrali, to by było drożej. – Ja: – No, wszystkiego by nie zabrali. Torebkę mam na pasku na krzyż. – On: Zabraliby, zabrali. Przewróciliby na ziemię i zdarli. Jak tam czekam na klienta, to często widzę takie rzeczy. – A policja? – Lekceważący gest: – Co ich to obchodzi?

Takie oto wrażenia. Podsumowując: zazdroścę ludziom osiadłym i wrośniętym w te Białystoki i Hajnówki, ale o powrocie nie myślę. Tacy jak ja zawsze będą tam obcy.

Hanna ŚWIDERSKA

Park Potockich w Pilawinie

OSTATNI ZWIERZYNIEC DAWNEJ
RZECZYPOSPOLITEJ I PIERWSZY POLSKI
PRYWATNY REZERWAT PRZYRODY

Na pierwszym Międzynarodowym Kongresie Ochrony Przyrody, który odbył się w Paryżu w 1923 roku, na wniosek polskiej delegacji rozpoczęła się międzynarodowa akcja ratowania żubrów. Gatunek ten wyginął całkowicie w przyrodzie i nie wiadomo było czy restytucja białowieskiej populacji w oparciu o nieliczne osobniki żyjące w ogrodach zoologicznych będzie w ogóle możliwa. Jan Sztolcman prezentując historię polskich żubrów podkreślał, iż istnieją dane pozwalające z optymizmem podchodzić do tego unikalnego w skali światowej przedsięwzięcia. Swoją optyzm opierał m.in. na znajomości prac nad hodowlą, rozmnażaniem i reintrodukcją żubra prowadzonych przed wojną w Parku Potockich w Pilawinie. Z publikacji Jana Sztolcmana wiemy iż podczas rewolucji, w 1918 roku pilawiński park został całkowicie zniszczony przez „hordy bolszewickich chłopów”, a zwierzęta wybite „do ostatniego okazu”.

Park w Pilawinie był zresztą dobrze znany zachodnio-europejskim przyrodnikom. W 1908 roku w Londynie angielski zoolog i podróżnik, a zarazem kustosz British Museum, Richard Lydecker opublikował „A trip to Pilawin” – relację ze swojej wizyty i opis parku. W rok później opis parku Potockich i prowadzonych tam badań nad introdukcją ssaków ukazał się w prestiżowym Biuletynie Francuskiego Towarzystwa Aklimatyzacyjnego. Gustave Loisel, autor trzymotomowej historii ogrodów i parków zoologicznych „Histoire des Ménageries de l'antiquité a nos jours” (Editions Henri Laurens Paryż, 1912) zwiedził rezerwat w Pilawinie i poświęcił mu rozdział swojej pracy. Dzisiaj owe relacje stanowią podstawowe źródło naszej wiedzy na temat parku aklimatyzacyjnego Potockich. Warto przypomnieć, iż francuscy i angielscy przyrodnicy zgodnie podkreślali, że park stwarzał

podstawy i stanowił unikalną okazję do prowadzenia badań nad fauną Polski jak i ssakami Syberii. Park w Pilawinie uznawano powszechnie za najważniejszy obok angielskiego parku Diuka Bedford w Europie, aklimatyzacyjny park zoologiczny. Tak wysoką ocenę zawdzięczał zwierzyniec Potockich zarówno liczbie posiadanych gatunków, obecności zwierząt rzadkich, jak i jakości prowadzonych tam badań.

Gustave Loisel opisując Pilawin podkreślał jego nowoczesny charakter, rezerwatu przyrody i ośrodka badań zoologicznych. Francuski autor przypominał jednocześnie historię zwierzynców dawnej Rzeczypospolitej i traktował Park Potockich jako naturalne dziedzictwo tej wielowiekowej tradycji. Pomimo tej jakże bogatej tradycji stosunkowo niewiele wiemy na temat zwierzynców i menażerii Pierwszej Rzeczypospolitej. Najlepiej zbadane wydają się parki Zamoyskich, a zwłaszcza zwierzyniec na Roztoczu, ostatnia na ziemiach polskich ostoja tarpanów. Nasza skromna wiedza pochodzi zazwyczaj ze źródeł pośrednich, relacji cudzoziemskich podróżników bądź inwentarskich dokumentów o charakterze gospodarczym, a nie z opisów przyrody. Nierzadko nawet lokalizacja ważnych niegdyś parków jest trudna do ustalenia, tak jak jest to w przypadku renesansowego zwierzynca Jana Ostroga, o którym wiemy jedynie, iż znajdował się na Podlasiu. Gustave Loisel, opisując litewskie zwierzynce Radziwiłłów, powołuje się na rękopis J. Kordzikowskiego znajdujący się w bibliotece w Petersburgu. Wiadomo, że to właśnie z tego zwierzynca pochodziły żubry, które w szesnastym wieku Jan Zamoyski ściągał do swojego parku na Roztoczu. Z Litwy pochodziły także niedźwiedzie, które Mikołaj Radziwiłł podarował w 1592 roku w prezencie ślubnym Zygmuntowi III Wazie. Misie stosunkowo często bywały prezentem ślubnym magnackich rodów Rzeczypospolitej. Stanowiły także przedmiot zabaw ludowych. Jeszcze w dziewiętnastym wieku żywa była na Litwie pamięć o „niedźwiedziej akademii” w Radziwiłłowskiej wiosce Smorogony. Miejsce to słynęła z hodowli niedźwiedzi przeznaczanych do „kariery aktorskiej”, albowiem spektakle z udziałem aktorów i przebranego misia cieszyły się dużym powodzeniem w dawnej Rzeczypospolitej. Niedźwiedzie przedstawienia zostały zakazane na Litwie dopiero przez władze rosyjskie w 1867 roku w wyniku

akcji obywatelskich towarzystw obrony zwierząt. Wiadomo także że w 1629 roku Krzysztof II Radziwiłł nakazał zakupić dwanaście wielbłądów, sokoły, orły i wszelkie zwierzęta „słabo znane na Litwie”. Wielbłądy posiadał także Zamoyski w swoich włościach. Rzeczpospolita była ważnym centrum hodowli tych zwierząt, zapewne w rezultacie kontaktów z Turcją, a zwłaszcza z jej armią. Warto przypomnieć iż polscy i litewscy wojskowi interesowali się używaniem wielbłądów dwieście lat wcześniej niż ich militarne zastosowanie zostało „odkryte” przez francuskich specjalistów techniki wojskowej.

Zwierzynce i prywatne ogrody zoologiczne charakteryzowały nie tylko wielkie majątki magnackie. Najśłynniejszą chyba prywatny polski ogród zoologiczny założony był w dziewiętnastym wieku przez Stanisława Pietruskiego w jego majątku w Podhorodkach. Licząca około pięciuset gatunków fauny krajowej kolekcja stanowiła jedną z największych w ówczesnej Europie, a z jego doświadczeń hodowlanych korzystał m.in. Alfred Brehm opracowując swój „Świat Zwierząt”.

Od wielu stuleci zwierzynce odgrywały także ważną rolę w ochronie krajowej fauny. To właśnie w tych pradawnych „rezerwach” dokonywano reintrodukcji wytrzebionej zwierzyny, w magnackich i królewskich parkach przetrwały o kilkadziesiąt, a nierzadko kilkaset lat dłużej gatunki gdzie indziej już wytępione jak tury czy tarpany. Parki te były cennym źródłem zwierząt także dla zagranicy. Jan Sztolcman przypomina, iż gdy w osiemnastym wieku żubry nieomal całkowicie wyginęły w Siedmiogrodzie to właśnie z Polski sprowadzano zwierzęta do różnych parków i kolekcji monarchii habsburskiej. Tradycja chronienia fauny w ziemiańskich majątkach przetrwała do naszego stulecia i tak np. Ksawery Branicki w swoim zwierzyncu ustanowił specjalną straż chroniącą żeremia bobrów, co pozwoliło Janowi Sztolcmanowi zwiedzić i opisać „rzadkie już w Europie bobrze miasteczko”. Ochrona i przywrócenie wytrzebionych w krajowej faunie gatunków przyświecała także Józefowi Potockiemu, założycielowi parku w Pilawinie.

Park ten został założony w 1901 roku. Wiadomo jednak iż niewielki park zoologiczny istniał w tym majątku przynajmniej już od połowy dziewiętnastego wieku. W swoim

pierwotnym założeniu głównym celem parku miała być hodowla i reintrodukcja łośi. Wizyta w Anglii i zapoznanie się z parkami Bedford i Woburn sprawiły, iż Józef Potocki zmienił zdanie i zdecydował się na założenie ośrodka zoologicznego o znacznie ambitniejszych celach. Z jednej strony starano się przywrócić krajowej faunie poprzez hodowlę i reintrodukcję gatunki już w tych okolicach wytrzebione. Prowadzono prace nad sprowadzonymi z Karpat niedźwiedziami, utrzymywano hodowlę przeszło sześćdziesięciu łośi, ośmiu żubrów, rozmnażano również bobry. Pracowano także nad powrotem w te strony antylop, suhaków niegdyś jeszcze w osiemnastowiecznej Rzeczypospolitej licznych, później wytrzebionych w rezultacie nadmiernych polowań. Zapewniano także ochronę zwierzętom ciągle w dobrach Potockich obecnych, choć już wymagających zabiegów ochroniarskich, m.in. populacjom żółwi błotnych i licznym gatunkom ptaków, m.in. głuszcowi. Dziewiętnasty i początek dwudziestego wieku to okres licznych prób aklimatyzacyjnych prowadzonych w niemal całej Europie. W parku w Pilawinie prowadzono próby aklimatyzacji licznych gatunków jeleniowatych, pochodzących głównie z azjatyckiej części Rosji. Pracowano także z gatunkami północnoamerykańskimi, m.in. z bizonami (których parę kupił Potocki w słynnej firmie Hagenbecka) i jeleniami wapiti z Kanady. W Parku w Pilawinie prowadzono także udane próby krzyżowania żubra z bizonem i bydłem domowym. W 1911 roku powierzchnia Parku w Pilawinie wynosiła 6800 ha zamkniętego terenu (czyli była porównywalna z wieloma współczesnymi parkami narodowymi). W Pilawinie zajmowano się także rasami zwierząt domowych. Hodowano m.in. małe koniki i długorogie bydło podlaskie, interesowano się jego dawnością i związkami tej rasy z turem. Prace godne przypomnienia zwłaszcza teraz, gdy wiele ras zwierząt domowych wywodzących się z dawnej Rzeczypospolitej uznawanych jest za zagrożone wyginięciem.

Park był kierowany osobiście przez Józefa Potockiego, hodowcę i przyrodnika, którego zasługi zostały niestety zapomniane i dzisiaj trudno jest odnaleźć informacje dotyczące tej jakże interesującej postaci. Wiadomo, iż Józef Potocki uczestniczył w dwóch wyprawach przyrodniczo-myśliwskich

do Indii i do Afryki. Relacje z obu wypraw zostały opublikowane i cieszyły się sporym powodzeniem. Opis wyprawy do Somalii wraz z portretem autora pędzla Juliana Fałata, ilustracjami przedstawiającymi tubylcze wioski i opisami polowań na lwy, słonie, nosorożce i antylopy został przetłumaczony na angielski i wydany w Londynie. Dzięki pracom nad aklimatyzacją zwierząt Józef Potocki został wyróżniony członkostwem w komitecie honorowym francuskiego Société Nationale d'Acclimatation. Właściciel Pilawina posiadał także słynną stajnię koni arabskich, które eksportował do najbardziej prestiżowych hodowli angielskich. Po dzień dzisiejszy to właśnie konie wywodzące się z jego hodowli uważane są m.in. za najważniejszych przodków koni arabskich w stadninach USA. Z życzliwości i pomocy Józefa Potockiego korzystali liczni polscy zoolodzy, m.in. Jan Sztolcman, a także naukowcy innych specjalizacji, o czym wspomina znany polski antropolog Kazimierz Stołyhwo w „Sprawozdaniu z wycieczki antropologiczno-archeologicznej do ordynacji hr. Potockich na Wołyniu”. To właśnie dzięki uprzejmości właściciela Pilawina możliwe było przeprowadzenie badań kurhanów w dobrach Potockich. Wiadomo także, że hrabia Józef Potocki aktywnie uczestniczył w organizacji lasiego rezerwatu założonego przez jego brata Romana w dobrach łańcuckich. Przypomnienie szlachetnej postaci założyciela Parku w Pilawinie wydaje się być szczególnie aktualne w chwili gdy z jednej strony reprzywatyzacja lasów uznawana jest za równoznaczną z ich wycięciem, a z drugiej strony postawa władz gminnych jest nierzadko główną przeszkodą dla prawidłowej ochrony przyrody. Przykład właściciela Parku w Pilawinie jest zaiste godny naśladowania w dzisiejszej Polsce.

Piotr DASZKIEWICZ

Sprawy i troski

Bóle samorządności

Teoretycznie rzecz biorąc, przeprowadzona niedawno reforma terytorialna zakończyć miała tworzenie samorządowych organów władzy. Struktury powstały ale, jak to bodaj najbardziej drastycznie ujęła profesor Zyta Gilowska: „rząd przekazał samorządom odpowiedzialność, a sobie pozostawił pieniądze”. Ta ocena jest szczególnie interesująca, gdyż profesor Gilowska była jednym ze współautorów projektu reformy samorządowej, który następnie był korygowany przez polityków. System finansowania samorządów istotnie zakrawa na parodię. W gminie pozostaje 17% podatku dochodowego od osób fizycznych, podatek od nieruchomości, podatek rolny oraz ewentualne dochody z majątku gminy. W powiatach pozostaje raptem 1% z podatku dochodowego od osób fizycznych, a wreszcie w województwach pozostaje 1,5% podatku dochodowego od osób fizycznych oraz 0,5% od przedsiębiorstw. Lwia część budżetów większości gmin i powiatów to subwencje i dotacje. W biedniejszych gminach ponad 50% „dochodów” i wydatków stanowią subwencje na oświatę, kolejne 20% to „dochody” i wydatki na opiekę społeczną i dopłaty do mieszkań komunalnych. Na tym polu samorząd gminny niemal wyłącznie administruje środkami z subwencji. W porównaniu z okresem komunistycznym możemy powiedzieć, że sytuacja zmieniła się radykalnie – władze samorządowe są demokratycznie wybierane i samorządy mają pełną swobodę poszukiwania środków na rozwój swoich gmin (oczywiście bez prawa nakładania podatków).

Samo działanie gminnego samorządu pozostawia bardzo wiele do życzenia. W porównaniu z innymi krajami, nasze

tradycje były tu dość skromne i zostały ponownie zniszczone przez prawie pół wieku istnienia systemu komunistycznego. W większości gmin społeczeństwo jeszcze nie bardzo uwierzyło w lokalną demokrację, czego najlepszym dowodem jest stosunkowo niska frekwencja w wyborach samorządowych. Znacznie poważniejszym problemem jest znikome zainteresowanie działalnością samorządu w okresach między wyborami. Teoretycznie rzecz biorąc obywatelska kontrola działań samorządu lokalnego powinna być zapewniona przez sam fakt istnienia opozycji, przez wolność zgromadzeń i wolność słowa. W wielu gminach, natychmiast po wyborach rozpoczyna się pacyfikacja opozycyjnych radnych. W niewielkiej społeczności, w której wszystkie interesy są wzajemnie splątane, znakomicie działa system drobnych przysług (np. zatrudnienie w gminie żony, córki, czy szwagra, przyznanie koncesji radnemu lub jego krewnemu, drobne ułatwienia dla firmy czy szkoły, z którą dany radny jest w ten, czy inny sposób związany). W wielu gminach opozycja albo zostaje zmarginalizowana i ma niewielkie możliwości bezpośredniej obserwacji działań samorządu, albo jest zneutralizowana przez korupcję, nepotyzm i różne formy zastraszania. Wójt czy burmistrz jest z reguły postacią silnie dominującą w gminie i to zarówno na dobre i na złe. Jeżeli jest to człowiek kompetentny, prężny, z wyobraźnią, to mimo absurdalnego systemu finansowania samorządu może w widoczny sposób wpłynąć na rozwój gminy. Takich przykładów jest już dziś w Polsce całkiem sporo. Równie często lub częściej wójt czy burmistrz jest człowiekiem niekompetentnym, bez wyobraźni, utrzymującym się przy władzy dzięki manipulacjom, układom, nepotyzmowi i inercji społeczeństwa przekonanego, że wybór innych ludzi niczego nie zmieni.

Leżące na terenie Kujaw miasteczko Kowal ma niewiele ponad trzy tysiące mieszkańców. Kilka lat temu mieszkańcy wywalczyli rozdział organów władczych, czyli podział gminy na miasto i tereny wiejskie. Burmistrzem Kowala po raz trzeci został Eugeniusz Gołombiowski. Należy do najmniej zarabiających burmistrzów w Polsce i jak sam powiada, chce się bogacić razem z gminą. Nie jest to informacja najważniejsza, ale jest interesująca. Zdecydowanie ważniejsze są zmiany jakie zaszły w Kowalu na przestrzeni ostatniej dekady.

W mieście nie ma żadnego dużego zakładu przemysłowego, nie jest to również atrakcyjny ośrodek turystyczny. Do dziś bezrobocie utrzymuje się na poziomie 20 procent. To bezrobocie jest największym zmartwieniem burmistrza, ale i jest również jednym z zasobów. Niemala część prac na rzecz miasta wykonywana jest w ramach robót publicznych. Eugeniusz Gołombiowski z dumą pokazuje ułożone trzy lata temu chodniki. „To są prace naszych bezrobotnych – mówi – mając dobre projekty i dobry nadzór, prace wykonane w ramach robót publicznych mogą mieć pierwszorzędną jakość.”

Jedną z osobliwości Kowala są rządy Komitetu Obywatelskiego. Po upadku komunizmu, Gołombiowski został burmistrzem z ramienia Komitetu Obywatelskiego i przywiązał się do koncepcji ponadpartyjnego porozumienia na rzecz miasta.

„Skrzyknęliśmy się – wyjaśnia – według zasady, że dziura w miejskiej drodze nie jest partyjna, że jest to problem polityki lokalnej. Ci, którzy stanowią moje zaplecze w polityce miejskiej, w wyborach parlamentarnych głosują bardzo różnie. Ale mnie naprawdę zupełnie nie interesuje kto na kogo głosuje w wyborach parlamentarnych czy prezydenckich. Jak do tej pory udało nam się stworzyć pewien układ obywatelski.”

Taka deklaracja brzmi bardzo atrakcyjnie, ale prowokuje do postawienia pytania, kto kontroluje Radę Miejską w Kowalu? Eugeniusz Gołombiowski zgadza się ze mną, że jest w tym trochę kłopotu. Mimo dostępu do informacji ludzie nie bardzo chcą i nie bardzo potrafią czytać sprawozdań na temat najważniejszy, czyli na temat budżetu gminy. Większość mieszkańców gminy jest przekonana, że jeśli się coś w mieście robi, to widocznie są na to środki. Dla przekazania informacji, oprócz systematycznie wydawanych biuletynów, Rada próbuje wykorzystywać organizacje społeczne, takie jak Stowarzyszenie Miłośników Kowala, Kółko Rolnicze, Stowarzyszenie Gospodyń Wiejskich, itp., ale większość mieszkańców na dobrą sprawę nie bardzo interesuje się tym, skąd się biorą pieniądze, ani na co się je wydaje. Te postawy trochę się zmieniają. W pierwszej kadencji zainteresowanie działalnością Rady było minimalne, w drugiej nieco większe, teraz zdecydowanie rośnie. W samej Radzie, na piętnastu radnych, dwóch jest w opozycji.

Poziom rzeczowości krytyki jest ciągle bardzo niski. W gminie, w jeszcze większym stopniu jak na szczeblu centralnym, inwektywa i propagandowa papka zastępuje merytoryczny spór o podział publicznych pieniędzy. Daje tu o sobie znać brak politycznego doświadczenia i zdaniem burmistrza Kowala konieczna jest praca od podstaw, dlatego nalega na lekcje o samorządzie w szkole.

Moje pytania o mechanizmy kontrolne budzą również jego niepokój. Zgadza się ze mną, że kontrola obywatelska jest słaba, ale równocześnie podkreśla, że gminy nadal cierpią na nadmiar kontroli biurokratycznej. Rozbudowana administracja centralna i wojewódzka skłania tabuny urzędników do zarzucania samorządu kwestionariuszami na najdżiksze tematy. Zaledwie drobna część tej sprawozdawczości jest naprawdę niezbędna.

Kowal jest gminą banalnych priorytetów – walka z błotem, wybudowanie przedszkola, poprawa kanalizacji, modernizacja stadionu. Nie są to cele, które mogą porwać tłumy. Ich realizacja w radykalny sposób wpływa jednak na jakość życia mieszkańców gminy. Burmistrz Kowala dumny jest ze ściągnięcia do swojego miasta siedziby nadleśnictwa i jeszcze bardziej z lokalizacji w Kowalu ośrodka dla chorych ze stwardnieniem rozsianym (jeden z trzech tego rodzaju ośrodków w Polsce). Jest to kilkadziesiąt miejsc pracy, a w Kowalu liczy się każda możliwość zatrudnienia; chorych odwiedzają w Kowalu rodziny, a wreszcie samo istnienie tego ośrodka daje poczucie, że w mieście dzieje się coś dobrego.

W Kowalu, podobnie jak w wielu innych małych gminach, głównym centrum zainteresowania władz jest szkoła (wydatki na oświatę stanowią tu 51% budżetu). Zwiedzamy budynek szkolny z niesłychanie pomysłowo i przytulnie urządzonej biblioteką, stanowiącą równocześnie miejsce do odrabiania lekcji dla dzieci oczekujących na dojazd, świetną pracownię komputerową, która dzięki omijającym biurokratyczne bariery zabiegom jest w pełni wykorzystywana przez dziesięć godzin dziennie, a wreszcie lśniące czystością ultranowoczesne toalety, jakich dotychczas nie widziałem w żadnej polskiej szkole.

Eugeniusz Gołombiowski mówi o swoich lękach – do tej pory subwencje na oświatę były waloryzowane zgodnie z

tempem inflacji. Od 2000 roku indeks waloryzacji subwencji na oświatę spada do 3,7 procent, a płace nauczycieli mają wzrosnąć o jeden punkt powyżej inflacji i to nie jak dotychczas od pierwszego kwietnia, a od pierwszego stycznia. Po raz pierwszy w najnowszej historii Kowala w kasie po prostu zabraknie dla szkół pieniędzy na płace i na najważniejsze wydatki rzeczowe.

Burmistrz Kowala jest przerażony perspektywą niemożności rozwiązania dylematów stworzonych przez warszawskich reformistów. W gminie Dobrzyń nad Wisłą takie sprawy nikomu nie spędzają snu z powiek. Miejscowy burmistrz panuje jeszcze dłużej niż burmistrz Kowala, bo aż czternaście lat, ale opozycji nie można się tu ze świącą doszukać. Owszem, kilka osób zmobilizowało się przed samymi wyborami do samorządu i trudno się dziwić, że wyniki wyborcze tej opozycji były dość opłakane. Kolejne próby zmobilizowania opinii publicznej wywołał konflikt wokół gimnazjum.

Niewielka, licząca nieco ponad osiem tysięcy mieszkańców gmina, postanowiła utworzyć trzy gimnazja. Kto wie, może za takim rozwiązaniem przemawia geografia. Gmina Dobrzyń ma kształt rozciągniętego pieroga, a trzy największe miejscowości znajdują się na jego krańcach. Chalin i Krojczyn leżą na rogach pieroga i gimnazja mogą tam powstać jeśli ściągnie się uczniów spoza terenu gminy. Najpierw jednak trzeba było uzasadnić powstanie tych gimnazjów przez zmianę obwodów szkół. Tak powstał pomysł, żeby dzieci z Lenia, które jest przedmieściem Dobrznia, przenieść do leżącego znacznie dalej Chalina.

Radni wybierani są raczej głosami wsi niż liczącego nieco ponad dwa tysiące dusz miasteczka. Zdaniem mieszkańców Dobrznia, miasto jest w budżecie gminy nieustannie traktowane po macoszemu i widoczny gołym okiem zastój spowodowany jest w znacznym stopniu zaniedbaniami za strony samorządowych władz. Czy to znaczy, że okoliczne wsie kwitną? Moi rozmówcy wybuchają na to pytanie śmiechem. Ich zdaniem lokalne wybory to smarowanie lokalnych układów, ale przyparci do muru przyznają, że większość z nich nawet nie pofatygowała się do urn. Dopiero spór o gimnazjum wywołał prawdziwą burzę i propozycję secesji. Dobrzyń nie chce być dłużej w gminie Dobrzyń, a pod

petycją w tej sprawie podpisało się ponad sześciuset mieszkańców. Mieszkańcy miasta nie chcą już dłużej tolerować marazmu, a przy obecnym składzie samorządu uważają, że nie mają żadnego wpływu na sytuację. Na zebraniach mówiono o wszystkim, włącznie z tym, że Dobrzyń ma prawdopodobnie najpiękniej w Polsce położoną oczyszczalnię, w samym środku miasta, tuż za parkiem, z ujściem ścieków znajdującym się kilkanaście metrów przed plażą, na której w lecie kąpią się dzieci z okolicznych bloków.

Chwilowo jednak głównym przedmiotem sporu pozostaje szkoła. Jeszcze w ubiegłym roku władze gminy poinformowały kuratorium o zamiarze utworzenia trzech gimnazjów i o zmianie obwodów szkół. Mieszkańcy zareagowali natychmiast protestami, na które otrzymali odpowiedź, że decyzja o obwodach szkół jest autonomiczną decyzją samorządu, a władze oświatowe nie dopatrzyły się tu żadnych nieprawidłowości.

Przez miesiące toczyły się manewry mające skłonić mieszkańców do akceptacji decyzji samorządowych władz. W tej grze bardziej interesujące były metody niż meritum sprawy. Ukrywanie przed radnymi dokumentów, pozostawianie mieszkańców bez informacji, ewidentne kłamstwa. Dyrektor szkoły w Dobrzniu otrzymał polecenie takiego kierowania naborem do gimnazjum, żeby powstały tylko trzy klasy. Kiedy odmówił i zrezygnował ze stanowiska, gmina poinformowała rodziców z okolicznych wsi, że ich dzieci nie mogą być przyjęte do gimnazjum z powodu rezygnacji dyrektora. Kiedy pod naciskiem mieszkańców rada gminy zdecydowała się na ustępstwa, następnego dnia okazało się, że część uczniów nie będzie miała żadnego dowozu. Kolejne protesty i kolejne ustępstwo, ale z osobliwą złośliwością, czyli z tak zorganizowanymi przystankami autobusu, że część dzieci miała bardzo niewygodne dojscie.

W międzyczasie ruszyło gimnazjum. Dyrektorka długo zastanawiała się co na otwarcie nie tylko nowego roku, ale i zreformowanej szkoły powiedzieć dzieciom. Jak im wyjaśnić fakt, że nagle nie mają dostępu do pracowni chemicznej i komputerowej, do świetlicy i do biblioteki. Gmina zaproponowała jej objęcie stanowiska na niespełna miesiąc przed rozpoczęciem roku szkolnego, ale wręczyła nominację 31 sierp-

nia. Nikt nie miał czasu ani ochoty na zajmowanie się takimi drobiazgami jak podział majątku szkoły, uzgodnienie zasad współpracy między dyrektorem szkoły podstawowej i dyrektorem gimnazjum. Ci sami nauczyciele muszą pracować zarówno w szkole podstawowej jak i w gimnazjum, ale wymaga to żmudnych ustaleń planu lekcji, co powoduje, że nauczyciele bardziej niż lekcjami przejęci są konfliktami w szkole. Gimnazjum przez pierwsze miesiące nie miało żadnego budżetu, nie było środków na zakup kredy, nie było podręczników. Trudno się oprzeć wrażeniu, że władze gminne świadomie i z premedytacją doprowadziły do powstania tego gimnazjum w atmosferze totalnego bałaganu. Jak w wielu innych przypadkach ta opinia może być nazbyt pochopna, ostatecznie nie należy przypisywać złej woli temu co można przypisać głupocie. Rozmiary niekompetencji samorządowych urzędników wydają się przekraczać wszelkie granice wyobraźni.

Dyrektor gminnego Zespołu Obsługi Szkół nie czuje się odpowiedzialny za sytuację w dobrzyńskiej szkole. Nie miał czasu na przygotowanie budżetu gimnazjum, nie ma wpływu na konflikty w szkole, nie miał możliwości przygotowania podziału majątku, a jako strażnik gminnej tajemnicy nie ma ochoty na ujawnianie nikomu dokumentów dotyczących finansowania szkół oraz strategii planowanych inwestycji w szkołach. Jedną z tych tajemnic są nakłady na trzyosobowy Zespół Obsługi Szkół, który kosztuje więcej niż planowane nakłady na jedno gimnazjum w tej gminie. (Na rok 2000 budżet na trzy gimnazja wynosi 423 tysiące złotych, a na ZOS 164 tysiące złotych.)

Burmistrz obiecuje, że jeszcze w grudniu nastąpi podział majątku szkoły między szkołę podstawową i gimnazjum, nie ukrywa, że gmina zamierza wygrać wojnę o trzy gimnazja.

W miejscowym kuratorium zdają sobie sprawę z problemów przed którymi znalazły się gminy – subwencje na szkolnictwo podstawowe będą w przyszłym roku niższe, środki na podwyżki płac dla nauczycieli miały być wypracowane przez likwidację mniejszych szkół, co na przykład w opisywanym Kowalu nie było możliwe z powodu braku tego rodzaju szkół, a w Dobrzyniu ze względu na inne pomysły władz samorządowych. Tak czy inaczej, wszystko wskazuje na

to, że przynajmniej w tej gminie, nauczyciele muszą się liczyć z tym, że ich zarobki nie tylko nie wzrosną, ale wręcz zmaleją. Przedstawiciel kuratorium nie jest tym zdziwiony. Jego zdaniem z takimi sytuacjami będziemy mieli do czynienia w bardzo wielu gminach w Polsce. Nauczycielskie zarobki zapewne wzrosną zgodnie z oczekiwaniami w dużych wielkomiejских gminach, natomiast mimo tego, iż teoretycznie główny nacisk miał być położony na poprawę szkolnictwa na wsiach i w małych miasteczkach, w tych ośrodkach efekty reformy mogą być odwrotne od zamierzonych. W wystąpieniach przedstawicieli Ministerstwa Edukacji oraz w dziesiątkach artykułów prasowych podkreśla się nieustannie, że sukces reformy zależy od postaw samych nauczycieli. Niewątpliwie, ale jeśli idzie o stronę organizacyjną, lwią część pracy i odpowiedzialności spoczywa na samorządach, których możliwości finansowe są z reguły skromniejsze niż to się wydaje pracownikom Ministerstwa Edukacji i które niesłuchanie różnią się pod względem poziomu kompetencji, sprawności organizacyjnej i moralnego autorytetu. W wielu gminach stanowiące podstawę budżetu rządowe subwencje są również głównym narzędziem w walce o wyborców. Z pewnością należy się cieszyć z faktu, że samorzady mają sporą swobodę w administrowaniu przyznanymi funduszami. Równocześnie jednak, opinię publiczną poruszyły skandalicznie wysokie wynagrodzenia przyznawane sobie przez polityków samorządowych, a innym (równie ważnym lub wręcz ważniejszym) problemem jest sposób wykorzystywania powierzonego majątku i możliwość wykorzystywania instytucji samorządowych przez grupy działające czy to na granicy prawa, czy wręcz poza prawem. W stosunkach na poziomie gminy nepotyzm jest często elementem tradycji oczywistym jak powietrze, czasem przeradza się w wielopokoleniowe związki, przypominające swoim działaniem klany w społecznościach feudalnych.

Mieszkańcy Dobrzynia chcieliby doprowadzić do takiego jak w Kowalu i kilku innych polskich gminach rozdziału organów władczych. Padają argumenty o konflikcie między miastem a wsią, ale po cichu dodają, że jest to ich zdaniem jedyna szansa rozbicia układów, na których bazuje istniejący samorząd. Z punktu widzenia arytmetyki, konflikt między

miasteczkiem a resztą gminy jest całkiem realny, liczba radnych z terenów wiejskich jest dwukrotnie większa i, jak się wydaje, nie było tu nawet prób takiego planowania budżetu gminy, aby mieszkańcy miasteczka nie czuli się skrzywdzeni. Najlepszym tego dowodem jest stan od lat nie remontowanej szkoły, straszące pustymi oknami rozpoczęte i nigdy nie dokończone inwestycje, stan parku czy obiektów sportowych. Z pewnością, przy dobrej woli, ten konflikt między wsią i miasteczkiem byłby do rozwiązania bez odwoływania się do innych podziałów administracyjnych. Jednak w sytuacji, w której tej dobrej woli nie ma, w której nie ma również zorganizowanej i działającej na co dzień opozycji, samorząd nie jest samorządem. Wyborcy czują się bezradni, a działalność władzy traktowana jest jak dopust Boży. W dziesięć lat od upadku komunizmu ludzie nie bardzo mają ochotę na radość, że jednak jest lepiej niż w czasach komunistycznych. W Dobrzyniu samorząd nie stał się cenioną wartością, przeciwnie, nagminnie spotyka się opinie, że ta nowa władza jest dziś bardziej arogancka i bardziej bezkarna niż dawniej.

Burmistrz Kowala mówi, że podstawą samorządowej władzy tak czy inaczej musi być etos samorządowego działacza, zwykła ludzka uczciwość, że mimo wszystkich zabezpieczeń prawnych, przetarg może być zawsze tak przygotowany, żeby jego końcowy rezultat przebiegł po myśli organizatorów, że zmorą samorządów jest partyjniactwo i zła ordynacja wyborów lokalnych. Jego zdaniem w wyborach samorządowych ordynacja większościowa wyeliminowałaby przynajmniej część problemów.

Z tym ostatnim stwierdzeniem trudno się nie zgodzić, ale marzenie o wysoce etycznych politykach samorządowych jest przejawem romantyzmu. Bez sprawnych mechanizmów obywatelskiej kontroli jakoś funkcjonowania samorządu jest dziełem przypadku, a co gorsza, wydaje się, że systematycznego naruszania zasad lokalnej demokracji nie są w stanie wyeliminować żadne odgórne, biurokratyczne kontrole. Nadzieją może tu być rozwój lokalnej prasy i czas, a dokładniej praktyczne samorządowe doświadczenia ludzi z różnych ugrupowań politycznych, tak aby walcząca o władzę opozycja znała mechanizmy rządzenia, umiała czytać budżet i inne

dokumenty samorządu i umiała prezentować alternatywne programy rozwoju gminy. W chwili obecnej krytyka często tonie w inwektywach i pomówieniach, a jej odbiór przyjmowany jest lekceważącym machnięciem ręki, a czasem również wezwaniem na dywanik radnych, ujawniających mieszkańcom gminne tajemnice.

Andrzej KORASZEWSKI

Polacy w oczach Włochów

Często słyszy się o podobieństwach zachodzących pomiędzy Polakami i Włochami, widocznych w życiu publicznym jak: żywotność, wybujały temperament i indywidualizm. Jest to z pewnością częściowo uzasadnione, dotyczy jednak bardziej oznak zewnętrznych niż istoty rzeczy. *Comparaison n'est pas raison*. Te analogiczne cechy odnoszą się przede wszystkim do funkcjonujących stereotypów, są bowiem u Włochów korygowane przez wrodzony realizm w ocenie własnych (nie tylko cudzych!) niedostatków, dzięki autoironii jako nieuświadomionego zabiegu higieny psychicznej, oraz zdolności w przyswajaniu metody racjonalnego rozwiązywania sporów, której brak w Polsce tak bardzo daje się odczuć. Jednym słowem: uczestnictwu w życiu publicznym towarzyszą tu, oprócz ducha tolerancji, zachowanie dystansu i przede wszystkim zakorzenione przymioty kultury współżycia, wyrosłej na glebie cywilizacji śródziemnomorskiej. Jednym z jej przejawów jest zdrowy, sympatyczny antyklerykalizm, wypływający z trzeźwego poglądu na ludzkie niedomagania czy słabości. Nie zamierzam, rzecz jasna, idealizować tych charakterystycznych przejawów włoskiej mentalności i stylu życia. Nie ulega jednak wątpliwości, że historyczne, zwłaszcza kulturowe, dobroczynne uwarunkowania, sprawiają, iż mamy tu do czynienia ze stabilizacją stosunków społecznych, mimo

przesilen politycznych na wierzchołkach władzy (szczególnie obecnie w związku z „pokojową rewolucją” przejścia do tzw. II Republiki). Demokracja we Włoszech powstawała na gruzach faszyzmu inaczej niż u nas, to znaczy oddolnie, poprzez tworzenie samorządu terytorialnego na gruncie utrwalonego, wyartykułowanego regionalizmu kulturowego. I dlatego też wszelkie analogie, niejednokrotnie nasuwające się, pomiędzy polskimi i włoskimi kryzysami politycznymi są dość powierzchowne.

W pierwszej kolejności, wśród polskich niedostatków, dobrze stąd widocznych, trzeba wymienić brak umiejętności różnienia się w postawach elit, zarówno o rodowodzie PRL-owskim, jak i „solidarnościowym”. Znajduje to wyraz w lekceważeniu znanej dewizy Jana XXIII wskazującej na potrzebę rozróżnienia błędu i błądzących, winy i winnych. Zasada ta związana z chrześcijańskim wezwaniem do przebaczenia winowajcom, nie jest jednak równoznaczna z zapomnieniem win jako takich, a więc z przekreśleniem wymogu dokonywania rozliczenia. W przeciwieństwie do naszego kraju, Włosi przeprowadzili wyraźny rozdział, nie tylko symboliczny, ze swoją niedawną faszystowską przeszłością, tzn. z systemem dyktatury, który *nb.* we Włoszech nie został narzucony jak sowiecki totalitaryzm w Polsce.

W postępowaniu polskich elit uderzają szczególnie objawy zacietrzewienia w osądzaniu przeciwnika (a także rywala ze zbliżonej opcji). Przypisuje się to na ogół skażeniom pozostawionym w spuściznie przez komunizm, co stanowi okoliczność w pewnej tylko mierze łagodzącą. Warto zaznaczyć, że gestów okazywanej nam sympatii przez włoskich przedstawicieli elit intelektualnych i politycznych nie należy brać zbyt serio, bo towarzyszy im często pobłażliwość.

Niezależnie od reliktyw, wciąż jeszcze nieprzezwyciężonych, niedawnej przeszłości, włoscy rozmówcy starają się nieraz podkreślić okoliczności łagodzące. Prof. Arnaldi np., znany historyk, zaprzyjaźniony z Karolem Modzelewskim i Bronisławem Geremkiem, osłodził kiedyś krytyczną pigułkę dotyczącą nosicieli „stalinizmu *à rebours*”, określając Polaków jako „szlachetnie nierozważnych”. Powszechnie niemal stawiany nam zarzut brzmi „nie potraficie zachować umiaru ani w chwilach chwały ani klęski”. Włoscy poważni kores-

pondenci i intelektualiści, także duchowni, odwiedzający nasz kraj, zauważają nieraz, że mają do czynienia głównie z monologami. Ich rozmówcy (sam się z tym też zetknąłem), zachłysłni sobą, lubią mówić jedynie o swej macierzystej grupie czy klanie. Nie wykorzystują okazji by się czegoś dowiedzieć czy nauczyć, by skonfrontować własne opinie z cudzymi. Dziwią się, że kryteria polityczne (nieraz *nb.* dot. przejściowego sukcesu) rozstrzygają często o czyjejs wielkości naukowej lub literackiej i na odwrót. Sympatia dla naszego kraju znacznie spadła w ostatniej dekadzie, choć nie jest tak źle, jak ocenił to G. Herling-Grudziński, twierdząc, że to już jest „rozdział zamknięty”. Z drugiej strony nie jest lepiej kiedy przedstawiciele polskich elit zjawiają się w Wiecznym Mieście w odwiedziny zarówno do władz republiki, jak i do Stolicy Apostolskiej. Razi skądinąd zjawisko zaściankowości widoczne nieraz u polskich gości w pomieszczeniu płaszczyzn stosunków z władzami Republiki Włoskiej i ze Stolicą Apostolską. Wprawdzie istniejący szczególny związek uczuciowy, patriotyczny z Papieżem-Polakiem nie budzi zastrzeżeń, ale nie usprawiedliwia bynajmniej polskich, rejestrowanych uchybień. Już kilka lat temu śp. Henryk Kupiszewski, wybitny prawnik, pierwszy nasz ambasador przy Watykanie, zwracał uwagę na poważne mankamenty „zakochanych w sobie” – jak mawiał polskich polityków i intelektualistów, lekceważących szansę pożytku jaki mogłaby im przynieść wymiana poglądów i wyjście z nacjonalistycznych opłotków. Włoscy działacze katolicy, pamiętający stosunki w epoce faszystowskiej przypominają, że antyfaszyści z podziemnej Partito Popolare (czyli późniejszej chadecji) byli зараżeni miazmatami faszyzmu, tzn. wykazywali brak tolerancji wobec innych orientacji w łonie opozycji antyfaszystowskiej. Nasuwa się tu wyraźna analogia z dawną opozycją z łona ruchu „Solidarności” a dziś obecnej w koalicji rządowej. Uległo to, jeśli chodzi o Włochy, zmianie po wprowadzeniu demokracji dzięki pracy formacyjnej zmierzającej do wychowania nowych kadr, co w dużej mierze poskutkowało.

Inne spostrzeżenie doskonale stąd rozpoznawane, odnosi się do zamazywania rozdziału pomiędzy funkcją informacji a aspiracją polityczną, co prowadzi do deformowania obrazu rzeczywistości i zarazem odbija się negatywnie na rezultatach

działania. Nie chodzi o jakieś sztuczne rozczepianie jaźni, lecz o zacieranie granicy i mieszanie obydwu tych kategorii ludzkich poczynań. Preferencje polityczne, natomiast, tak jak obecnie w naszym kraju, nakładające się na fakty i determinujące nawet obieg informacji, wyrządzają wiele zła. Cierpi na tym wolność środków społecznego przekazu i tracą również skuteczność ambicje polityczne, które okazują się w konkretnych przypadkach bez pokrycia lub przynajmniej mocno wygórowane. To zjawisko „polskiego poplątania” odnosi się głównie do lekceważenia formy, która w praktyce rozstrzyga nieraz o powodzeniu lub też fiasku określonego przedsięwzięcia. Nie można jej sztucznie separować od treści. Klasycznym przykładem trafności tej okoliczności jest działalność dyplomacji watykańskiej, cieszącej się uznaniem w kancelariach rządów na świecie, niezależnie od ustroju. Zachodzi ponadto potrzeba ogniwa pośredniego, co we włoskich mediach określa się jako *approfondimento delle notizie* (czyli pogłębienie wiadomości). A to umożliwia – poprzez dostarczanie czytelnikom czy telewizjom elementów interpretacyjnych – formułowanie własnych opinii. Innym jeszcze przejawem tego „poplątania” jest mieszanie sympatii czy nawet przyjaźni do kogoś z krytyczną oceną takich czy innych działań lub opinii tej samej osoby. Jeśli ta sympatia, tym bardziej przyjaźń mają być autentyczne i przynosić korzyści w praktyce, to nie powinny odznaczać się brakiem krytycyzmu. Stają się bowiem wówczas nieszczerze lub płytkie, co na jedno wychodzi. Te i inne widoczne niedostatki w ludzkich stosunkach są sprzeczne z kulturą współżycia, bez której trudno mówić o kulturze politycznej. Wszelkie próby jej szerzenia muszą skończyć się niepowodzeniem, jeśli najpierw nie będą upowszechnione dobre obyczaje i reguły obywatelskiego współżycia, jeśli nie zapanuje duch tolerancji i wzajemnie okazywana życzliwość, zamiast rażącej pazerności (w samych nieraz już spojrzeniach) i agresywnego traktowania bliźnich. Katolickim działaczom i politykom należy zwłaszcza uprzytomnić znaczenie papieskiego wezwania, niestety w Polsce ignorowanego lub przynajmniej niedocenionego, które brzmi: *saper differenziarsi significa anche completarsi a vicenda* (umieć różnić się oznacza też wzajemnie uzupełniać się). Chodzi o obopólne, duchowe wzbogacanie się; o twórczą

wymianę doświadczeń i odmiennych tradycji kulturowych, bo tylko wówczas obrona imponderabiliów wiary i moralności może być skuteczna. Z takiej wymiany w demokratycznym państwie i efektywnym pluralizmie korzysta nie tylko jednostka, ale i cała społeczność. Wypada tu przytoczyć słowa papieża z orędzia na tegoroczny Światowy Dzień Środków Społecznego Przekazu, kiedy stwierdza: „To prawda, że między kulturą Kościoła a kulturą środków przekazu istnieją różnice. Nie ma jednak powodu dla którego różnice miałyby uniemożliwiać dialog i przyjaźń. W wielu bardzo głębokich przyjaźniach właśnie odmienności są bodźcem do twórczego wysiłku i budowania mostów”.

Konkluzja: oprócz edukacji do pokojowego współżycia rzecz istotną stanowi przywrócenie harmonii w naszej narodowej tożsamości, polegającej na splocie tradycji romantycznych i pozytywistycznych. Powinno to stanowić oryginalny nasz wkład do przyszłej, zjednoczonej „Europy Ojczyzn”. Najpierw jednak trzeba zerwać z triumfalizmem w reakcjach na upadek komunizmu, jak również z selektywną, powierzchniową recepcją pontyfikatu. Stanowi on bowiem w pierwszym rzędzie wezwanie moralne i intelektualne do dojrzałości, do przewyciężenia reliktywów nieszczęsnej przeszłości – do normalności, jednym słowem. Trzeba walczyć o coś przede wszystkim, a nie przeciwko komuś – inaczej mówiąc.

W tym spojrzeniu stąd, czyli z nauki wyciągniętej z doświadczeń po obydwu brzegach Tybru, chciałbym zwrócić uwagę na pewną potrzebę niedocenianą w Polsce: ludzkie poczynania, aczkolwiek niedoskonałe i nieraz omyłne, są jednak czymś lepszym, bo pozwalającym na opamiętanie się i poprawę, aniżeli obojętność i zaniechanie inicjatywy. Jako niepoprawny optymistą muszę podkreślić iskrę nadziei wzniesioną, często nieświadomie, przez młodych ludzi z jakimi stykam się zarówno w czasie wypadów do kraju, jak i na rzymskich szlakach. Uderza zwłaszcza ich trzeźwe spojrzenie na otaczającą rzeczywistość. Równocześnie jednak są często ofiarami niepokojącego zjawiska, a mianowicie odsuwania zainteresowań od czynnego udziału w życiu publicznym. Tkwiąca w tych postawach potencjalna groźba bierności i indyferentyzmu powinna być nie tylko zauważona, lecz rozsądnie i przewidująco eliminowana.

W wizerunku Polski, odbijanym w rzymsko-watykańskim lustrze, pojawiać się zaczynają, oprócz cieni, na szczęście również wschodzące blaski. Nie należy zatem zakładać rąk i pocieszać się, że „jakoś to będzie”, lecz trzeba pracować nad przygotowaniem zwłaszcza młodych kadr do wkroczenia w Trzecie Tysiąclecie w nastroju konstruktywnego, twórczego niezadowolenia po to, aby przemieniło się w zadowolenie ze spełnionego obowiązku.

Rzym, 24 września 1999

Dominik MORAWSKI

Fragment prelekcji wygłoszonej w Domu Polskim Jana Pawła II podczas sesji Stałej Konferencji Muzeów, Archiwów i Bibliotek Polskich na Zachodzie.

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

O religii bez namaszczenia

O Synodzie Europejskim, św. Augustynie i Leszku Końskim

Mój artykuł o Synodzie, pisany we wrześniu jako pewnego rodzaju prognostyk, ukazał się w październikowym numerze *Kultury*, kiedy Synod właśnie był w toku. Należałoby więc teraz zapytać się, w jakim stopniu moja prognoza była słuszna. Myślę, że nie bardzo się pomyliłem. Nie było to szczególnie trudne, bo jak pisałem wówczas, Synod był bardzo starannie zaplanowany i zgodnie z tym planem też został przeprowadzony.

Przemówienie programowe głównego redaktora Synodu, kardynała Rouco Varela, arcybiskupa Madrytu, stanowiło w dużej mierze powtórzenie pesymistycznej diagnozy stanu duchowego Europy, która już znalazła wyraz w przedsynodalnych lineamentach. Reakcje synodalnego gremium – 197 biskupów i 50 t.zw. audytorów, w obecności oczywiście papieża – były na ogół mniej pesymistyczne. Między innymi nasz arcybiskup Życiński – nawiasem mówiąc, jeden z dwóch sekretarzy specjalnych Synodu – porównał domniemaną apostazję Europy z kluczowym momentem historii zbawienia w Ogrodzie Getsemani: wtedy tylko 8 procent grona apostołów nie uciekło w panice, a i apostoł Piotr trzy razy swego Pana się zaparł. Najbardziej znamiennym wystąpieniem w tej pierwszej fazie obrad Synodu było przemówienie arcybiskupa Mediolanu, kardynała Carlo Martiniego, które zostało powszechnie skomentowane jako nieco zawołowana propozycja zwołania nowego powszechnego soboru, a więc

Vaticanum III. Wywołało to pewne zaniepokojenie, ale obecny wówczas w Rzymie redaktor *Tygodnika Powszechnego*, ks. Boniecki, zdołał stwierdzić, zapewne z uczuciem ulgi, że Martini ściśle mówiąc nic takiego nie powiedział. To jest prawda. Ale prawdą jest również, że arcybiskup Mediolanu wyliczył całą litanię poważnych problemów natury dyscyplinarnej i doktrynalnej, których żaden synod nie zdołałby załatwić. Potrzeba więc – powiedział – bardziej uniwersalnego i autorytatywnego organu, który by w pełni realizował zasadę kolegialności czyli odpowiedzialności całego światowego kolegium biskupów za Kościół i jego nauczanie. Nie ulega wątpliwości, że kard. Martini coś takiego jak sobór miał na myśli. Nie mógł tego wyraźniej powiedzieć, bo według teży zasady kolegialności ewentualne zwołanie soboru jest decyzją leżącą wyłącznie w kompetencji papieża. Z wywiadu udzielonego przez kard. Martiniego londyńskiemu tygodnikowi *The Tablet* wynika, że uważa on zwołanie takiego zgromadzenia za sprawę pierwszych lat następnego stulecia, a zatem niekoniecznie jeszcze obecnego pontyfikatu. A następnym papieżem może być właśnie kard. Martini, uważany powszechnie za jednego z najbardziej prawdopodobnych kandydatów. Jak to się mówi w kościelnym języku, arcybiskup Mediolanu jest jak najbardziej *papabilis*.

Lista problemów, przed którymi Kościół stoi, wymienionych przez kardynała Martiniego w jego przemówieniu na plenum, w pierwszej fazie Synodu, pokrywa się w dużej mierze z zagadnieniami poruszonymi przez innych biskupów w ciągu drugiej fazy obrad w aż 17 grupach językowych. Umożliwienie uczestnikom Synodu dyskusji w najlepiej znanych im językach (głównie włoskim, angielskim, hiszpańskim, francuskim i niemieckim) ma tę dobrą stronę, że ułatwia wzajemne zrozumienie, ale sprawia też, że we wszystkich grupach mówi się o wszystkim. Wyniki tych dyskusji zostały następnie skomasowane przez sekretarzy Synodu w postaci wniosków, które potem zostały poddane pod głosowanie na posiedzeniach plenarnych trzeciej i końcowej fazy Synodu. Na tej podstawie papież ma oprzeć swoje ostateczne podsumowanie tegorocznego zgromadzenia. Synod zakończyło wydanie uroczystego Orędzia w sprawie politycznego, kulturalnego i nade wszystko religijnego zjednoczenia Europy.

Dużo jest tego wszystkiego i niepodobna to wszystko jeszcze raz streszczać. Zadówolmy się listą problemów przedstawionych przez kardynała Martiniego. A więc brak kapłanów, wskutek czego w niektórych rejonach świata wielu wiernych jest pozbawionych dostępu do sakramentów; stąd potrzeba udziału ludzi świeckich w sprawowaniu sakramentalnego życia Kościoła; dalej, szczególna rola kobiet, także w posłudze sakramentalnej; aktualne problemy życia seksualnego i małżeństwa; praktyka penitencjarna – znaczne zmniejszenie ilości indywidualnych spowiedzi i wzrost popularności zbiorowych nabożeństw pokutnych i zbiorowych absolucji; stosunki z prawosławiem (na Synodzie byli obecni obserwatorzy z ramienia trzech patriarchów: konstantynopolskiego, rosyjskiego i rumuńskiego); przezwycięzenie zastojów w ruchu ekumenicznym na rzecz zjednoczenia chrześcijaństwa; sprawa wartości moralnych w życiu społecznym i politycznym; wartości moralne w prawie cywilnym.

Są to wszystko standardowe problemy od dawna nurtujące świadomość i sumienia całego świata chrześcijańskiego, nie tylko samego Kościoła rzymsko-katolickiego. Dzięki temu niektóre problemy niejako rozwiązują się same. Niedawno pewne poruszenie wywołał fakt, że kard. Schoenborn, arcybiskup Wiednia, zezwala na udział w komunii św. niekatolickich partnerów małżeństw mieszanych. Kardynał w liście do redakcji londyńskiego *The Tablet* wyjaśnił, że oczywiście prawo do przyjęcia Ciała i Krwi Pańskiej ma każdy, kto jest w stanie zgodnie ze swoim sumieniem odpowiedzieć Amen na treść mszalnej modlitwy eucharystycznej. Mniejsza o to, jak to się ma do dopuszczalnych dotychczas wyjątków od obowiązującego nadal zakazu interkomunii z wiernymi innych Kościołów chrześcijańskich. List kard. Schoenborna jest radosnym świadectwem, że zakaz interkomunii staje się coraz bardziej martwą literą. Innym dowodem coraz bardziej realnej jedności różnych wyznań chrześcijańskich jest ogłoszona pod datą 31 października wspólna deklaracja katolicko-luterańska w sprawie nauki o usprawiedliwieniu, która dotychczas była główną kwestią sporną między obu wyznaniami. Nie znaczy to oczywiście, by w trwających od wielu lat wspólnych deliberacjach na ten temat odnaleziono nagle aspekt teologicznej prawdy, która od czasu rozłamu

w XVI wieku była niewidoczna, ale teraz wreszcie pozwoliła obu stronom się pogodzić. Chyba że tą prawdą jest pokorne przyznanie, że wspólnota wiary obu Kościołów jest głębsza niż różniące je dotychczas niesłychanie subtelne teologiczne sformułowania.

Co mnie doprowadza do św. Augustyna (354-430), największego bodaj, poza św. Tomaszem z Akwinu, autorytetu teologicznego zachodniego chrześcijaństwa. W popularnej hagiografii Augustyn jest człowiekiem, który zrazu prowadził bardzo rozwiąże życie (co wcale nie jest prawdą), lecz potem, nawrócony przez swą matkę, św. Monikę, przyjął chrzest, został kapłanem i biskupem, i ostatecznie świętym. Faktem jest, że pozostawił po sobie olbrzymią spuściznę literacką, w większości dostępną po dziś dzień przede wszystkim w monumentalnym wydawnictwie znanym pod nazwą „Patrologia Latina” Migne’a (jest również „Patrologia Graeca” tegoż wielkiego wydawcy). To ta spuścizna w wielkiej mierze ukształtowała katolicką myśl teologiczną na przestrzeni półtora tysiąca lat. Na szczęście nie bezkrytycznie. Dzieło Augustyna z jednej strony i późniejszy rozwój myśli katolickiej z drugiej, są najlepszym dowodem, że teologia nie jest właściwie nauką – w pierwszym rzędzie nie w sensie, w jakim są nią nauki przyrodnicze, ale również w sensie nauk humanistycznych, z wyjątkiem filozofii (nie historii filozofii) – lecz raczej płynną i wciąż ponawianą intelektualną refleksją nad prawdami wiary. (Taką samą refleksją nad sensem życia i świata jest chyba filozofia). W czasach Augustyna i jeszcze długo potem to rozróżnienie między religijną i filozoficzną refleksją a nauką jeszcze nie istniało. Augustyn traktował swoje spekulacje na temat Boga i rzeczywistości świata duchowego zupełnie tak samo jak wiedzę o świecie i rzeczywistości materialnej w rodzaju fizyki, powiedzmy, Arystotelesa czy Archimedesza. Niestety i dziś jeszcze wielu praktykantów oficjalnej teologii myśli podobnie, narażając się na pogardliwe ataki takiego na przykład Hansa Alberta, autora „Nędzy teologii”, który jednak przy tej okazji popada w odwrotny błąd, polegający na tym, że wszelką refleksję teologiczną odrzuca jako intelektualnie nieuprawnioną.

Te uwagi są próbą pewnego usystematyzowania refleksji, jakie nasunęła mi lektura ostatniej większej książki Leszka

Kołodakowskiego pt. „Bóg nie jest nam nic dłużny”*. Formalnie jest to książka „o religii Pascala i ducha jansenizmu”, ale jej głównym bohaterem (by nie powiedzieć złym duchem) jest Augustyn z Hippony. Bo on też był bohaterem XVII-wiecznego dzieła flamandzkiego teologa Corneliusa Jansena pt. „Augustinus” (rzecz była napisana w języku łańskim), który dowodził, że nauka św. Augustyna o łasce, wolnej woli i przeznaczeniu była przeciwieństwem nauki francuskich jezuitów, t.zw. molinistów, hołdujących jakoby herezji t.zw. pelagianizmu (od nazwiska współczesnego Augustynowi irlandzkiego myśliciela Pelagiusa, ostro przez Augustyna zwalczanego). Książka Janseniusa wyszła w roku 1640, w dwa lata po śmierci jej autora, i w roku 1642 została przez papieża Urbana VIII potępiona jako heretycka. Pascal był zdecydowanym zwolennikiem Janseniusa i jego słynne listy otwarte, t.zw. „Prowincjałki”, były wymownym oskarżeniem jezuitów i ich semi-pelagiańskiej doktryny. To Kołodakowski nazywa doktrynę molinistów semi-pelagiańską, gdyż unika ona z jednej strony zbyt radykalnego odrzucenia nauki o grzechu pierworodnym (wywodzącej się praktycznie od Augustyna), lecz z drugiej strony unika również przerażających aspektów augustiańskiej nauki o predestynacji. Powiedzmy od razu, że cała ta kontrowersja, która tak głęboko zaraziła myśl religijną XVII wieku, jest jaskrawym przykładem Albertowskiej „nędzy teologii”. Nie dość, że Jansenius w ślad za Augustynem bez troski i bezlitośnie kwantyfikuje łaskę i wolną wolę, i nawet wszechmoc Bożą, jak gdyby to były zgoła fizyczne wielkości (pokusa rzekomej naukowości), ale ponadto cały świat nadprzyrodzony (powiedzmy może lepiej nadprzyrodniczy) żarza bez mała fizycznym determinizmem, którego źródłem jest arbitralna wola Boga, obdarzającego jednych ludzi nieodpartą łaską zapewniającą im wieczne zbawienie, a innych równie arbitralnie skazuje na wieczne cierpienia w piekle. Dla współczesnego człowieka, nie tylko chrześcijanina, jest rzeczą

* Podaję tytuł w wersji polskiej wydanej przez Znak (1994). Sam czytałem książkę w wersji francuskiej: „Dieu ne nous doit rien. Brève remarque [bagatela, 300 stron – A.P.] sur la religion de Pascal et l’esprit du jansenisme”, Edition Albin Michel, 1997. Tytuł oryginału angielskiego: „God owes un nothing. A brief remark on Pascal’s religion and the spirit of jansenism”, University of Chicago Press, 1995.

zupelnie niezrozumiała, jak katolicki święty mógł wierzyć w takiego Boga i, co więcej, takiego Boga kochać. A jednak książka Kołakowskiego pełna jest przerażających cytatów z rozlicznych dzieł Augustyna, zarówno bardziej znanych, jak „De civitate Dei” jak i mniej sławnych jak „De gratia et libero arbitrio” czy „De predestinatione sanctorum”, z których wynika niezbicie, że taka była istotnie myśl św. Augustyna. Wielki teolog nie miał wątpliwości, że tylko ludzie ważnie ochrzczeni mogą dostąpić wiecznego zbawienia, i zdawał sobie przy tym sprawę, że jest to znikoma mniejszość całej ludzkości. Wszyscy inni są skazani na wieczne potępienie. W terminologii św. Augustyna *massa damanta*. Także dzieci nie ochrzczone nie mogą być do nieba przyjęte – a Augustyn nie znał żadnego stanu pośredniego, czyśćca czy limbo, między niebem a piekłem. Przyczyną jest oczywiście grzech pierworodny, *peccatum originale*, koncepcja w dużej mierze Augustynowskiego autorstwa. Wprawdzie nieochrzczone dzieci, w odróżnieniu od dorosłych, nie są obciążone ponadto żadnym osobistym grzechem, co może zmniejszać ich cierpienia w piekle, ale to nie znaczy, by były one od wszelkich cierpień zwolnione. I to również św. Augustyn bardzo wyraźnie stwierdza.

Jeśli chodzi o dokumentację tej makabrycznej teologii w książce Kołakowskiego, na dwie rzeczy należy zwrócić uwagę. Pierwsza to to, że Kołakowski większość tej dokumentacji podaje w obszernych, czasem aż kilkustronicowych przypisach, nie zaś w głównym tekście książki. Są to długie cytaty z rozlicznych dzieł Augustyna, podane najpierw w ich oryginalnym łacińskim brzmieniu, a następnie tłumaczone na właściwy dla danego wydania język nowożytny. Tych dzieł jest bardzo wiele, bo (jak już powiedzieliśmy) twórczość św. Augustyna była ilościowo ogromna. Niektóre z nich są szeroko znane i często cytowane, jak „De civitate Dei”, oraz wspomniane powyżej dwa inne dzieła. Inne są bardzo mało znane. I tu nie jestem całkiem pewny drugiego punktu, na który chcę zwrócić uwagę. Z pewnych sformułowań Kołakowskiego zdaje się wynikać, że teksty z mniej znanych dzieł Augustyna zostały przez niego zaczerpnięte z wielkiego dzieła Janseniusa o Augustynie nie zaś z Augustyńskich oryginałów. Tak czy owak jednak, skoro najsurowsi krytycy Janseniusa nigdy nie zarzucali mu fałszowania Augusty-

nowych tekstów, przekonanie Kołakowskiego o autentyczności cytowanych tekstów jest całkowicie usprawiedliwione**.

Ale te cytaty są rewelacyjnie gorszące. To tłumaczy dlaczego dzieło Janseniusa zostało przez Kościół oficjalnie potępione i że Kościół w swym nauczaniu przyjął postawę pośrednią między skrajnie pesymistycznym augustianizmem i znacznie bardziej optymistycznym, choć również oficjalnie potępionym, pelagianizmem – tym, co Kołakowski nazywa semi-pelagianizmem. Kołakowski nawet zatytułował pierwszą część swojej książki „Dlaczego Kościół katolicki potępił naukę św. Augustyna?”. Ale faktem jest, że żadnego oficjalnego potępienia nauki św. Augustyna nigdy nie było. Zamiast tego, jak to Kołakowski zauważa w jednym z przypisów, w „katolickich pracach historycznych surowość i okrucieństwo augustiańskiej nauki o predestynacji są często stonowane przez przemilczanie; dotyczy to nawet klasycznej pracy Etienne Gilsona „Introduction à l'étude de St. Augustin” (1950) i znakomitych komentarzy w dwujęzycznym wydaniu Dzieł Zebranych („Oeuvres” od r. 1950) – zob. koniec przypisu 64 do Części I na str. 275 wydania francuskiego.

Ostatnio również w Anglii mieliśmy dobitny przykład takiego wybielania osobowości i dzieła św. Augustyna. Zaledwie kilka miesięcy temu ukazała się nakładem firmy Weidenfeld & Nicolson książka Garry Willsa p.t. „St. Augustin”, w której o jego nauce o predestynacji i podobnych sprawach nie ma ani słowa. Garry Wills przedstawia osobę i dzieło Augustyna w jak najbardziej pozytywnym świetle i, rzecz ciekawa, recenzenci na ogół uznali jego książkę za przekonujące sprostowanie niesłusznie jakoby spostonowanej reputacji świętego. (Chodzi o jego rzekomo rozwiązłe życie przed nawróceniem. Wills wykazuje, że Augustyn przez 15 lat był wierny swej niewspomnianej z imienia towarzyszce życia i matce jego syna, a więc właściwie żonie. Inna rzecz, że to wcale nie tłumaczy, jak przyszedł święty mógł potem swoją żonę porzucić; Augustyn na dobrą sprawę był rozwodnikiem). W pewnych sprawach Wills istotnie zdaje się być przekon-

** Już po napisaniu artykułu otrzymałem od prof. Kołakowskiego ustne potwierdzenie, że wszystkie cytaty pochodzą wprost z dzieł św. Augustyna.

jący; np. że Augustyn jako biskup Hippony, zanim stał się sławnym młotem heretyckich donatystów, długo i konsekwentnie dążył do jakiegoś porozumienia z heretykami. A jednak wygląda na to, że Wills wielu istotnych tekstów Augustyna nie czytał; że nie czytał też bardzo proaugustyńskiego dzieła Janseniusa. Na pewno zaś nie czytał Kołakowskiego. A mógł i powinien był czytać; angielskie wydanie „God owes us nothing” ukazało się już w r. 1995.

Więc jak to właściwie jest? Czy Kościół powinien potępić naukę Augustyna, jak to przemyślnie sugeruje Kołakowski w tytule pierwszej części swej książki? (Druga część nosi tytuł „Smutna religia Pascala”, ale nie potrzebujemy się nią tu zajmować). Powiedzmy, że „potępić” jest niepotrzebnie ostrym słowem i często, jak wiemy z historii Kościoła, niebezpiecznym słowem; wystarczy, by Kościół odrzucił nieludzką naukę o łasce i przeznaczeniu, udokumentowaną i napiętnowaną w książce Kołakowskiego. I ta nauka praktycznie już została odrzucona we wspomnianym dekrete Urbana VIII, potępiającym dzieło Janseniusa, które na Augustyńskiej nauce było oparte, choć Kościół nigdy tego nie potwierdził formalnym dekretem, który by *explicite* wymieniał biskupa Hippony. O tyle sytuacja pozostaje niejasna. Istotne jednak jest, że Kościół w swym nauczaniu zawsze podkreślał, wbrew Augustynowi, autonomiczność ludzkiej wolnej woli i znaczenie indywidualnej ludzkiej odpowiedzialności. Co więcej, wydaje się, że makabryczna strona Augustynowej teologii była czysto teoretyczną spekulacją, która nie wykluczała zdrowej teologicznej i filozoficznej refleksji w innych dziedzinach jego myśli. Faktem pozostaje, że Augustyn był genialnym myślicielem, który zaważył potężnie na rozwoju światowej myśli filozoficznej, jak o tym świadczy choćby fakt, że jeszcze w naszym stuleciu Wittgenstein i Bertrand Russell korzystali z jego wnikliwych intuicji na temat istoty czasu, zawartych w XI księdze jego „Wyznań”. A arbitralny i zgoła ślepy Bóg predestynacji jego teologicznych spekulacji zdaje się nie mieć nic wspólnego z miłującym i godnym miłości Bogiem, do którego są adresowane te „Wyznania”. „Stworzyłeś nas, Panie, dla siebie i niespokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie”, Ks. I.)

Niemniej pozostaje plama na wielkiej spuściznie Augus-

tyna, wobec której trzeba się mieć na baczności. Ta plama to część nie-chwalebnych partii historii Kościoła, na które kilka lat temu, trochę nieśmiało zwrócił uwagę papież Jan Paweł II w liście pasterskim „Tertio millennio adveniente”. Odtąd nie tylko papież, ale cały Kościół próbuje się z tym smutnym dziedzictwem – także nieśmiało, bo z poczuciem odpowiedzialności – uporać. Nadszedł na to czas, bo nasza dzisiejsza moralna świadomość (może właśnie na skutek strasznych doświadczeń naszego stulecia) nie może się już pogodzić z faktem, że takie potworności jak inkwizycja, gwałcenie sumień i palenie na stosie, mogły w ogóle być w Kościele Ukrzyżowanego Chrystusa tolerowane. Także, jak mogły być tolerowane nieludzkie i zgoła niechrześcijańskie spekulacje teologiczne św. Augustyna. Widocznie mentalność tamtych wieków – na przykład Augustyna, ale także jeszcze o więcej niż tysiąc lat późniejszego Janseniusa – była jakoś mniej wrażliwa na masową krzywdę ludzką i masowe ludzkie cierpienia. W naszych czasach – nawet jeżeli niewiele na to umiemy poradzić, na obszary chronicznej nędzy w tak zwanym Trzecim Świecie czy masowego terroru w takim Tybecie – to przynajmniej mamy wyrzuty sumienia i zdobywamy się na jakieś namiastki niesienia pomocy. Tłumy przyglądające się spalaniu Giordano Bruno na stosie w roku tysięcznym nie miały wyrzutów sumienia (przyznaję, że to już oklepany przykład, bo takich egzekucji były setki i tysiące, ale oklepany przykład gra rolę symbolu). Czy nasze tłumy dziś są naprawdę moralnie bardziej wrażliwe niż tamte sprzed czterech stuleci? Czy to znaczy, wbrew pozorom, że staliśmy się dziś jakoś bardziej chrześcijańscy, nawet ci, co przestali do kościoła chodzić?

Sądząc z relacji prasowych, była o tym mowa na październikowym Synodzie Europejskim w Rzymie i przynajmniej niektórzy jego uczestnicy mieli podobne wrażenia i nadzieje. A jeśli te wrażenia są choćby w części słuszne, to jaki będzie kształt chrześcijaństwa, kształt Kościoła, w następnym stuleciu i tysiącleciu? Tego nam oczywiście Duch Św. z góry nie powie.

Antoni POSPIESZALSKI

Sąsiedzi

Kronika niemiecka

GOSPODARKA I SPRAWY SOCJALNE: Ponad 7% , tj. 846.000 ha z ogółem 11,8 milionów ha ziemi ornej w Niemczech rolnicy niemieccy pozostawiają w tym roku odłogiem. ■ Inwestycje zagraniczne w Niemczech w 1998 roku podwoiły się do sumy 35 miliardów marek w porównaniu do roku 1997. Odpływ kapitału był jednak nieomal czterokrotnie większy i wyniósł 146,4 miliarda marek (w roku 1997 – 63,7 miliarda marek). ■ W pierwszej połowie br. niemiecki eksport do Rosji zmniejszył się o 53,5% w porównaniu do roku ubiegłego. Najważniejszym partnerem handlowym Niemiec pozostają nadal Francja i USA. Największym importerem niemieckich towarów na terenie byłego bloku wschodniego pozostaje Polska (wartość importowanych towarów w zaokrągleniu: 11,3 miliarda) przed Czechami (9,2 miliarda) i Węgrami (8 miliarda). Z tego obszaru najczęściej eksportują do Niemiec Czechy (9,2 miliarda), Polska (8,6 miliarda) i Węgry (8,1 miliarda). ■ Według szacunków, w Niemczech pracuje na czarno 5 milionów osób rocznie. Powoduje to, że PKB jest w istocie o 600 miliardów marek większy, niż wynika to z danych dotyczących oficjalnej sfery gospodarki. ■ We wrześniu bezrobocie wynosiło 3.943.236 milionów osób i było nieomal takie same jak w roku poprzednim za rządów Helmuta Kohla. ■ Od roku 1995 liczba zgonów w Niemczech przekracza przeciętnie o 67.000 liczbę narodzin. Przybywanie mieszkańców następuje z powodu imigracji, wynoszącej 141.000 rocznie. ■ W ostatnich latach około 300.000 osób rocznie nabywało obywatelstwo niemieckie. Oblicza się, że po wprowadzeniu nowych liberalniejszych przepisów, liczba ta osiągnąć może w roku 2000 niemal milion osób. Ogółem, szanse na ułatwione otrzymywanie obywatelstwa niemieckiego ma ponad 3 miliony z ponad

7 milionów żyjących w Niemczech obcokrajowców. ■ Tylko 3,5% mieszkających w Berlinie młodocianych Turczynek i Turków, z których 80% urodziło się w tym mieście, czuje się związanych z kulturą niemiecką. ■ Najpopularniejszymi kierunkami studiów w roku akademickim 1998/99 w Niemczech były i nadal pozostają: gospodarka przedsiębiorstw (137.129 studentów), przed prawem (110.366) oraz germanistyką (82.333). ■ Od roku 1993 liczba niemieckich gospodarstw domowych dysponujących komputerem osobistym z 21% zwiększyła się w roku 1998 do 39%. ■ **POLITYKA:** Rozszerzenie Unii Europejskiej na Wschód popiera 64% obywateli niemieckich, którzy uważają, że kraje kandydackie „dojrzały już do tego kroku”. ■ W „Urzędzie Gaucka” znajdują się dokumenty dotyczące 12.000 osób, do których dostępu nie mają naukowcy i badacze służby bezpieczeństwa NRD. Przedstawiciel tej placówki twierdzi, że nie są to oryginały, lecz podsumowania dokumentów, które nie podlegają pod ustawę o traktowaniu archiwów „Stasi”. Ich oryginały, przewiezione w ramach „Operacji Rosenholz” do USA, zostały przez CIA skopiowane na płytach kompaktowych, które mają dotrzeć do Niemiec w ramach umowy bilateralnej w styczniu przyszłego roku. Zawierają one m.in. 19.000 prawdziwych nazwisk agentów „Stasi” i mają umożliwić odkrycie ponad 1.000 agentów byłej NRD działających za granicą. ■ Liczni pisarze, działacze ruchów niezależnych; lekarze i artyści z byłej NRD zażądali zbadania, czy ernerdowska bezpieka nie naświetlała świadomie promieniami Roentgena głównych obrońców praw człowieka, jak Rudolf Bahro, Gerulf Panach i zmarły niedawno pisarz Jürgen Fuchs, który przed swą śmiercią na raka głosił tezę o „mordach rozłożonych na raty”. ■ Byli więźniowie polityczni w byłej NRD mają otrzymać jednolite odszkodowanie w wysokości 600 marek za miesiąc więzienia. ■ W roku ubiegłym przeciętnie 400 osób dziennie składało wniosek o umożliwienie im wglądu do akt ernerdowskiej bezpieki. Z 1,6 miliona wniosków nie rozpatrzono jeszcze 200.000. Ogółem, do maja br. różne instytucje złożyły 2.349.000 wniosków o przebadanie przeszłości swych współpracowników, z których rozpatrzono 2.187.000. ■ Z danych opublikowanych 1 października br. wynika, że w ramach ścigania przestępstw popełnionych przez rządzących w byłej NRD, otwartych zostało 22.854 postępowań dochodzeniowych, z których do końca (w tym także przez ich wstrzymanie) doprowadzono

99,4%. Tylko w 602 przypadkach (2,64%) doszło do wniesienia aktu oskarżenia. Ogółem oskarżono 1065 osób, z których skazano 335. Do więzienia trafiło 35 osób, 213 otrzymało karę więzienia w zawieszeniu. ■ Z krytyką ze strony związków wypędzonych i opozycji spotkały się plany ministra kultury Michaela Naumanna (SPD), który zapowiedział stopniową redukcję środków na wspieranie kultury niemieckiej w Europie Wschodniej z 43,2 miliona rocznie do 35 milionów w roku 2003. Naumann odrzucił krytykę, przedstawiając nową koncepcję wspierania kultury, której najważniejszym elementem ma być „Fundacja Kulturalna Europy Wschodniej”. Zarzucił też wypędzonym, że w 10 lat po upadku „żelaznej kurtyny” nie wyciągnęli żadnych konsekwencji ze zmian politycznych, które wymagają modyfikacji sposobu wspierania działalności kulturalnej i naukowej. ■ Na renowację trzech sowieckich pomników i miejsc pamięci ku czci poległych żołnierzy Armii Czerwonej w Berlinie, rząd federalny, zgodnie z podpisanymi zobowiązaniami, wyda 6 milionów marek. ■ Ocenia się, że w roku bieżącym po raz pierwszy od roku 1987 do Niemiec przybędzie mniej niż 100.000 przesiedleńców. ■ W roku 1998 aresztowano w Niemczech 18.000 osób, chcących nielegalnie wjechać na teren tego kraju. Niemiecy wopiści udaremniłi ponadto 40.201 prób nielegalnego dostania się do Niemiec. ■ Minister spraw wewnętrznych Otto Schily zażądał likwidacji możliwości zaskarżenia w sądach niemieckich prawa do pozostania na terenie kraju ze strony osób ubiegających się o azyl polityczny. Wyraził też nadzieję, że 180.000 Albańczyków z Kosowa do końca przyszłego roku dobrowolnie wróci do swego kraju. Dotychczas uczyniło to 12.600 osób. ■ Z powodu cięć oszczędnościowych Republika Federalna zamierza zlikwidować 20 zagranicznych placówek dyplomatycznych. W Polsce mają zostać zamknięte konsulaty generalne w Opolu i Szczecinie. ■ Kontrowersje wśród niemieckich biskupów katolickich wywołało wezwanie papieża do zaprzestania prowadzenia przez placówki kościelne poradnictwa dla kobiet pragnących usunąć ciążę. Ujęta przepisami i poświadczona porada stanowi warunek przeprowadzenia legalnego zabiegu. ■ Od końca listopada br. w Niemczech może być sprzedawana pigułka abortyjna „mifegyne”. ■ Według najnowszych ankiet, 49% obywateli niemieckich wypowiada się przeciwko budowie kolejnego pomnika dla ofiar Holocaustu, a dalsze 33% uważa, że pomnik taki powinien być

poświęcony nie tylko Żydom, lecz wszystkim ofiarom nazizmu. ■ 13 sierpnia zmarł przewodniczący Centralnej Rady Żydów w Niemczech Ignatz Bubis. Nie chcąc, by jego grób był celem możliwych ekscesów antysemitycznych, Bubis nakazał, by po śmierci pochowano go w Izraelu. Tam jednak – tuż po pochówku – jego grób czarną farbą oblał izraelski artysta Meir Mendelssohn. W rozmowie z izraelską gazetą *Haaretz* Meir nazwał Bubisa kłamcą, oszustem i kryminalistą, który posiadał domy publiczne, a swego żydowskiego pochodzenia nadużywał w Niemczech dla własnego dobra. Urodzony w roku 1927 we Wrocławiu (Breslau) Ignatz Bubis, który część rodziny stracił w czasie Holocaustu, powrócił po wojnie do Niemiec, gdzie zrobił karierę finansową, handlując biżuterią i nieruchomościami. Sądzi się, że to jego postać posłużyła Reinerowi Wernerowi Fassbinderowi za prototyp bezwzględego spekulanta w jego krytykowanej przez środowiska żydowskie sztuce pt. „Śmieci, miasto i śmierć”, którą na skutek ich protestów kilkakrotnie musiano zdjąć z programu teatrów. ■ Minister sprawiedliwości pani Däubler-Gmelin (SPD) pragnie podjąć działania polityczne przeciwko sprzedaży książki „Mein Kampf” Adolfa Hitlera, oferowanej w Niemczech z terenu USA przy pomocy internetu. ■ W okresie od 1 stycznia do 30 października 1999 roku liczba incydentów z pobudek skrajnie prawicowych w szeregach Bundeswehry (ogółem: 77) zmalała w porównaniu do całego roku ubiegłego (200). ■ Sąd w Berlinie skazał dwóch fanów klubu piłkarskiego FC Union z Berlina, którzy we wrześniu 1996 roku na stadionie w Zabrzu wznosili okrzyki i wykonywali gesty faszystowskie (Hitler-Gruss), na kary od 4800 do 8500 marek. ■ KULTURA i POLONICA: Pod redakcją Andrzeja Kaluzy w nowej szacie graficznej ukazał się biuletyn informacyjny Niemieckiego Instytutu Polskiego (Deutsches Polen Institut – DPI) w Darmstadtzie. Redakcja zapowiada, że będzie się on ukazywał dwa razy w roku i zawierał informacje o planowanych imprezach i nowościach wydawniczych. Z inicjatywy Instytutu w dniu 9 listopada, tj. w 10 rocznicę upadku Muru Berlińskiego, zorganizowano w Berlinie 3. niemiecko-polską rozmowę panelową („Za waszą i naszą wolność”), do której zaproszono m.in. ministra Bronisława Geremka, byłą prezydent Bundestagu Ritę Süßmuth, historyka Jacquesa Le Goffa oraz Timothy Garton Asha. DPI wyznaczył także nagrodę w wysokości 15.000 marek połączonej ze stypendium w Niemczech głównie dla młodych

tłumaczy, którzy chcą przełożyć na język polski dzieła beletrystyczne lub z obszaru literatury faktu. ■ W lecie br. organizacja Deutsch-Polnisches Forum e.V. zorganizowała szereg imprez kulturalnych z polskimi artystami, w tym wieczór poetycki Piotra Piaszczyńskiego. ■ Akademia Europejska w Berlinie i litewska ambasada zorganizowały szeroko zakrojony program imprez z udziałem licznych artystów, polityków i naukowców pt. „Vilnius grusst Berlin” (Wilno pozdrawia Berlin). ■ W roku ubiegłym obroty w sprzedaży książek w Niemczech wzrosły o 1,6 procent. Przyczynił się do tego m.in. handel za pomocą internetu. Trend w czytelnictwie zmierza w kierunku książki kieszonkowej. ■ Naukowcy niemieccy obliczyli, że Johann Wolfgang von Goethe znał 92.000 słów, których użył w swych wszystkich dziełach. Jest to największa ilość, jaką stwierdzono u człowieka posługującego się językiem niemieckim. ■ Gruzja i Armenia zwróciły niemieckim bibliotekom 100.000 książek wywiezionych z Niemiec po roku 1945. ■ Ufundowaną przez Güntera Grassa Nagrodę im. Daniela Chodowieckiego otrzymał polski artysta Przemysław Tyszkiewicz. ■ Przyznana po raz pierwszy przez Uniwersytet Europejski Viadrina we Frankfurcie nad Odrą nagrodę Viadrina-Preis otrzymał Karl Dedecius. ■ W dniach od 3 do 12 września odbyła się kolejna wyprawa literacka „V Niemiecko-Polski Parostatek Poetów”. W jej ramach miały miejsce spotkania i odczyty literackie z udziałem autorów z obu krajów. ■ Więcej pieniędzy na wsparcie swej działalności zażądała organizacja Niemiecko-Polska Wymiana Młodzieży. W roku 1998 z budżetu w wysokości 13 milionów marek zorganizowała ona *workshop*'y, podróże studyjne i wymianę uczniów, w których udział wzięło 100.000 młodych Polaków i Niemców. ■ Rektorką Uniwersytetu Europejskiego Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, w którym 1/3 studentów pochodzi z Polski, została politolog z Berlina pani profesor Gesine Schwan. Przed rokiem 1989 utrzymywała kontakty z polską opozycją, a swą pracę doktorską napisała o filozofie Leszku Kołakowskim. Gesine Schwan zna m.in. język polski i francuski. ■ W dniu 7 września z udziałem ambasadora Polski w Niemczech Andrzeja Byrta i marszałka Sejmu Macieja Płażyńskiego odbyła się w Berlinie okolicznościowa uroczystość z okazji wznowienia po 60-ciu latach nieobecności nad Szprewą działalności Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Niemczech. ■ Na tegorocznych Targach Książki we Frankfurcie nad Me-

nem zaprezentowano ponad 370.000 książek z ponad 100 krajów całego świata. ■ Niemiecko-Polskie Towarzystwo w Moguncji oraz Societas Jablonoviana Wiesbadener Arbeitskreis zorganizowały w Wiesbaden, Moguncji i we Frankfurcie nad Menem wieczór literacki poświęcony twórczości Marka Hłaski, który wedle organizatorów spotkał się z ogromnym zainteresowaniem publiczności i oddźwiękiem w prasie. ■ Dużą aktywność rozwija nadal Polski Instytut Kultury w Berlinie, który w ostatnim czasie zorganizował m.in. rozmowę panelową między Andrzejem Szczypiorskim i pisarzem z byłej NRD Hermannem Kantem pt. „Polska i Niemcy – 60 lat później”; z Ambasadą Polską w Berlinie PKI współorganizował koncert Krzysztofa Pendereckiego dla uczczenia rocznicy 1 września 1939 roku. ■ W ramach Festiwalu Teatralnego w Berlinie odbył się występ Teatru Polskiego z Wrocławia, który przedstawił sztukę pt. „Doktor Faustus” wg Tomasza Manna w reżyserii Grzegorza Jarzyny. Media niemieckie oceniły inscenizację negatywnie. ■ Występując 22 września na konferencji pt. „Bilans niemiecki” (Fazit Deutschland) w Berlinie prezydent Aleksander Kwaśniewski przedstawił wizję stosunków obu krajów w XXI wieku z polskiej perspektywy, podkreślając znaczenie demokratycznej Ukrainy dla tego regionu Europy. Powiedział też, że Polska chce skorzystać z szans współpracy z Niemcami i niemieckich doświadczeń oraz poszerzać współpracę w dziedzinie nauki i edukacji. ■ Bogaty program imprez kulturalnych na okres od października do grudnia br. przygotował Polski Instytut Kultury w Lipsku. Składają się nań imprezy literackie, muzyczne, filmowe, wykłady i dyskusje. ■ W programie II Dni Kultury Polskiej w Brunzshwiku, zorganizowanych w dniach od 11 do 14 listopada przez Niemiecko-Polskie Stowarzyszenie Kulturalne, znalazły się liczne imprezy mające przybliżyć Niemcom polską muzykę, literaturę, sztukę i historię. ■ Z ankiety przeprowadzonej wśród 56 niemieckojęzycznych autorów, literaturoznawców, wydawców i krytyków przez czasopismo *Das Gedicht* (Wiersz) największymi niemieckimi poetami XX wieku są Gottfried Benn, Paul Celan oraz Bertold Brecht. ■ Berliński „Teatr Kreatur” Andrzeja Worońca wystawił swą najnowszą sztukę pt. „Frankenstein-Genus Avium”. ■ Nagrodę „Złotego Gołębia” na Festiwalu Filmów Dokumentalnych w Lipsku w kategorii długich filmów dokumentalnych otrzymał reżyser Paweł Łoziński. ■ Polskie Towarzystwo Szkolne „Oświata” w Berlinie zorganizowało w październiku

spotkanie pt. „Śladami Adama Mickiewicza. Białoruś i Litwa w retrospekcji Reginy Mikielewicz i Elżbiety Guderskiej-Pociechy” oraz premierę sztuki „Balladyna” Juliusza Słowackiego w inscenizacji teatru młodzieżowego „Bez Paniki” prowadzonego przez „Oświatę”. W liście* załączonym do informacji przeznaczonej do „Kroniki niemieckiej” Regina Mikielewicz stwierdza m.in.: „Ostatnie informacje dotyczące funduszu na działalność Polonii w ogóle, przekazane działaczom polonijnym w Berlinie, nie były zbyt krzepiące. Okazało się, że 90% pomocy krajowych na zagranicę jest przekazywana na Wschód, co osobiście mnie ogromnie niepokoi. Zaobserwowane przeze mnie podziały narodowościowe, szczególnie na Białorusi (Domy Polskie dla Polaków i tylko...) mogą stać się powodem nieodwracalnych niesnasek, powodują bowiem podziały na najzwyklejsze ‘lepsi-gorsi’.”

Andrzej STACH

Ukraina po zwycięstwie Kuczmy

Leonid Kuczma zwyciężył w pojedynku z komunistą Petro Symonenko 14 listopada wyżej niż oczekiwali miejscowi i zagraniczni obserwatorzy. Na Kucznię głosowało 15 milionów wyborców, a na Symonenkę 10 milionów. Jest to przyzwoita większość pozwalająca zwycięzcy przystąpić do bardziej energicznych kroków w kierunku demokratyzacji i prywatyzacji. Przewagę Kuczma zdobył głównie dzięki temu, że jego przeciwnikom nie udało się utworzyć wspólnej platformy wyborczej. Tylko w ten sposób bowiem opozycja mogła udaremnić ponowny wybór dotychczasowego prezydenta na następną pięcioletnią kadencję. Z teoretycznego punktu

* Powyższy fragment listu publikuję bez wiedzy autorki.

widzenia warunki do powstania takiej potężnej antykucznowskiej koalicji istniały. Stopień wzajemnej wrogości pomiędzy administracją prezydenta i rzecznikami opozycji osiągnął najwyższą skalę permanentnych konfliktów. Bazą porozumienia mogło się stać powszechne rozczarowanie społeczeństwa niepowodzeniem reform, zubożeniem szerokich mas, bezrobociem. Zresztą początkowo wyglądało na to, że po raz pierwszy przywódcy opozycyjnych sił na lewym skrzydle politycznego spektrum, zdołają okiełznać osobiste ambicje i zaoferują wyborcom wspólną platformę rzeczywistego kontrastu wobec obietnic prezydenta na ponowną elekcję. Stało się jednak inaczej. Zwyciężył tradycyjny ukraiński duch atamanii, opartej na indywidualizmie i wzajemnej nieufności.

Utworzony pod koniec sierpnia w uroczystej oprawie historycznej na mogile wieszczki Szewczenki w Kaniowie tak zwany kwartet opozycyjny złożony z przywódcy socjalistów Moroza, przewodniczącego parlamentu Tkaczenki, eks-premiera i eks-generała bezpieczeństwa Marczuka oraz burmistrza z Czerkasów Olijnyka, rozleciał się w przeddzień pierwszego rzutu wyborów 31 października. Już przed tym nie udało się znaleźć porozumienia pomiędzy tą czwórką i przywódcą komunistów, co z góry podważyło szanse aliansu. Odseparowała się też *femme fatale* ukraińskiej polityki, „radykałka”, Natalja Witrenko. Nie doszło do zjednoczenia grup centrowych i prawicowych, które poszły do wyborów w pojedynkę albo jak w wypadku trzech kierunków rozdartego ruchu „integralnego nacjonalizmu” OUN które przyłączyły się do inicjatywy wspomnianego eks-generała Marczuka. Ostatecznie żaden z kandydatów nie zdobył przy pierwszej elekcji absolutnej większości, i zgodnie z ordynacją wyborczą, dwóch czołowych pretendentów – Kuczma i Symonenko stanęło do ostatecznej próby sił 14 listopada. Wygrał przewagą pięciu milionów głosów Kuczma.

Zdumiewające w obliczu permanentnego kryzysu gospodarczego zwycięstwo ma wiele aspektów. Po pierwsze, mimo kilkuletniej już niepodległości nie wyrósł żaden przywódca polityczny, który mógł się stać atrakcyjną alternatywą wobec Leonida Kuczmy. Jedynym politykiem dużego formatu z charyzmą był tragicznie zmarły na wiosnę prezes „Ruchu”

Wiaczesław Czornowił. W zwycięstwie urzędującemu prezydentowi pomogły oczywiście zależne od niego kadry administracji terenowej, zwłaszcza we Lwowie, Samborze i Tarnopolu, ale też na wschodzie – w Dniepropetrowsku i Doniecku. Ważnym elementem zdobycia większości było zawarcie umowy z przewodniczącym Federacji Związków Zawodowych Ołeksandrem Stojanem. Pomocne były stałe apele pierwszego prezydenta Leonida Krawczuka do młodzieży. Dały one nieoczekiwane owoce. Młodzież wzięła masowy udział w wyborach, głosując na Kucznię. I wreszcie aspekt rosyjski. Do przegranej komunistów przyczyniła się wojna Rosji w Czeczenii i szowinistyczna polityka przywódcy rosyjskich komunistów Zjuganowa.

Przyglądając się regionalnym wynikom głosowania widać, że na komunistów głosowali nie tyle robotnicy, co chłopci, szczególnie na Połtawszczyźnie i na Podolu, przede wszystkim w okolicach produkujących buraki cukrowe. Był to protest przeciwko pomyłkom w polityce rolnej władzy, zaniedbaniom w dziedzinie eksportowej, niskim cenom na płody rolne i wysokim za maszyny, benzynę i smary. Zwycięstwo komunistów na wsi załatwił nie przywódca KPU Symonenko ale działacz prokomunistycznej Partii Chłopskiej, wspomniany przewodniczący parlamentu, Tkaczenka, który się sprzymierzył z szefem komunistów.

I w końcu bardzo przykry, a nawet tragiczny wynik dla przywódców wszystkich partii demokratycznych od socjaldemokratów do Zielonych i obydwu odgałęzień Ruchu. Wyborcy ich zlekceważyli i to jest najbardziej posępna strona tej elekcji, która była testem dla stronnictw demokratycznych. Teraz zacznie się lament, poszukiwanie dróg wyjścia z zapaści a może potrzebny wstrząs moralny, wiodący do odrodzenia demokracji. Może, chociaż nie na pewno.

Doniosłym wydarzeniem w toku tych wyborów była wolta eks-generała Marczuka od przeciwnika do sojusznika Kuczmy. Już w nocy po pierwszej fazie wyborów z 31 października na 1 listopada zauważyłem podczas spotkania z kandydatami w agencji prasowej Unian, że w powietrzu wisi wielka zmiana. Siedzący obok mnie młody dziennikarz z dotąd ostro antykucznowskiej gazety *Deń* zapytał swego patrona, co myśli o zaistniałych fałszerstwach i falsyfikacjach, na co Mar-

czuk zupełnie spokojnie odrzekł, że falsyfikacje mają miejsce na całym świecie i nie trzeba na to reagować histerycznie. Młody człowiek mało nie upadł z krzesła. A ja widząc na co się święci przyparłem eks-generała do muru, pytając: „Co Pan zrobi jak Panu Kuczma zaproponuje jakieś poważne stanowisko?” Marczuk spojrział na mnie swym bystrym okiem i powiedział: „Jeżeli propozycja będzie poważna – to już jest sprawa państwa”. Za kilka dni przyjął nominację na szefa Komitetu Narodowego Bezpieczeństwa na miejsce zwolnionego Wołodomyra Horbulina. Co będzie z Horbulinem, na razie nie wiadomo. Może zostanie dyrektorem Instytutu Kosmicznych Rakiet, na których się zna, może pojedzie na ambasadora do jakiejś ważnej stolicy. Kuczma go nie opuści – to starzy kamraci z fabryki międzykontynentalnych rakiet w Dniepropetrowsku.

Kuczma ma śmiałe plany. Chciałby powołać gabinet koalicyjny, dokonać ważnych przemian ustrojowych, wprowadzić parlament z drugą izbą w postaci Senatu, obalić skompromitowanego przewodniczącego Werhownej Rady, Tkaczenkę. Ale główne pytanie to kwestia jaki to będzie teraz reżym. Liberalny filozof Myrosław Popowycz obawia się, że będzie to system autorytarny, coś w rodzaju ukraińskiej wersji przedwojennego polskiego Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Zobaczymy.

Bohdan OSADCZUK

Mój prywatny święty

Minęło 25 lat od śmierci Michała Chmielowca, który zmarł 19 maja 1974 roku w wieku niespełna 56 lat. Był przedostatnim (przed Stefanią Kossowską) redaktorem londyńskich *Wiadomości* i bezpośrednim następcą Mieczysława Grydzewskiego, założyciela tego pisma (jeszcze w Polsce pod nazwą *Wiadomości Literackie*). Przedtem, w połowie lat sześćdziesiątych był stałym współpracownikiem *Kultury* odpowiedzialnym za dział „O religii bez namaszczenia” i w tym charakterze redaktorem pamiętnej ankiety na temat życia religijnego Polaków, której wyniki wypełniły prawie cały numer *Kultury* w marcu 1966. Ta ankieta, w której wzięły udział tak wybitne pióra jak Mieroszewski, Miłosz, Józef Mackiewicz, Czapski, Jedlicki czy Horzelski, jest po dziś dzień jeszcze, po 34 latach, godna powtórnej lektury i refleksji; dziwna rzecz jak aktualne są wciąż jeszcze obserwacje jej uczestników i komentarze Chmielowca, mimo radykalnej zmiany politycznej sytuacji polskiego Kościoła.

Ale nie zamierzam w tym krótkim wspomnieniu relacjonować dzieła życia Michała Chmielowca. To wszystko niestety trudno znaleźć w odpowiednich rocznikach *Kultury* i *Wiadomości*, które są chyba dostępne w każdej dobrej polskiej bibliotece, w ostateczności w archiwum emigracji Biblioteki Uniwersyteckiej i Książnicy Miejskiej w Toruniu. Zwróć uwagę tylko na trzy jego książki. Jedna to „Łabędź Sabaudii”, o św. Franciszku Salezym, patronie dziennikarzy; drugą są jego uroczyste „Bajki, fraszki, morały”; trzecią wreszcie i najważniejszą jest niewielki zbiorek jego poezji pt. „Chwile” (wydany pod pseudonimem Michał Sambor). Ta skromna

książeczka jest dla mnie tak ważna dlatego, że zawiera potężny ładunek najbardziej osobistych myśli i najgłębszych przeżyć autora. Dla tych myśli i przeżyć nazwałem go moim prywatnym świętym.

Józef Mackiewicz napisał we wspomnieniu pośmiertnym, że w niczym z Chmielowcem się nie zgadzał, jednak na wiadomość o jego śmierci dusza się w nim zatrzęsła, bo zdał sobie sprawę, że nigdy nie miał bliższego przyjaciela. Ten paradoks może znaczyć tylko jedno, że przyjaźń Michała była wyższa ponad wszelkie różnice zdań. Ale jeszcze bardziej zdumiewający jest inny paradoks. Życie Michała było wypełnione cierpieniem i równocześnie niezrozumiałą na pozór radością i wdzięcznością za cud istnienia i życia. Od młodości chorował na płuca, a potrafił przetrwać zabójcze mrozy Warkuty. Chroniczna choroba właściwie nie opuszczała go nigdy, lecz w jego wierszach co chwila pobrzmiwa nuta współczucia dla ludzi jeszcze biedniejszych niż on. Najstraszliwszym ciosem musiała dla niego być samobójcza śmierć jego dorosłego już syna, też ofiary (o ile wiem) zbyt silnego etycznego napięcia. Ale i ten cios nie zachwiał wiary Michała, że suma dobra w stworzonym przez Boga świecie jest nieporównanie większa niż suma nieszczęścia i grzechu. Dlatego waży się zgoła prowokacyjnie modlić w dramatycznym, krótkim wierszu pod tytułem „Według Psalmisty”:

*Nakarm mnie, Panie, chlebem płaczu, napój
kielichem łez.
Bądź skąpy w niezmiierzonych darach, w marnych
razach hojny.
Nie wzbraniaj mi powietrza, głodu, ognia, wojny,
przesytu, zło- i niedobytu
i przenajświętszej hostii powszechnego zachwytu
nad światem takim, jakim właśnie jest.*

Daleki był przy tym od konwencjonalnej pobożności. Jego wiara stanowiła jedną zwartą całość z subtelną filozoficzną refleksją. Oto dla kontrastu przedziwnie pogodny sonet zatytułowany bezpretensjonalnie „Po szkole”:

*Dać się nieść życiu lekko, tak jak strumień niesie
piłkę, która się dzieciom wymknęła w zabawie.
Zapomnieć „było”, „będzie”, zanurzyć się w stawie
wieczyście zielonego „dziś”, o którym wie się*

*jedno: że jest. Zatrzymać się na ścieżce w lesie
i tak długo patrzeć, milcząc, aż się wyda prawie
oczywiste, że ścieżka płynie i łaskawie
prowadzi mnie uczynna, chętna sama przez się.*

*To cała tajemnica. To całość tajemna
istnienia, w którym jestem, nie z boku, nie z dala,
włączony w nie, swobodny, skupiony, wesoły.
Naucza, błogosławi, raduje się, żem na
te proste prawdy wreszcie wpadł! Zbawia, ocala,
zrównując z dziećmi, które wybiegły ze szkoły.*

Proszę zwrócić uwagę na kompozycję tego wiersza – otwiera go i zamyka symbol bawiących się dzieci – i na zgoła niezwykle rymy. Chmielowiec był też wielkim artystą.

Ale dla mnie nade wszystko jest człowiekiem świętym. Nie znaczy to, bym chciał go widzieć w oficjalnym poczie kanonizowanych świętych (obok niektórych dość wątpliwych postaci, a z wyłączeniem tak oczywiście świętych ludzi jak nie ochrzczony doktor Janusz Korczak czy ochrzczona tylko chrztem pragnienia Simone Weil – myślę, że mój Kościół będzie musiał ten problem przemyśleć). Na razie wystarczy mi, że Michał jest dla mnie – a może i dla innych – pewnym przewodnikiem i towarzyszem w drodze do Boga.

A.P.

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

Z dyrektorem Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”, Tomaszem Pietrasiewiczem, spotkaliśmy się na dworcu autobusowym w Lublinie. Gdy patrzy się na miasto z tego punktu, w widoku dominuje potężna sylwetka Zamku. U jego podnóża znajduje się niewielka tablica upamiętniająca synagogę i żydowskie miasto, które przed II wojną światową zajmowało obszar rozciągający się pomiędzy Zamkiem i Starym Miastem. Pod tablicę skierowaliśmy pierwsze kroki. Zaprowadziwszy mnie tam, dyrektor powiedział, iż tylko tyle – gdy idzie o ślady materialne – pozostało z tradycji sąsiedztwa Polaków i Żydów w Lublinie. Przeszłość tego sąsiedztwa, które przez stulecia decydowało o wielokulturowym obliczu miasta, można dziś odtwarzać jedynie na podstawie śladów pozostawionych w świadectwach pisanych i we wspomnieniach mieszkańców, którzy zachowali o niej pamięć. Właśnie pamięć miasta – zachowana zarówno przez żywych ludzi, jak i w martwych na pozór przedmiotach – stanowi główny przedmiot, szerokiej w zamyśle i pełnej rozmachu w realizacji, pracy Ośrodka.

Praca ta ma swoją historię, a jej początki sięgają roku 1990. Wówczas to, w maju, premierą spektaklu „Wędrowki niebieskie” zainicjował działalność Teatr NN. W jednym z późniejszych autokomentarzy, sygnowanym NN (*Nomen nescio* – imienia nie znam), korzenie i dylematy związane z początkami tego przedsięwzięcia teatralnego scharakteryzowano następująco: „Nasza przeszłość związana była z lu-

Kronika kulturalna

belskim teatrem studenckim końca lat 70-tych i 80-tych, a doświadczenie tego teatru – to dobre i to złe – tkwiło w nas głęboko (...) Właśnie to złe doświadczenie, a dokładnie niezgoda na nieprawdziwe życie w teatrze zapatrzonym tylko w siebie, leżało u źródeł powstania Teatru NN. (...) Powoli, bycie tylko teatrem przestało nam wystarczać. Coraz bardziej zaczęliśmy otwierać się na inne pozateatralne pomysły, uzupełniające naszą artystyczną aktywność.” W maju 1991 roku Teatr NN bierze udział w organizacji IV Tygodnia Kultury Ukraińskiej. W tym samym roku członkowie teatru organizują dwie wystawy prac artystów lwowskich i spotkanie z Grigorijem Kanowiczem, żydowskim pisarzem z Wilna. Osnuty na motywach jego prozy kolejny spektakl – „Ziemskie pokarmy” – towarzyszył uroczystościom przyznania Tomasowi Venclovie doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. W roku 1992 pozateatralna działalność teatru to organizacja sesji poświęconej osobie i dziełu Brunona Schulza, której poszczególne części odbyły się w Drohobyczu, Lwowie i Lublinie, a także – po raz kolejny – udział w organizacji, Tygodnia Kultury Ukraińskiej.

Logika pierwszych pozateatralnych działań Teatru NN wynikała z tego, że jest on teatrem lubelskim. Lublin to – jak wiadomo – miasto szczególnie silnie osadzone we wspólnych polsko-litewskich dziejach. Jednym z najdawniejszych ich śladów jest zamkowa kaplica pod wezwaniem Świętej Trójcy, a w niej – freski, których bizantyjska ikonografia zachowała, obok przedstawień sakralnych, także portret fundatora – Władysława Jagiełły. Z panowaniem jego potomków związany był gospodarczy, urbanistyczny i architektoniczny rozkwit miasta, w którym unia Polski i Litwy została ostatecznie potwierdzona. Wielokulturowa tradycja i mentalne, choć obywające się bez wielkich słów, zakorzenienie w dziedzictwie Rzeczypospolitej Obojga Narodów stało się dla twórców Teatru NN drogowskazem ukazującym nowe, współczesne perspektywy. Na początku lat 90-tych oznaczały one tyleż pamięć o przeszłości, co zupełnie nową sytuację teraźniejszą. Tomasz Pietrasiewicz wielokrotnie podkreślał rowieśnictwo jego teatru i zachodzących w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej przemian politycznych. Po rozpadzie Związku Sowieckiego region lubelski uzyskał granice z nowymi niepodległymi państwami

– Ukrainą i Białorusią. Twórcom Teatru NN pozwoli to przemyśleć nowe problemy – już nie tylko teatralne i nie tylko lubelskie, ale też polsko-białoruskie, polsko-ukraińskie, polsko-litewskie.

Przez wiele lat twórcy alternatywnego teatru w Polsce byli wspierani przez artystów zza żelaznej kurtyny. Po rozpadzie ZSSR, artyści tworzący w młodych państwach za wschodnią granicą i budujący nową tożsamość – twórczą i narodową – również potrzebowali wsparcia, tym razem jednak to Polacy mogli stać się artystami zachodnimi, mogącymi przyczynić się do przesunięcia granicy kulturalnego dialogu dalej na wschód. Z obopólną zresztą korzyścią. Stąd pierwsze zaproszenia i prezentacje plastyków i pisarzy z niedalekiego Lwowa.

Na miarę ówczesnych możliwości lubelskiego teatru dialog kultur został rzeczywiście podjęty. W pracach Teatru NN, będącego już czymś więcej niż teatr, był to początek drogi prowadzącej od świadomości wielokulturowej tkanki przeszłości własnego miasta do konsekwentnej afirmacji wielokulturowości jako wartości, która – poprzez zmianę najbliższego otoczenia i ponad politycznymi granicami i historycznymi konfliktami – może wzajemnie oswajać się z problemami kulturowego sąsiedztwa.

Ważnym odcinkiem tej drogi był rok 1993. Dwa spektakle Teatru NN – „Inwokacja” i „Ziemskie pokarmy” – uhonorowano wtedy nagrodami festiwalu w Szczecinie, Toruniu i Wrocławiu. W ślad za kolejnym spektaklem – „Zbyt głośna samotność” – poszła organizacja sesji „Urodziny Hrabala w Lublinie”. Sesja ta, podobnie jak poprzednia, poświęcona Schulzowi, i następna – Józefowi Czapskiemu – miała charakter edukacyjny. Wydarzenie artystyczne tym razem było tematycznie związane z wydarzeniem edukacyjnym. Formuła teatru, który nie chciał już być jedynie teatrem, okazywała się płodna. Zarazem działalność teatralna oraz wystawy plastyczne i fotograficzne, projekcje filmowe, spotkania z pisarzami, tłumaczami, publicystami i uczonymi stawała się coraz bardziej intensywna. W mieście dwóch uniwersytetów praca garstki zapaleńców przyczyniała się w znacznej mierze do wypełnienia luki powstającej w wyniku kłopotów finansowych instytucji kultury. Problemy takie

nieobce były także teatrowi, ale te niedostatki z powodzeniem rekompensował zapał. Dzięki niemu, a wbrew trudnościom, akcje Teatru NN wrastały w kulturalny krajobraz Lublina.

Na podstawie zgromadzonych doświadczeń i z myślą o przyszłej działalności w Teatrze NN został opracowany, a w październiku 1993 przedstawiony, program zatytułowany „Pamięć – Miejsce – Obecność”. Objął on projekty działań, mających na celu kulturalną oraz społeczną aktywizację Lublina i regionu lubelskiego, określanych przez autorów projektu mianem ich Małej Ojczyzny. Poznawanie jej przeszłości, porządkowanie i popularyzacja wiedzy o Małej Ojczyźnie, miały prowadzić do upowszechniania wśród mieszkańców świadomości historii swego miasta i regionu. Oprócz tego, poprzez propozycję udziału w różnorodnych wydarzeniach edukacyjnych i artystycznych, chciano zachęcić mieszkańców do pełniejszego współuczestnictwa w bieżącym życiu kulturalnym Lublina. Kolejnym, skierowanym w przeszłość zamysłem zawartym w projekcie było stworzenie stosownego programu i wprowadzenie do szkół zajęć poświęconych miastu, regionowi, ich historii i współczesności. W lekcjach takich akcent padać miał na tradycję wielokulturowości i tolerancji, różnorodność narodową, kulturową i religijną dawnego Lublina, ze specjalnym uwzględnieniem dobrej i złej przeszłości stosunków polsko-żydowskich.

Granice przestrzenne programu „Pamięć – Miejsce – Obecność” wykraczały jednak daleko poza krąg Małej Ojczyzny. Drugi, szerszy krąg mieścił w sobie zarówno należące do najbliższego sąsiedztwa państwa – Ukrainę i Białoruś, jak i pozostałe związane z Polską i lubelszczyzną kraje – Litwę, Estonię, Łotwę, Niemcy, Czechy, Słowację, Węgry i Rumunię. Teatr NN postawił sobie zadanie utworzenia stałej płaszczyzny kontaktu twórców pochodzących z tych państw.

Za projekt „Pamięć – Miejsce – Obecność” w styczniu 1994 roku Fundacja Kultury przyznała Teatrowi NN specjalną nagrodę w konkursie „Małe ojczyzny – Tradycja dla przyszłości”. W tym samym roku teatrowi przypadła Nagroda Artystyczna Miasta Lublina „Za wybitne osiągnięcia w dziedzinie kultury”.

Nagród, zwłaszcza pieniężnych, teatr bardzo wtedy potrzebował. Nie tylko dla realizacji ambitnego programu.

Kwestią najbardziej palącą, łączącą się tyleż z rozwojem, co z przetrwaniem Teatru NN, był stan techniczny jego siedziby. Od 1992 roku funkcję siedziby spełniały pomieszczenia staromiejskiej Bramy Grodzkiej. Tomasz Pietrasiewicz wspomina, jak cieknącą na deski sceny wodę brano za przemyślane efekty scenograficzne przygotowane przez zespół teatru. Mylnie, gdyż była to po prostu deszczówka przeciekająca przez nieszczelny dach Bramy Grodzkiej. W równie złym stanie jak dach znajdowały się fundamenty, tynki, elewacja i instalacja elektryczna. Położenie było na tyle poważne, że w każdej chwili wskutek zawalenia Lublin mógł utracić cenny zabytek, zaś teatr – swoją siedzibę. Trzeba było się zająć ocaleniem budynku.

Możliwość taka pojawiła się dzięki dotacji w wysokości miliarda starych złotych, jaką Urząd Miasta przeznaczył na remont i zabezpieczenie Bramy Grodzkiej.

I udało się. Brama Grodzka, bez przerywania działalności programowej teatru, została odnowiona i przystosowana do profilu działalności mieszczącej się w niej instytucji. Nie było to wszelako równoznaczne z końcem prac restauracyjnych. Sąsiadujące z Bramą kamienice groziły zawaleniem. W ciągu następnych lat odnowiono więc je także.

Lata 1994-1996 to był okres rozrostu organizacyjnego i tematycznego poszerzenia programu „Pamięć – Miejsce – Obecność”. W jego ramach w Lublinie, ale też we Lwowie, Kijowie, Mińsku i Moskwie, odbywają się cyklicznie imprezy pod hasłem Spotkania Kultur. Teatr, film, fotografia i literatura Środkowej i Środkowowschodniej Europy są ich treścią. Cykliczny charakter nadano Spotkaniom z Prawosławiem, a to tylko jeden z przykładów stałej obecności imprez Teatru NN w kalendarzu kulturalnym Lublina. Nie sposób tu wymienić wszystkich kierunków i płaszczyzn wielokulturowego dialogu. Stąd pochodzą pomysły serii sesji – „Spotkania z Kulturą paryską”, „Współczesne refleksje nad kulturą i jej implikacje pedagogiczne”, Międzyszkolne Warsztaty Dziennikarskie „Środki społecznego przekazu w Małej Ojczyźnie”. Na fali takich inicjatyw doszło do powstania Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” jako oddziału Centrum Kultury w Lublinie z siedzibą w Bramie Grodzkiej. Ośrodek w 1998 roku usamodzielniał się i od tej chwili działa jako samorządowa instytucja kultury.

Tomasz Pietrasiewicz po krótkim spacerze po Starym Mieście wprowadził mnie do siedziby Ośrodka. Wystawa, jaką można w niej teraz oglądać, stanowi plon pracy nad projektem zatytułowanym „Wielka Księga Miast”. Zamysłem projektu było odtworzenie obrazu rzeczywistości dwukulturowego Lublina sprzed roku 1939. Praca nad nim polegała i nadal polega na gromadzeniu informacji o mieście, którego już nie ma. Na poziomie konkretnym oznacza to gromadzenie zachowanych fotografii, obrazów, rycin, ale też wynajdowanie i porządkowanie pozostających w archiwach miejskich dokumentów. Zawierają one informacje o układzie urbanistycznym, losach dawnych mieszkańców i historii zagłady. Przy pracach tych znaleźli zajęcie lubelscy uczniowie i studenci, a obok projektu powstają prace magisterskie poświęcone dzieciom przedwojennego Lublina – rodzin żydowskich, ich domów, miejsc kultu. Ponadto w Ośrodku realizowany jest także projekt zatytułowany „Historia mówiona”, polegający na tworzeniu zbioru rozmów z osobami, które pamiętają jeszcze przedwojenny, polsko-żydowski Lublin. Dotąd udało się nagrać kilkaset relacji, a ich utrwalanie w formie pisanej przeprowadzane jest na bieżąco. Zawarte w nich informacje dzielone są na grupy tematyczne, na przykład „Dzieciństwo w Lublinie”, „Rodzina”, „Dzielnica żydowska”, „Lublin, Stare Miasto”, „Magiczne”, „Pamiętny dzień”.

Projekt „Historia mówiona” pokazuje, w jaki sposób, dzięki kontaktom nawiązanym z innymi – społecznymi, naukowymi i kulturalnymi – instytucjami działającymi w Lublinie. Ośrodek zagęszcza tkankę współpracy wokół idei Małej Ojczyzny i przyczynia się do możliwie szerokiego udziału ludności. W realizację projektu zaangażowani są studenci dziennikarstwa, pedagogiki i socjologii UMCS, a wraz z nimi – osoby starsze z Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Dzięki temu, obok wymiernych efektów programu, zacieśnia także, mocno dziś nadwątloną, więź między pokoleniami. Więż taka powstaje również przy okazji redagowania istniejącego przy Ośrodku pisma *Scriptores Scholarum*. Kolejne zeszyty tematyczne pisma mieszczą w sobie próbki naukowe, publicystykę, poezję i dyskusje uczniów, studentów i profesorów.

Działania Ośrodka w ostatnich latach obejmują także

prezentacje i tworzenie filmów dokumentalnych, reportaży i słuchowisk radiowych. Dbałość o to, by być obecnym w różnych środkach przekazu i wykorzystywać ich edukacyjne i artystyczne walory, zaowocowała dodaniem do wachlarza prac Ośrodka działań w przestrzeni wirtualnej. Udało się bowiem założyć własną stronę internetową. Można tam odnaleźć informacje o historii, aktualnych działaniach i zamierzeniach Ośrodka.

Z siecią internetową związany jest najnowszy pomysł zespołu. Chodzi o utworzenie specjalnej strony zawierającej wiadomości i zapowiedzi imprez kulturalnych odbywających się w graniczących z Polską krajach. W tej chwili projekt znajduje się w fazie opracowywania. Nie wiadomo jednak czy dojdzie do skutku, gdyż jego realizacja wymaga zaangażowania na stałe kilku osób obsługujących stronę internetową i zbierających informacje. Na te etaty może, niestety, zabraknąć pieniędzy.

Na pewno jednak dojdzie do skutku wprowadzenie do lubelskich szkół programu edukacji kulturalnej i samorządowej, co każe przypuszczać, iż w przyszłości zespół Ośrodka znajdzie następców.

Michał WÓJTOWSKI

Powyższa relacja nie wyczerpuje tematu, toteż na użytek osób nią zainteresowanych i pragnących nawiązać kontakt podaję adres:

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

20-112 Lublin, ul. Grodzka 21

tel./fax: (90-810) 53 25 657

<http://www.tnn.lublin.pl>

VI WARSZTATY ARTYSTYCZNE IM. JÓZEFA CZAPSKIEGO

Z inicjatywy Polskiego Funduszu Humanitarnego i pod jego patronatem, we wrześniu 2000 r. odbędą się w Lailly-en-Val (Francja) VI Warsztaty Artystyczne im. Józefa Czapskiego, w których weźmie udział siedmiu artystów, w tym pięciu ze Lwowa i Kijowa.

Spotkania artystów w Lailly-en-Val, w miejscu w którym Józef Czapski wielokrotnie przebywał i tworzył, służą:

- utrwalaniu pamięci Artysty,
- pogłębianiu znajomości Jego twórczości i działalności,
- poznawaniu kultury francuskiej, z którą Artysta tak bardzo był związany,
- pogłębianiu więzi między narodami poprzez sztukę.

W odbywających się już od pięciu lat Warsztatach, udział wzięło 35 artystów z Polski, Litwy, Rosji i Ukrainy.

Ze względu na szczególnie wysokie koszty, jakie będziemy musieli ponieść w roku 2000, już dzisiaj zwracamy się do wszystkich, którym droga jest pamięć Józefa Czapskiego o pomoc finansową w realizacji tego przedsięwzięcia.

Dary prosimy kierować na adres:

Fonds Humanitaire Polonais
24, rue de la Mairie
45740 Lailly-en-Val (Francja)

KOMUNIKAT

Ośrodek Kultury Polskiej przy Uniwersytecie Paris IV Sorbonne ogłosił konkurs na tłumaczenie fragmentów polskiej literatury współczesnej. Proponuje się kandydatom sześć tekstów do wyboru: prozę S. Chwina, E. Stachury, O. Tokarczuk, A. Stasiuka, dramat Z. Herberta, poemat T. Różewicza. Najlepsi tłumacze wyjadą na krótkie pobyty do Polski, otrzymają nagrody książkowe i abonamenty. Nagrody ufundowane są przez polskie instytucje państwowe i fundacje prywatne, także francuskie. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 1 marca 2000.

Notatki Redaktora

Warszawskie *Życie* 19-go listopada podaje, że Ministerstwo Skarbu przygotowało projekt nowelizacji Ustawy o Radiofonii i Telewizji. Mianowicie, minister Emil Wąsacz, który dotychczas reprezentował Skarb Państwa, rzeknie się swoich uprawnień na rzecz przedstawicieli publicznych wyższych uczelni. Będą oni powoływać większość członków zarządu i rady nadzorczej TVP i Polskiego Radia. Celem tych zmian jest odpolitycznienie tych instytucji, gdyż rektorzy nie będą ulegać wpływom politycznym. *Zycie* podaje, że prawdopodobnie rząd zechce przeprowadzić nowelizację do czerwca br., a więc jeszcze przed wyborami prezydenckimi.

Jest to rzeczywiście znakomity projekt, który nie tylko odpolityczni media, ale, mam nadzieję, wpłynie również na zasadnicze zmiany w programie.

Niestety, ta jaskółka nie robi jeszcze wiosny, bo jednocześnie Marian Krzaklewski zapowiedział, że AWS wystąpi z wnioskiem aby lustracja objęła również pracowników polskiego korpusu dyplomatycznego. Zapowiedział również, że AWS dokona w najbliższym czasie politycznej oceny działalności Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ponadto dyplomaci powinni być desygnowani możliwie proporcjonalnie między członkami koalicji. Jak dotąd bowiem, większość MSZ jest obsadzona przez Unię Wolności. A więc TKM jest w pełni realizowany.

W *Rzeczpospolitej* nr 260 ukazał się list otwarty Jana Kotta adresowany do ministra Andrzeja Zakrzewskiego, protestujący przeciwko decyzji Ministerstwa Kultury cofnięcia

dalszego dotowania kolejnych tomów krytycznego wydania „Dzieł zebranych” Stanisława Ignacego Witkiewicza wydanych przez PIW od 1992 r.

● Olimpijski obłęd. Warszawa zamierza ubiegać się o organizację letniej olimpiady w roku 2016. Warszawa ma takie same kwalifikacje do zorganizowania olimpiady letniej, jak Zakopane miało do olimpiady zimowej u siebie. Olimpiada w Warszawie byłaby zupełną katastrofą dla miasta. Cała nadzieja, że projekt ma mało szans na realizację.

● Dalszy ciąg skandali w wojsku. Nadwiślańskie Jednostki Wojskowe MSW, które obecnie są likwidowane, miały swój ośrodek wczasowy „Sosenki”. Ośrodek był wzorowo wyposażony i nadawał się na kolonie dla dzieci i obozy dla młodzieży. Zamiast wystawić ten ośrodek na przetarg lub przekazać go chociażby Komendzie Głównej Policji dla dzieci źle uposażonych policjantów, ośrodek przekazano bezpłatnie ordynariatowi polowemu Wojska Polskiego. Decyzja była podjęta przez b. ministra Tomaszewskiego i b. ministra Brochwicza. Informację podaję za tygodnikiem *Nie* (nr 46). Miejmy nadzieję, że nie jest za późno by tę decyzję anulować.

● Nie przyczerniajmy obrazu wojska, bo na tym odcinku można odnotować też i sukcesy. Mianowicie minister obrony RP, Janusz Onyszkiewicz, zwyciężył w VI Mistrzostwach Świata w długości palenia fajki. Zwycięzca został nagrodzony zestawem fajek najwyższej klasy.

● W dniach 17-19 listopada przebywała w Polsce oficjalna delegacja Narodowej Akademii Nauk Ukrainy z jej prezydentem prof. Borysem Jewgenijewiczem Patonem. Celem

wizyty było uzgodnienie i podpisanie protokołu o współpracy między Polską Akademią Nauk a Narodową Akademią Nauk Ukrainy na lata 2000-2002. Przeprowadzono również rozmowy na temat utworzenia przedstawicielstwa PAN w Kijowie na zasadzie wzajemności. Są pewne kłopoty finansowe oraz sprawa znalezienia odpowiedniego pomieszczenia dla PAN w Kijowie. Jest nadzieja, że mimo trudności politycznych, podobna umowa będzie podpisana z Białoruską Akademią Nauk, w najbliższym czasie.

● W ogóle jest duże ożywienie na odcinku wschodnim, gdyż jednocześnie dyrektorem Instytutu Polskiego w Moskwie został Marek Zieliński, b. konsul RP w Bernie.

● Kłopoty z tzw. uniwersytetem polskim w Wilnie. Mianowicie, uniwersytet ten wysłał studentów po trzech latach studiów do Polski, do Szkoły Głównej Handlowej lub do uniwersytetu w Białymstoku. Studiują tam jeszcze dwa i pół roku i otrzymują dyplomy magisterskie. Niestety, dyplomy te nie są uznawane przez władze litewskie, nie uznają one bowiem uniwersytetu polskiego jako normalnej wyższej uczelni. Już napływają skargi w tej sprawie od absolwentów. O uniwersytecie polskim w Wilnie parokrotnie pisaliśmy w *Kulturze*, ostatnio w reportażu p. Anny Strońskiej. Niestety, ten uniwersytet cieszy się poparciem Marszałka Senatu, p. Alicji Grzeškowiak.

● Są również trudności z tym ogromnym Domem Polskim wybudowanym przez Wspólnotę Polską w Wilnie. W domu tym ma być restauracja, hotel, biura, sklepy i sale wykładowe tzw. uniwersytetu polskiego. Zresztą plan zagospodarowania tego budynku nie jest definitywnie ustalony. Przedsiębiorstwo budowlane miało oddać budynek do użytku w styczniu 2000 r. Jednak Wspólnota przesunęła termin przejęcia budynku do czerwca. Są podobno trudności finansowe, a przede wszystkim nie jest wyjaśniona sprawa własności domu, czy będzie on własnością Związku Polaków na Litwie, czy też rządu polskiego, co byłoby połączone z dużymi komplikacjami. Temat dla Najwyższej Izby Kontroli.

18 listopada w Auli Biblioteki Głównej Uniwersytetu Lwowskiego została otwarta wystawa Polskiej Książki Naukowej pod patronatem Stowarzyszenia Wydawców Szkół Wyzszych. Jest to prezentacja dorobku 36-ciu polskich uczelni i wydawców oraz Instytutu Literackiego w Paryżu („Kultura”).

Pokazano 200 tytułów ciekawszych publikacji naukowych, wydanych w ostatnich latach. Wystawę otworzył rektor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej prof. Marian Harasimiuk wraz z rektorem Uniwersytetu Lwowskiego prof. Iwanem Wakarczukiem. Wydawnictwa „Kultury” zostały pokazane na osobnym stoisku i zawierały w pierwszym rzędzie książki o tematyce ukraińskiej i prace pisarzy ukraińskich. Odczytano oświadczenie Jerzego Giedroycia skierowane do zebranych i mówiące o rozwijającej się współpracy kulturalnej polsko-ukraińskiej i o jej znaczeniu. Oświadczenie to było skierowane także do wydawców ukraińskich, sugerujące im wznowienie pracy J. Ławrynenki „Rozstrzelane widrodzenia”, wydanej przez Instytut Literacki i bardzo dawno całkowicie wyczerpanej, a która w dużej mierze przyczyniła się do rozwoju współczesnej poezji ukraińskiej.

Po zamknięciu wystawy wszystkie książki zostaną przekazane w darze Uniwersytetowi Lwowskiemu.

REDAKTOR

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Książki

Tysiąclecie w skrócie

Jan Krok-Paszkowski wydał w Londynie książkę-album pod tytułem „1000 lat – 100 dat w historii Polski i świata”*. Świetny pomysł i wspaniałe wykonanie. Mogłoby się wydawać że cel niemal nie do osiągnięcia, zważywszy na arbitralny z konieczności dobór stu dat na przestrzeni tysiąclecia. Jak tu wybrać daty o znaczeniu przełomowym? I nie tylko w historii Polski, ale równoległe w historii świata? I zbliżyć je do siebie, dążąc do względnej równowagi ich znaczenia? Przy bliższym poznaniu tekstu pokazuje się osobista i oryginalna metoda autora: wybrane daty to albo kluczowe zmiany albo takie, które powodowały mniej lub bardziej ważne konsekwencje. Wydaje się, że prawdziwym sukcesem tej książki i wyjaśnieniem dowolności wyboru jest to, że autorem nie jest historyk, a dziennikarz-historyk. Ma on wycucie pulsu każdego faktu. Wie, który jest żywy i takim zostanie, a który jest martwy w kontekście czasu o jakim pisze. Te ostatnie fakty odrzuca, by dodać akcentu tym pierwszym. Oparta na danych zwięzła treść jest komentarzem dziennikarskim w stylu, a literackim w ujęciu i języku. Indywidualny wybór autora dat i faktów, za który bierze on całą odpowiedzialność, nie nadaje się do jakiegokolwiek polemiki, ale niewątpliwie są historycy, których wybór dat byłby inny. Nikt nie może jednak autorowi tej pracy zarzucić politycznej ani żadnej innej tendencyjności. Podkreślił rzeczywiste miejsce Polski w świecie. Bez patriotycznej okraszy.

* Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1999.

Księga ma 414 stron dużego formatu w twardej okładce na której jest reprodukcja mapy świata. Jest bogato ilustrowana. Każda strona składa się z trzech elementów-kolumn: na marginesie rok i dwie równoległe kolumny pod nagłówkami POLSKA i ŚWIAT. Każda kolumna ma też podtytuł tematyczny jej dotyczący. A więc dla przykładu: „Rok 1905. Polska: strajk powszechny; Świat: Rosja. Przegrana wojna z Japonią”. Rok 966 otwiera księgę a zamyka ją rok 1989: „Pierwszy rok niepodległości”. Wydawca w przedśłowiu pisze: „Pracę Jana Krok-Paszkowskiego uważamy za nasz wkład do uczczenia roku 2000 drugiego millenium chrześcijaństwa”. W słowie od autora Krok-Paszkowski pisze, że pomysł wyboru stu lat spośród tysiąca w historii Polski na tle wydarzeń w innych krajach świata dał mu Jan Chodakowski, redaktor *Pulsu* i dodaje: „...Przyjmując koncepcję Jana Chodakowskiego zdawałem sobie w pełni sprawę, że podejmuję jeszcze dodatkowe ryzyko... przypadkowości wydarzeń ze świata. Ważne daty w historii Polski nie muszą oznaczać, że są to również ważne daty w historii świata. W rubryce ‘Świat’ przypadkowość jest wbudowana w strukturę książki... Jakie kryteria stosowałem przy wyborze tematów? Odpowiedź jest prosta: kryteria dziennikarskie”. Słusznie. Nasz świat dzisiejszy leci w przestworza z szybkością do niedawna mało znaną. Technologia zamienia naukę jaką znaleźliśmy dawniej w mechaniczną rutynę. Ludzkość ma coraz mniej czasu, żeby myśleć. Istnieje dziś wyraźna dążność do wszelkiego rodzaju skrótów, kondensacji i syntezy. Nie jest to tendencja zła jeśli skróty pomagają zrozumieć istotę spraw, odrzucając mniej ważne ich funkcje. W zrozumieniu faktów historycznych, ich źródeł, konsekwencji i wpływów, typ wydawnictwa o którym mowa, spełnia ważną rolę intelektualnej stymulacji i informacji. Dla przykładu: „Rok 1241. Polska: najazd Tatarów. Nikt nie domyślał się że byli oni ‘piątą kolumną’ chana. Zbierali skrzętnie wiadomości i szerzyli propagandę strachu. Świat: Mongołowie. Śmierć wielkiego chana. Chan skierował na Polskę dwa ‘tumany’ jazdy po 10.000 każdy i niewielki oddział chińskich inżynierów posługujących się ogniami sztucznymi i petardami, które powodując wielki huk, straszyły konie ciężkobrajnych rycerzy”...

Co ludzie pamiętają i czego szukają w przeszłości? Czy błędów, których mają się wystrzegać w przyszłości, czy odpowiedzi na pytanie co będzie dalej, jeśli prawdą jest, że historia się powtarza? Odpowiedzi może szukać należy w analizie faktów na tle czasów w których miały miejsce, przyjmując oczywiście, że natura ludzka się nie zmienia. Nie wiem czy było intencją Krok-Paszkowskiego odpowiedzieć na jedno z tych pytań. Jeśli nie, to mimo woli ustalił – przez fakty tworzące historię świata i ich chronologiczne porównania – logiczny sens naszej teraźniejszości.

Krzysztof MUSZKOWSKI

Konserwatyzm konserwatywny

Drugi tom świetnie pisanych esejów Arkadiusza Pacholskiego jest lekcją kulturowego konserwatyizmu (ktoś gdzieś napisał, iż człowiek używający słowa „kulturowy” jest niekulturalny, lecz weźmy to w nawias). Pacholski doskonale wpisuje się w poetykę gatunku – niespieszna narracja nawiązująca do tradycji gawędy tworzy klimat namysłu wyrastającego z zatrzymania uwagi na szczególe. Wprowadzając w nastrój swej książki, pisze: „Zapiski te są dziariuszem takich podróży – podróży po rodzinnym mieście i najbliższej jego okolicy. Być może to, co w czasie nich znalazłem, to żadna masa perłowa ani bursztyn i heban, ale co najwyżej szklane paciorki lub pierścionek z tombaku – są one jednak potrzebne w szkatule wyobraźni tak samo, jak prawdziwe diamenty myśli wydobyte z uczonych traktatów”. Ryzykowne to zestawienie i autor zapewne zdaje sobie z tego sprawę. W innym miejscu bardziej przekonująco określi swe poszukiwania: „Życie jest dla mnie wędrówką z koszem w ręku i wrzucaniem do niego napotkanych po drodze ułomków, rozkładaniem ich na dłoni, cieszeniem nimi oka, wdychaniem ich

wątej woni” (choć i tu uważnego czytelnika rozdrażnić może wewnętrzny rym).

Wprowadzając nas w przestrzeń rodzinnego Kalisza, rozpoczyna od dzielnicy miasta o nazwie Majków, „Jej nazwa, po raz pierwszy odnotowana w roku 1282, często pojawia się w annałach lokalnych dziejów”, ma również swe miejsce w literaturze, jak choćby w powieści Otwinowskiego „Życie trwa cztery dni”, w której pojawiają się „ulica Stawiszyńska i most Bernardyński, wiodące do miasta, oraz kominy garbarni widoczne z cmentarnego wzgórza; szum spuszczonej z nich w nocy pary towarzyszy mi od dziecka i jest jednym z tych dźwięków, których nigdy nie zapomnę”. I tak oto wprowadzeni jesteśmy w centrum opisywanego przez Pacholskiego świata, którego poznanie rozpoczynamy od kościoła św. Mikołaja, w którym jeden z witraży, przedstawiający świętego Augustyna, stanowi inspirację eseju zwróconego przeciw manicheizmowi i wszelkim rodzajom fundamentalizmu. „Fundamentalisci – czytamy – zawsze zaczynają walkę od czystki pośród własnych oddziałów. Walka ta nigdy jednak nie kończy się ostatecznym zwycięstwem dobra, bo skończyć się nim nie może. Chrześcijańscy manichejczycy nie potrafią zrozumieć, że jest zasadnicza różnica między walczeniem ze złem a czynieniem dobra. To nie walczenie ze złem jest czynieniem dobra, ale czynienie dobra – i tylko ono – jest walczeniem ze złem. (...) Trwałość i popularność wojującego katolicyzmu dowodzi, jak małą rolę pełni w polskim chrześcijaństwie chrystianizm, a jak wiele w nim za to manichejskich jądów”. Jady te, wedle autora, to „dowód owej dziecięcej niedojrzałości, jaką w metafizycznej postawie Polaków wypatrzył i z taką sugestywnością ukazał Gombrowicz”.

Bardzo to sugestywny i zarazem trafny wywód, godzi się jednak przypomnieć, że ową polską, dziecienną niedojrzałość umysłu wypatrzył, pierwiej nim Gombrowicz pisać zaczął, Stanisław Brzozowski. I warto może także zdać sobie sprawę z faktu, iż owa niedojrzałość wiele ma postaci, z których jedna szczególnie wydaje się zwodnicza, gdyż zawierzenie jej pozbawia umysł czujności, co dziś szczególnie często się przytrafia. Zdarza się to także i Pacholskiemu, gdy tropiąc przejawy zła naszego czasu powtarza obiegowe dziś sądy. I tak, w szkicu „Nowe Jeruzalem” wyrusza na krucjatę przeciw

postępowi: „Kiedy słyszę słowo ‘postęp’, staję się czujny jak pustelnik, który zwietrzył woń piekielnej siarki: wiem, że w pobliżu kręci się Duch Dziejów, chichocząc złośliwie, potrząsając zawieszonym na piersi naszyjnikiem z ludzkich głów”. Straszny to obraz, lecz chyba nie do końca przekonujący, może i dlatego, że niesłychanie patetyczny. Bo choć to prawda, że z imieniem postępu na ustach ideologowie komunistyczni dopuszczali się w rzeczy samej straszliwych zbrodni, to przez sam ten fakt owo pojęcie nie niesie w sobie owego zła.

Rzecz ma się tu podobnie jak z religią: fakt, że w imię chrześcijaństwa dopuszczano się czynów potwornych, nie znaczy to wszakże, że chrześcijaństwo jest złem – bywali ideolodzy katolicycy, lecz sam katolicyzm nie jest ideologią. Podobnie jest z postępem: samo pojęcie zła w sobie nie niesie i jeśli określamy nim „postęp choroby”, dokonujemy jedynie opisu stanu faktycznego, gdy zaś mówimy o „postępie medycyny”, wskazujemy na doskonalenie środków zwalczających stan zagrożenia ludzkiego zdrowia. Gdy więc czytam sądy podobne cytowanemu, mam wrażenie, że autor tych słów ułatwia sobie zadanie i zbyt powierzchownie, etykietując jedynie zjawiska, bada naturę świata, w jakim żyje. A takich sądów w tomie Pacholskiego jest więcej. Jak ten choćby, w którym jest mowa o abstrakcyjnej sztuce „zagubionej na bezdrożach formalnych eksperymentów”. Bezdroża to tylko i manowce? Rzeczywiście? Osobiście nie jestem o tym przekonany. To przecież zdolność do abstrakcyjnego myślenia kształtowała ludzką mowę przechodzącą od nazywania pojedynczych zjawisk do grupowania ich w rodziny i gatunki, i to umiejętność abstrahowania od indywidualnych znamion przedmiotów pozwalała pierwotnym „artystom” ozdabiać przedmioty rysunkami i ornamentami – czynić owe „nieprzydatne rzeczy”, dzięki którym następował postęp ludzkiej myśli.

Podobnie trudno bez reszty zgodzić się z tym, co pisze Pacholski o zgubnych konsekwencjach „służby pod sztandarami Całości”. I znów: umiłowanie Szczegółu, jakie widoczne jest w eseistyce autora „Pochwały stworzenia”, sympatyczne i poświadczające czuły stosunek do świata, nie umniejsza rangi Całości, zaś sam Detal, tak przez Pacholskiego ceniony, nie byłby wszak Detalem, gdyby nie należał do jakiejś Całości

odeń większej. Służba tak jednemu, jak drugiemu, miewa złe i dobre konsekwencje. Rzecz to na traktat filozoficzny, sygnalizuję ją zatem tylko, a przy okazji chciałbym także zwrócić uwagę na niebezpieczne dość tendencje pojawiające się w szkicach Pacholskiego, a mianowicie na skłonność do formułowania sądów w języku jakby mi już skądś znajomym, jak to oto zdanie na temat postawy hrabiego Gurowskiego: „Uległ jednak zac zadzeniu pseudofilozoficznym i pseudonaukowym oparem, który sparaliżował mu umysł i uniemożliwił jego rozumowi normalną, krytyczną pracę”. To język nazbyt chyba bliski mowie propagandowej.

Szkic o Gurowskim zresztą należy do najbardziej urzekających w tej książce, podobnie jak pozostałe eseje zgrupowane w historycznej części tomu zatytułowanej „Bryczką po okolicy”, którą otwiera znakomite omówienie „Pamiętników” Franciszka Gajewskiego, księgi już dziś niestety chyba przez wydawców poniechanej, świetnie oddającej klimat epoki, w której jej autorowi, urodzonemu w roku 1792, żyć przyszło. Wśród szkiców tu pomieszczonych na szczególną uwagę zasługuje omówienie działalności słynnych „kaliszan”, braci Wincentego i Bonawentury Niemojowskich. Sporo tu sądów niebanalnych, przede wszystkim zaś przekonująca jest podjęta przez Pacholskiego próba przewartościowania postawy obu polityków: „Skoro powstała możliwość stworzenia legalnej opozycji, skorzystali z niej – zresztą jako jedyne ugrupowanie w Królestwie Kongresowym. Pozostanie już na zawsze w sferze domysłów czy Królestwo szybciej spadłoby do roli rosyjskiej prowincji wskutek zuchwałej, choć legalnej opozycji, czy też wskutek przemykania oka na łamanie przez cara konstytucji. (...) Niemojowscy byli zatem kapłanami narodowej tożsamości, chcieli, aby parlament – skoro już monarcha go powołał – traktować serio”. Niezwykle to trafne uwagi i godne przynajmniej refleksji jako pochwała działań budzących uśpioną przez tyranię opinię publiczną i nakazujących formalne ramy państwowości, choćby miały w zamyśle ich twórców jedynie dekoracyjny charakter, przyjmować jako realny punkt odniesienia w politycznej działalności. Jednakże warto też zwrócić uwagę i na inny sąd autora. Oto opisując poglądy Wincentego wyłożone w klasycystycznej broszurze „Myśli dorywcze o romantyczności i romantykach”, konklu-

duje: „Broniąc wiedzy zebranej przez poprzednie pokolenia, bronił Niemojowski jedności cywilizacji”. Jak ów sąd pogodzić z filipiką wymierzoną w innym miejscu przeciw Całoci? Nie wiem.

Wiem natomiast, że mam do czynienia z autorem, którego czytać warto. Jego klasycystyczna, zabarwiona momentami aż nadto konserwatywną barwą postawa, uczy dystansu i ostrożności w ferowaniu zwłaszcza historycznych osądów. Zdolność znajdowania łączy między tradycją i współczesnością, bez budowania mechanicznych analogii, zapowiada podjęcie tej tradycji polskiej eseistyki – sygnowanej po wojnie nazwiskami Vincenza czy Stempowskiego, która potrafi połączyć z sobą dwa pozornie do siebie nie przystające żywioły: refleksji politycznej i etycznej. Pacholski, momentami niesiony wolą konfrontacji przeszłości z dniem dzisiejszym, poddaje się pokusie doraźnej publicystyki lub, co bardziej irytujące, moralizatorstwa, wszakże jego piarstwo coraz silniej ciąży ku poetyce przypowieści, która z pewnością pozwoli mu się od owych pokus uwolnić.

Leszek SZARUGA

– Arkadiusz Pacholski: „Widok z okna na strychu. Eseje i gawędy wtóre”, Wyd. słowo/obraz/terytoria, Gdańsk 1999, s. 216

Z prac Biblioteki Polskiej w Paryżu

Poprzedzając Rok Mickiewiczowski Biblioteka Polska w Paryżu wystąpiła godnie i okazale publikując t. III „Aktów” i zasługujący na oddzielne omówienie *numéro spécial* poświęcony Mickiewiczowi.

Tom trzeci „Aktów” bezpośrednio nawiązuje do poprzed-

niego przynosząc dalszy ciąg bloku korespondencji Kazimierza Woźnickiego w opracowaniu Danuty Płygawko (listy Stefana Dąbrowskiego z lat 1906-37/8) i – pod trafnym tytułem „Młodopowanie u bram Paryża” wiązkę listów wybitnych pisarzy i publicystów korzystających z pomocy Kazimierza Woźnickiego i kierowanej przez niego Polskiej Agencji Prasowej (rue de Rennes), będącej niemal odpowiednikiem ambasady do r. 1918. Grzegorz Leszczyński wybrał i skomentował 49 ważnych i bezpośrednich wypowiedzi młodo-polskich znakomitości literackich, zwracających się z pełnym zaufaniem do Woźnickiego o pomoc i opinie. I tak np. Boy zwierza się „z namiętności do literatury francuskiej”, której widowym znakiem jest już w 1919 r. 53 tomów „Biblioteki Boy’a”. W żywej wówczas (tj. ok. 1910) sprawie wydania serii przekładów francuskich klasyki polskiej wypowiadają się w listach do Woźnickiego Kasprówicz i Zeromski (ten ostatni w liście znanym już z przedruków w *Twórczości* 1988, z. 4). Najważniejszy jest chyba „blok w bloku” – dwanaście listów Reymonta pisanych z różnych, przeważnie zagranicznych adresów. Ukazują one pisarza uciekającego od rodaków w poszukiwaniu warunków do spokojnej pracy. W Kraju, pisał w grudniu 1919 r. „kwilą jeno futurystyczne błazny i wesółkowie” a nad wszystkim „panuje polityczna Chamokracja i przygniata i magluje i równa – a resztę robi bieda i niepewność jutra” (20 XII 1919 z Zakopanego). „Mam niekiedy – zwierza się Reymont Woźnickiemu – szaloną chęć ucieczki, cała jednak bieda w tym, że nie ma gdzie uciekać, boć cały świat po trzęsieniu ziemi jednako wzburzony, chwiejny i okropny”.

Zasadniczą część t. III wypełniają prace młodych historyków oparte o *inedita* ze zbiorów Biblioteki. Na podkreślenie zasługuje fakt, że np. w artykule Henryka W. Żalińskiego o korespondencji Antoniego Ostrowskiego z ks. Adamem Jerzym Czartoryskim autor korzystał równolegle ze zbiorów paryskich, Biblioteki Czartoryskich w Krakowie i z papierów Ostrowskiego w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie. Innym przykładem jest doskonale udokumentowany artykuł poznaniaków Zbigniewa Przychodniaka i Krzysztofa Trybusia „O losach spuścizny rękopiśmiennej po Maurycym Mochnackim w świetle dokumentów Tow. Literackiego w Paryżu z lat 1835-1838”.

Redaktor t. III Marek P. Prokop kontynuuje rozpoczęte w t. I polowanie na niepublikowane dotąd listy emigracyjne

Joachima Lelewela. Tym razem objęło ono, poza Quai d’Orleans zbiory krakowskie Biblioteki XX. Czartoryskich i Muzeum Narodowego. Publikację ich zdobi reprodukcja świetnej karykatury czytelnicy Biblioteki Polskiej – rysunek Lelewela (repr. w r. 1936 w trudno dostępnej ulotce Wileńskiego Koła Bibliotekarzy Polskich. Biblioteka paryska jest dla Lelewela „Biblioteką Narodową Polską”

T. III uzupełniają dwa b. cenne artykuły poświęcone: a) „Emigrantom polskim we Francji po powstaniu listopadowym, którzy otrzymali obywatelstwo francuskie” w opracowaniu Barbary Konarskiej i 2) „Groby polskie na cmentarzach paryskich” – dalsze ogniwo serii „Inskrypcji grobów polskich w Paryżu”, choć tym razem Sławomir Górzyski i Piotr Ugniewski referują wyniki poszukiwań na cmentarzach pod- i pozaparyskich na podstawie kwerendy przeprowadzonej w latach 1986-89.

Dalszymi uzupełnieniami zawartości t. III są materiały bibliograficzne dotyczące działalności naukowej Józefa Tadeusza Milika, orientalisty i wydawcy tekstów qumrańskich, archeologa Bliskiego Wschodu.

Tom, jak poprzednie, zamyka sprawozdanie z działalności Tow. Historyczno-Literackiego doprowadzone do maja 1995 i informacje o kolekcji rzeźb Bolesława Biegasa opracowane przez Ksawerego Derynga.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Akta Tow. Historyczno-Literackiego w Paryżu, T. III. red. Marek P. Prokop, Paryż 1996, nakł. Biblioteki Polskiej, s. 302 (5).

Jules Huret – „De Hambourg aux marches de Pologne”

Habent sua fata libelli – mówi przysłowie łacińskie o losie książek. Znalazło to potwierdzenie w losie książki, mało nam znanej, którą chcę omówić. Otóż moja znajoma rodatczka znalazła ją na kiermaszu w Luksemburgu.

Pierwsze rozdziały poświęcone są sprawom niemieckim. Autor podróżował do Kilonii poprzez Hamburg aż po Królewiec. Omawia problemy polityczne, społeczne, gospodarcze i kulturalne, a także życie codzienne tej części Niemiec. Rozmawia z wybitnymi przedstawicielami kraju. Jadąc z Gdańska i Marienburga pisze: – ma się wrażenie, iż już nie jesteśmy w kraju niemieckim. Nawet w Brandenburgii nie brak elementu słowiańskiego, a posuwając się bardziej na wschód on dominuje.

Będąc w Gdańsku, Jules Huret, piękno architektoniczne miasta porównuje z pięknem Norymbergi na korzyść pierwszego. W Gdańsku odkrywa ślady polskie. Pisze, że Stanisław Leszczyński, teść Ludwika XV, uciekał z Gdańska przed wrogim pościgiem na okręcie francuskim i dzięki temu ocalał. Autor wspomina też o paru zabytkach związanych z Polską, jak na przykład o statui króla Augusta III oraz o kaplicy królów polskich koło Kościoła Mariackiego i o polskich fliśakach pracujących przy rzeczonym eksporcie drzewa z Polski.

Chociaż różnego rodzaju polonika można znaleźć w pierwszych rozdziałach, to jednak dla nas specjalnie interesujące jest sześć rozdziałów poświęconych „pograniczu polskiemu”.

Jules Huret, kiedy znalazł się w Poznaniu, stwierdza, że jest zdecydowanie w Polsce, choć pod zaborem pruskim. Rozmówcą jego jest Józef Kościelski – dodajmy od siebie – mianowany swego czasu członkiem Izby Panów sejmu pruskiego, a później wybrany przez polskie społeczeństwo do parlamentu Rzeszy Niemieckiej. Początkowo był lojalistą, a potem antyugodowcem. Żonaty był z Marią Bloch, którą autor wspomina jako piękną brunetkę, wysoce kulturalną jak niektóre paryżanki. Innymi rozmówcami byli adwokat Dziembowski oraz polscy działacze polityczni, pisarze, lekarze, kupcy.

Oni przedstawiają argumenty polskie na temat sytuacji pod zaborem pruskim. Mówią o etapach germanizacji kraju. Po względnej swobodzie w okresie po 1815 roku, sytuacja zmieniła się około 1870 r., kiedy wkrótce potem zaczął się Kulturkampf. Księża polscy byli prześladowani za przekonania narodowe. Potem powstała Komisja Kolonizacyjna wyposażona w ogromne sumy pieniędzy celem wykupu ziemi z rąk polskich, przeznaczając ją na osiedlanie wyłącznie robotników niemieckich. Pod koniec XIX wieku założono organizację zwaną Hakata dla walki z Polakami. Ona doprowadziła do uchwalenia ustawy zabraniającej wystawiania zabudowań bez zgody władz. Było to wymierzone przeciw rolnikom polskim, którzy chcieli rozbudować się na swej ziemi, by osadzić dzieci. Później nastąpiło rugowanie języka polskiego w szkolnictwie i administracji państwowej. Gdy zaczęto wprowadzać naukę religii w szkołach po niemiecku, doprowadziło to do znanego protestu dzieci we Wrześni. W dalszym ciągu autor cytuje wiele innych przykładów prześladowania Polaków i polszczyzny. Strona polska broniła się w miarę możliwości rozwijając pracę organiczną. Powstają banki dla wsparcia rolników oraz inne instytucje i placówki gospodarcze.

Po wysłuchaniu argumentacji strony polskiej autor zapoznał się z opinią strony niemieckiej: wysokich urzędników, profesorów, dziennikarzy. Według nich Polacy nie potrafili się rzucić i dopiero dzięki pruskiemu zmysłowi organizacyjnemu zaprowadzono porządek. Kiedy Polacy buntują się, bojkotują Niemców, to trzeba wprowadzić różnego rodzaju środki zaradcze. Nie można było tego tolerować. Trzeba pamiętać, że Polacy są obywatelami niemieckimi i muszą się podporządkować. Niemcy musiały kolonizować poznańskie, ucywilizować, bronić się. Ludności nie zabroniono mówić po polsku, ale Polacy powinni też mówić po niemiecku. Przedstawiciele niemieccy – pisze autor – występowali w roli obrońców przeciw polskiemu prześladowaniu niemieczyny.

Jules Huret, chcąc zachować bezstronność, nie popiera ani strony polskiej, ani niemieckiej. Powstrzymuje się od wyrażania własnego zdania. Jednakże pisze: „Polska jest kością, której żarłoczne Prusy nie mogą połknąć, a równocześnie nie chcą oddać. Oto problem dramatyczny jaki powstał na początku XX wieku!”.

Dodajmy, że omawiana książka była wydana wprawdzie

dopiero w 1922 roku, to jednak reportaże pisane były już około 1908 r. i ogłaszane wtedy w prasie francuskiej – przed Kongresem Wersalskim, który decydował o naszych granicach zachodnich. Ciekawe czy działacze Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu znali te reportaże?

Na zakończenie kilka słów o autorze. Jules Huret (1863-1915) pochodził z prostej rodziny rybaków w Boulogne-sur-Mer. Jednakże od młodości miał zacięcie dziennikarskie. Wkrótce jako młody człowiek znalazł się w Paryżu, gdzie zaczyna współpracować z tamtejszą prasą, między innymi z *Le Figaro* i *L'Echo de Paris*. Potem od 1902 r. następuje okres wielkich podróży do Ameryki Północnej i Ameryki Południowej, a następnie do Niemiec w 1907 r. Z tych wszystkich wypraw ogłaszał reportaże.

Witold LEITGEBER

Nadesłane nowości wydawnicze

- ATWOOD (Margaret). *Grace i Grace*. Przeł. z ang. Aldona Biłta. Str. 452. Noir sur Blanc, Warszawa 1999.
- BART (Andrzej). *Pociąg do podróży*. Str. 339. Noir sur Blanc, Warszawa 1999.
- BERGGRUEN (Heinz). *Cours du soir en démocratie*. Avec huit reproductions en couleurs de tableaux de Paul Klee de la collection Berggruen. Traduit de l'allemand par Odile Demange. Str. 125. Les Éditions Noir sur Blanc, Montricher 1999.
- BONIECKI (Adam), ks. *Vademe-cum generała czyli czego nie robić i co robić kiedy władza wpadnie ci w ręce*. Str. 24. Wydawnictwo Księży Marianów, Warszawa 1999.
- BOUVIER (Nicolas). *Ryba-Skor-pion*. Przeł. z franc. Andrzej Frybes. Str. 141. Noir sur Blanc, Warszawa 1999.
- BRATKOWSKI (Stefan). *Najkrót-sza historia Polski*. Str. 382. Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1999.
- BULKIEWICZ (Adolf). *Walka o zwrot kościoła w Drohobyczu 1988-1989* (według opowia-dania Czesława Bulkiewicza) Str. 68. Oficyna Wydawnicza „W Misji”, Wrocław 1999.
- CENDRARS (Blaise). *Od portu do portu*. Przeł. z franc. Julian Rogoziński. Str. 389. Noir sur Blanc, Warszawa 1999.
- CENDRARS (Blaise). *Razony gromem*. Przeł. z franc. Julian Rogoziński. Str. 413. Noir sur

- Blanc, Warszawa 1999.
- CENDRARS (Blaise). *Rum. Życie i przygody Jana Galmota*. Przeł. z franc. Barbara Czałczyńska. Str. 117. Noir sur Blanc, Warszawa 1999.
- CIECIERSKI (Faustyn). *Znacznieszych przypadków pewnego z Syberii powrotnego Polaka w 1801 roku*. Red. A. Kuczyński, Z. J. Wójcik. Str. 419. Stowarzy-szenie „Wspólnota Polska”, Za-kład Narodowy im. Ossolińskich, Warszawa-Wrocław 1998.
- Czarna księga komunizmu*. Zbrodnie, terror, prześladowania. Wstęp do polskiego wydania Krystyna Kersten. Str. 744. Prószyński i s-ka, Warszawa 1999.
- DANIELEWICZ (Zbigniew). *Między Kościołem a sektą*. Przedmowa ks. J. Kracik. Str. 95. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1999.
- DASZKIEWICZ (Piotr), AIK-HENBAUM (Jean). *Aurochs, le retour ... d'une supercherie na-zie*. Str. 160. H. S. T. E. S., Paris 1999.
- DĄBROWSKA (Maria). *Dzienniki 1914-1945*. Tom 1. Wybór, wstęp i przypisy Tadeusz DREW-nowski. Str. 409. „Czytelnik”, Warszawa 1998.
- DĄBROWSKA (Maria). *Dzienniki 1914-1945*. Tom 2. Wybór, wstęp i przypisy Tadeusz DREW-nowski. Str. 429. „Czytelnik”, Warszawa 1999.
- DOBYCZIN (Leonid). *Miasto En*. Opowiadania. Przełożył, posło-wiem i przypisami opatrzył Hen-ryk Chłystowski. Str. 182. Czytelnik, Warszawa 1999.
- Encyklopedia historii Drugiej Rzeczypospolitej*. Str. 544. Wy-dawnictwo „Wiedza Pow-szechna”; Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 1999.
- FICOWSKI (Jerzy). *Dobrodziej-stwo inwentarza*. Fotografie Sta-nisław J. Woś. Str. 42. Pogran-icze, Sejny 1999.
- FICOWSKI (Jerzy). *Galązka z Drzewa słońca*. Baśnie cygańskie. Ilustracje W. Szumiński. Str. 275. Pogranicze, Sejny 1999.
- FICOWSKI (Jerzy). *Wszystko to czego nie wiem*. Wybór i posło-wie Piotr Sommer. Str. 224. Po-granicze, Sejny 1999.
- Film naukowy*. Sprawozdanie z sesji naukowej odbytej 29 paź-dziernika 1998 r., poświęconej Bolesławowi Matuszewskiemu, światowemu pionierowi filmu dokumentalnego i naukowego w stulecie jego prekursorskich pub-likacji. Str. 65. Polskie Stowarzy-szenie Filmu Naukowego, 1999.
- FLORCZAK (Zbigniew). *Inny brzeg jesieni*. Carmen vilnense. Str. 347. „Czytelnik”, Warszawa 1999.
- GAWROŃSKI (Andrzej). *Mój punkt widzenia*. Felietony austraj-lijskie. Str. 112. Biblioteka Uni-wersytecka, Toruń 1999.
- GORCZYŃSKA (Renata). *Portre-ty paryskie*. Str. 321. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1999.
- GOSK (Hanna). *Jesteś sam w swojej drodze*. O twórczości Leo Lipskiego. Str. 186. Wydawnictwo „Świat Literacki”, Iza-belin 1998.
- GÓRECKI (Wojciech). *Łódź prze-żyła katharsis*. Fotografie Krzy-sztof Hejke. Str. 192. Biblioteka „Tygla Kultury”, Łódź 1998.
- GRZESIK (Piotr). *Karmasutra*. Rysunki P. Paściak. Str. 88. Wy-dawnictwo Baran i Suszczyński, Kraków 1999.
- HUELLE (Paweł). *Literrarische Feuilletons*. Aus dem Polnischen vom Renate Schmidgall. Str. 201. ROSPO Verlag, Hamburg 1999.

- IRZYKOWSKI (Karol). *Listy 1897-1944*. Listy zebrała, opracowała i indeks sporządziła Barbara Winklowska. Str. 455. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1999. (*Pisma*. Pod red. Andrzeja Lama).
- IWASZKIEWICZ (Jarosław). *La Gloire et la Renommée*. Traduit du polonais par Georges Lisowski avec la collaboration de Nicolas Véron. Tome II, str. 613. Les Éditions Noir sur Blanc, Paris 1999.
- JASTRZĘBSKI (Jan). *Prozy kolejowe*. Str. 106. Redakcja „Zbliża”, Gołdap 1999.
- Jubileuszowe „Żniwo u Prusa”*. Materiały z międzynarodowej sesji prusowskiej w 1997 roku. Pod redakcją Zbigniewa Przybyły. Str. 563. Księgarnia Akademicka Wydawnictwo Naukowe, Kraków 1998. (*Jubileusz pozytywistów*. Tom 3).
- KARSKI (Jan). *Tajne państwo*. Opowieść o polskim podziemiu. Opracował Waldemar Piasecki. Str. 344. Wydawnictwo Książkowe „Twój Styl”, Warszawa 1999.
- KATZ (Janina). *Varme steder*. Digte. Str. 59. Vindrose, Copenhagen Valby 1999.
- KOPALIŃSKI (Władysław). *Słownik wydarzeń, pojęć i legend XX wieku*. Str. 527. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1999.
- KOWALCZYK (Andrzej Stanisław). *Giedroyc i „Kultura”*. Str. 313. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1999. (*A to Polska właśnie*).
- KOWZAN (Tadeusz). *Wilno. Polska-Litwa, „Kocham cię – ja też nie”*. Str. 109. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Bydgoszcz 1999.
- KOWZAN (Tadeusz). *Znak i teatr*. Str. 228. Polskie Towarzystwo Semiotyczne, Warszawa 1998.
- KURYLUK (Ewa). *Wiedeńska apokalipsa*. Eseje o kulturze austriackiej XX wieku. Str. 274. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 1999.
- LACHMANN (Piotr). *Wywołane z pamięci*. Str. 496. Borussia, Olaszyn 1999.
- LATAWIEC (Bogusława). *Razem tu koncertujemy*. Str. 77. Ars Nova, Poznań 1999.
- LEON (Donna). *Strój na śmierć*. Przekł. z ang. M. Olejniczak-Skarsgård. Str. 316. Noir sur Blanc, Warszawa 1998.
- LESIAKOWSKI (Krzysztof). *Mieczysław Moczar „Mietek”*. Biografia polityczna. Przedmowa Jerzy Eisler. Str. 479. Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 1998.
- MAREK (Edmond). *Cyprian Kamil Norwid. Clochard de Dieu et grand poète (1821-1883)*. Morceaux choisis. Str. 68. Toulouse 1999.
- MICHALSKA (Elżbieta). *Tu jest tu tam jest tam*. Str. 54. Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Łukasza Górnickiego, Białystok 1999.
- MILLER (Henry). *Czarna wiosna*. Przel. z ang. Marek Cegiela. Str. 196. Noir sur Blanc, Warszawa 1999.
- MIŁOSZ (Czesław). *Kontynenty*. Str. 534. Wydawnictwo Znak, Kraków 1999. (*Dziela zebrane*).
- MIŁOSZ (Czesław). *Wyprawa w dwudziestolecie*. Str. 609. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1999.
- MIŁOSZ (Czesław). *Zdobycie władzy*. Str. 225. Wydawnictwo Znak, Kraków 1999. (*Dziela zebrane*).
- NAGÓRSKA (Ariana). *Coraz dwutysięczniej*. Str. 88. Instytut Wydawniczy Świadek, Bydgoszcz 1999.

- NORWID (Cyprian). *Inedita*. Trzy teksty filozoficzne i przekład z Platona. Wydał z autografu Juliusz W. Gomulicki. Str. n.l.b. 8. Muzeum Literaturny im. Adama Mickiewicza, Warszawa 1999.
- PLATONOV (Andrei). *Djann*. Suivi de *Jokh, le Filou*. Traduits du russe par Louis Martinez. Préface de Leonid Heller. Str. 236. Robert Laffont, Paris 1999.
- POMIAN (Krzysztof). *Sur l'histoire*. Str. 410. Gallimard, Paris 1999.
- POTOCKI (Robert). *Idea restytucji Ukrainiejskiej Republiki Ludowej (1920-1939)*. Str. 383. Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 1999.
- PUZYNA (Konstanty). *Witkacy*. Oprac. J. Degler. Str. 249. Oficyna Wydawnicza Errata, Warszawa 1999.
- RUTKOWSKI (Krzysztof). *Notizen am Ende des Jahrhunderts*. Aufzeichnungen eines Flaneurs. Aus dem Polnischen von Nina Kozłowski. Str. 202. ROSPO Verlag, Hamburg 1999.
- Syberia w historii i kulturze narodu polskiego*. Red. A. Kuczyński. Str. 567. Wydawnictwo Silesia Dolnośląskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, Wrocław 1998.
- SZYMIK (Jerzy) ks. *Teologia w krainie pepsi-coli*. Od teologii-nauki do teologii-mądrości. Przedmowa bp A. Nosol. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1999.
- TERLECKI (Tymon). *Spotkania ze swoimi*. Str. 393. Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1999.
- Tożsamość kulturowa, kwestie narodowościowe i polonijne*. Pod red. Andrzeja Chodubskiego. Str. 218. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 1998.
- TUWIM (Julian). *90 dedykacji*. Str. 51. Muzeum Literaturny im. A. Mickiewicza, Warszawa 1999.
- VALDÉS (Zoé). *Oddałam ci całe życie*. Przekł. z hiszp. M. Ziętara. Str. 246. Noir sur Blanc, Warszawa 1999.
- W kręgu twórczości pisarzy emigracyjnych*. Studia i szkice. Red. Zb. Andres. Str. 361. Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej, Rzeszów 1999.
- WILK (Mariusz). *Le journal d'un loup*. Traduit du polonais par Laurence Dyèvre. Str. 262. Les Éditions Noir sur Blanc, Montricher 1999.
- WINECKA (Krystyna). *Od Stanisława do Australii*. Str. 158. Nakładem autora, 1999.
- PUZYNA (Konstanty). *Wizja Polski na łamach „Kultury” 1947-1976*. Do druku przygotowała, wstępem, przypisami i indeksem opatrzyła G. Pomian. Tom I/II, str. 441; 455. Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu, Wyd. Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1999.
- Władysław Bartoszewski. *Życie i twórczość*. Pod red. Andrzeja K. Kunerta. Głosa wstępna Aleksander Gieysztor. Str. 205. Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 1999.
- Wrocław a Odra. Pod red. Grzegorza Romana, Jana Waszkiewicza i Mariana Miłkowskiego. Str. 265. Urząd Miejski Wrocławia, Wrocław 1999.
- Wspólnota sprzecznych interesów? Polska i Niemcy w procesie rozszerzania Unii Europejskiej na Wschód*. Str. 93. Centrum Stosunków Międzynarodowych, Warszawa 1999.
- ZIELIŃSKI (Tadeusz). *Religia Cesarstwa Rzymskiego*. Str. 512. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 1999.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

4.11.99

Na Uniwersytecie Warszawskim miało miejsce polsko-ukraińskie spotkanie na temat „Polsko-ukraińskie stosunki: wczoraj, dziś i jutro”.

8.11.99

W Mińsku rozpoczął się Tydzień Polski z okazji święta niepodległości zorganizowany przez ambasadę RP i Instytut Polski. W ramach Tygodnia miało miejsce przekazanie daru Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” dla Narodowej Biblioteki Białorusi. Dar ten stanowiły nuty i kasety utworów Stanisława Moniuszki oraz współczesnych polskich kompozytorów, w sumie 220 pozycji. Ponadto miały miejsce: prezentacja wydawnictwa „Karta” oraz wystawa „Przemiany w Europie Środkowo-Wschodniej”. Na Wydziale Teologicznym Europejskiego Uniwersytetu Humanistycznego odbyła się konferencja pt. „Prawosławie i katolicyzm na Białorusi: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość”. Na zaproszenie Instytutu Polskiego w konferencji wziął udział zwierzchnik Kościoła unickiego na Białorusi archimandryta Sergiusz Gajek.

13.11.99

Tygodnik Powszechny w Krakowie przyznał w tym roku Medale św. Józefa Markowi Edelmanowi i abp. Alfonsowi Nosolowi, ordynariuszowi diecezji polskiej.

15.11.99

W lokalu Polskiego PEN-Clubu miało miejsce uroczyste wręczenie nagrody tej instytucji Karolowi Lesmanowi za przekłady literatury polskiej na języki obce. Przy tej okazji prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Wiesław Godzic mówił „Jak Internet zmienia słowo”.

19.11.99

W Muzeum Narodowym w Warszawie została otwarta wystawa Gabinetu Sreber im. Leopolda Kronenberga.

24.11.99

W 50-tą rocznicę śmierci pianisty i kompozytora Raula Koczalskiego miała miejsce w Poznaniu ogólnopolska konferencja naukowa „Raul Koczalski na tle kultury muzycznej XIX i XX w.” Konferencja była zorganizowana przez Zakład Teorii Akademii Muzycznej im. I.J. Paderewskiego. Konferencja była jednocześnie okazją do prezentacji książki Stanisława Dybowskiego „Raul Koczalski szopenista i kompozytor”.

28.11.99

W Sejnach miała miejsce uroczystość odsłonięcia pomnika Antoniego Baranauskasa, biskupa i poety. Uroczystość odbyła się pod patronatem współpracujących Zgromadzenia Poselskiego Sejmów Litwy i Polski, Andriusa Kubiliusa (obecnego premiera) i wicemarszałka Sejmu Jana Króla oraz przewodniczącego Stowarzyszenia Litwinów w Polsce Piotra Maksimowicza.

30.11.99

W Domu Literatury w Warszawie odbył się wieczór poświęcony pamięci Artura Międzyrzeckiego oraz jego książce „Z dzienników i wspomnień”.

ZACHÓD

8.10.99

W Casa Ecco nad jeziorem Como we Włoszech odbyła się w dniach 8-11 października konferencja poświęcona sztuce przekładu, w której uczestniczyli m.in. Hans Magnus Enzensberger, Seamus Heaney, Ewa Hoffman i Adam Czerniawski.

12.10.99

Abp Szczepan Wesoly zlikwidował kwartalnik pt. *Duszpasterz polski za granicą*. Pismo to zostało powołane do życia przez abp. Gawlinę w maju 1949 r. w Rzymie. Miało być ono łącznikiem między rozszanymi po całym świecie duszpasterzami polskimi. Pierwszy numer ukazał się pod koniec roku 1949. *Duszpasterz* był pismem, gdzie ukazywały się w języku polskim różne dokumenty Stolicy Apostolskiej, wypowiedzi o sytuacji Kościoła w Polsce, teksty, które z powodu cenzury nie mogły ukazywać się w kraju. Ponadto *Duszpasterz* publikował relacje z dziejów Kościoła i duszpasterstwa polskiego na emigracji i zawierał również kronikę wydarzeń z życia duszpasterzy w poszczególnych krajach. W obecnej sytuacji, po zmianach w kraju i istnieniu licznych wydawnictw teologicznych, wydawanie *Duszpasterza* przestało być celowe, tym bardziej, że czasopismo było całkowicie deficytowe. Ze względu na przepisy włoskie było do nabycia tylko w prenumeracie i było przeznaczone wyłącznie dla kapłanów, więc nakład był bardzo ograniczony. Abp Wesoly zdecydował, że obecnie będzie wychodzić półrocznie i będą w nim tylko relacje z zakresu duszpasterstwa polonijnego, kronika zagraniczna i wspomnienia o zmarłych kapłanach, którzy pracowali w duszpasterstwie polonijnym.

21.10.99

Zmarł w Monachium w wieku 89 lat Alfred Schütz, muzyk, pia-

nista, kompozytor znanej pieśni „Czerwone maki na Monte Cassino”, współpracownik Radia Wolna Europa.

22.10.99

Zmarł w Lobster Bay, Massachusetts, Edward Mariusz Sokopp, sportowiec, dziennikarz, wieloletni pracownik Radia Wolna Europa.

3.11.99

W Instytucie Polskim w Pradze odbyła się uroczystość udekorowania p. Heleny Stachovej Krzyżem Komandorskim Polonii Restituta za zasługi położone w propagowaniu polskiej kultury.

4.11.99

W Galerie Michelle Boulet, w VIII dzielnicy Paryża odbył się wernisaż wystawy Zofii Szalowskiej – polskiej malarki od 1960 roku mieszkający we Francji. Jej obrazy znajdują się w licznych kolekcjach prywatnych w całej Europie.

12.11.99

W Centre du Dialogue w Paryżu prof. Jerzy Kłoczowski mówił o „Polsce w Europie w odchodzącym tysiącleciu”.

16.11.99

W Ośrodku Cywilizacji Polskiej przy Uniwersytecie Paris-Sorbonne IV miał miejsce odczyt prof. Andrzeja Borowskiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego na temat „Du nationalisme à l'universalisme dans l'éducation littéraire contemporaine des Polonais”.

18.11.99

Na Uniwersytecie w Trento prof. Jan W. Woś wygłosił odczyt poświęcony Fryderykowi Chopinowi i korespondencji z jego współczesnymi.

19.11.99

W Instytucie Polskim w Rzymie miał miejsce ukraińsko-polski *table ronde* poświęcony twórczości Juliusza Słowackiego, na którym dr Marek Lechnert wygłosił odczyt „Włochy Juliusza Słowackiego”, a profesor Uniwersytetu Kijowskiego Rostyslav Radysevs'kyj mówił o motywach ukraińskich w poezji Słowackiego.

22.11.99

W Instytucie Polskim w Paryżu odbył się wieczór autorski znanej pisarki Olgi Tokarczuk.

2.12.99

Na Uniwersytecie Paris-Sorbonne Petr Kral wygłosił odczyt „Poezja czeska w końcu wieku” z okazji ukazania się jego antologii współczesnej poezji czeskiej w wydawnictwie Source.

3.12.99

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się odczyt prof. romanistyki Uniwersytetu Warszawskiego, Remi Foryckiego „Balzak w Rosji Mikołaja I”. Poprzednio 30 listopada w Bibliotece Polskiej odbyło się tradycyjne zebranie dla uczczenia 169-tej rocznicy powstania listopadowego. Po słowie wstępnym dyrektora Biblioteki, p. Leszka Talki, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Franciszek Ziejka, wygłosił odczyt „Najdłuższa wojna Polaków”.

7.12.99

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu miał miejsce odczyt Raimo Pullata, profesora w Instytucie Estońskiej Akademii Nauk w Tallinie na temat „Inteligencja polska w Dorpacie w XIX i na początku XX w. (do 1917 r.)”. Poprzednio, 25-go listopada w siedzibie Stacji miał miejsce odczyt prof. Juliusza A. Chrościckiego z Uniwersytetu Warszawskiego pt. „Jansénisme et son art”.

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Listy do Redakcji

Sydney, 26 listopada 1999 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jestem od wielu lat czytelnikiem publicystyki Antoniego Pospieszalskiego i jego sympatykiem. Cenię jego otwarty katolicyzm, nie często spotykany wśród naszych rodaków, jego tolerancję i uczciwość intelektualną.

Przeczytałem więc z ciekawością artykuł w październikowej *Kulturze* (nr 10/625) „Synod Europejski i Nowe Tysiąclecie”. I ja uważam, iż niezależnie od dużego stopnia laicyzacji we współczesnym (zachodnim) świecie, nadal żyjemy według zasad Dekalogu i – ogólnie mówiąc – moralności wykształconej przez kulturę judeo-chrześcijańską. I to bez względu na to czy określamy się jako wierzący czy nie. Podobnie jak Antoni Pospieszalski i ja znam szereg osób, które żyją po chrześcijańsku mimo, iż są agnostykami czy ateistami.

Również jak Pospieszalski uważam, że w drugiej połowie bieżącego stulecia świat zachodni dokonał wielkiego postępu pod względem zasad międzynarodowego i społecznego współżycia. Do katalogu przykładów podanych przez Pospieszalskiego można dodać dalsze: Médecins Sans Frontières, Peace Corps i wiele, wiele innych.

Nie trudno się zgodzić z Pospieszalskim, że w sensie, w jakim w ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat jesteśmy produktem cywilizacji chrześcijańskiej, można ten postępek zapisać na rzecz zdobywcy chrześcijaństwa a więc Kościoła. Jest jednak jeden szkopuł, na jakie wtedy konto zapisać mamy potworne grzechy tego stulecia – faszyzm, hitleryzm, komunizm? Wszak te aberacje ludzkości były także produktem naszej kultury i cywilizacji.

Serdeczne pozdrowienia

Jerzy BONIECKI

Neuchâtel, dn. 1 XI 1999

Szanowny Panie Redaktorze,

We wrześniowym numerze *Kultury* przeczytałem pańską wzmiankę o obowiązującym w Polsce peerelowskim przepisie, zmuszającym obywateli USA urodzonych w Polsce do przyjęcia obywatelstwa polskiego, przed opuszczeniem kraju. Bardzo mnie to zdziwiło, bo moja sytuacja jest wręcz odwrotną. Potwierdza to fakt jak polskie władze uwikłane są w peerelowskie przepisy i decyzje.

Otóż niedawno poprosiłem o przedłużenie, czy wymianę mojego polskiego paszportu wydanego w 1947 r. w Dublinie. Odpowiedziano mi, że muszę prosić o przywrócenie mi obywatelstwa polskiego. Jakoby utraciłem je, kiedy zwróciłem się do konsulatu PRL w Bernie z prośbą o wizę na mój szwajcarski paszport, w celu odwiedzenia chorej matki, leżącej w szpitalu. Tenże konsulat, przy pomocy szantażu, nakłonił mnie do podpisania podania o zmianę obywatelstwa. Zrobiłem to wychodząc z założenia, że PRL nie ma prawa do pozbawienia mnie obywatelstwa polskiego. Mógł to zrobić w tamtym okresie jedynie rząd RP w Londynie, a po odzyskaniu niepodległości rząd RP w Warszawie. Nie chcąc pójść na kompromis z peerelowskimi przepisami nie zgodziłem się na przywrócenie obywatelstwa polskiego, którego nigdy nie utraciłem, ale prosiłem o unieważnienie peerelowskiej decyzji. Okazuje się jednak, że jest to niemożliwym!

Przecież nawet powojenne Niemcy nie powoływały się na nazistowskie decyzje.

Z poważaniem

Kazimierz RUPP

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i twory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawatu pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Jerzy S., Niemcy: – „Powiastki” nie przekonują, są zbyt wielosłowne, Z kolei rymowanie „psycho-siniority” wydaje się zbyt naciągane.

Zofia K., Polska: – Pani akt strzelisty do Śląska wzrusza, wszakże literacko się nie broni.

Piotr S., Polska: – Najbardziej poetycko interesujący jest zapis haiku „Bashio”, jednak zastosowany tu szyk przestawny burzy harmonię. Nadto – motyle tak znowu wysoko nie latają, by mówić o znizaniu ich lotu.

Joanna Sz., Polska: – Z wierszy nie skorzystamy.

Naczelny, dn. 1 XI 1999

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultura” za rok 1999

Spis autorów

ABNER Stefan, (afz), ALBRECHT Andrzej, AMIEL Irit, A.P. – BAUMGARTEN Karol, BERBERYUSZ Ewa, B.H., BIERNACKI Andrzej, BIESZCZAD Jerzy P., B.O., BONIECKI Jerzy, BUCZKÓWNA Mieczysława, BYLIŃSKI Mariusz – CHABROWSKI Tadeusz, CHMIELOWIEC Michał, CHRZANOWSKI Andrzej, CHRZANOWSKI Tadeusz, CHWIN Stefan, CHYLIŃSKA Kamila, CZARTORYSKI Paweł, CZAYKOWSKI Bogdan, CZEKAJEWSKI Jan, CZERNIAWSKI Adam, CZYŻEWSKI Krzysztof, ĆWIKAŁA Jerzy – DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DASZKIEWICZ Piotr, DELICK Anna, DŁUSKI Stanisław, DOMAŃSKI Walerian, DOWGIAŁŁO Jan, DROBISZEWSKI Jerzy, DZIEWANOWSKI M. K. – FAŁKOWSKI Wojciech, FILIPOWICZ Halina, FLORCZAK Zbigniew, FRAJLICH-ZAJĄC Anna, FRISZKE Andrzej, FROŁOW Sylwia – GAŁKOWSKI Adam, GIEDROYC Jerzy, GIERAT Ewa, GŁOWACKA Renata, GOLAK Julian, GROTOWSKI Jerzy, GRUSZCZYŃSKI Lesław, GRYNBERG Henryk, GRZELA Remigiusz – HALIKOWSKA-SMITH Teresa, HEYDENKORN Benedykt, HIŻ Henryk, HOBAN Brendan, ks., HRABIEC Marian, HRYNKIEWICZ Andrzej – JAGIEŁŁO Michał, JANOWICZ Sokrat – K.B., KACZMAREK Robert, KARCEWSKI Witold, KATZ-HEWETSON Janina, KAWIŃSKI Wojciech, KERSKI Basil, KLONOWSKA Zofia, KOŁAKOWSKI Leszek, KOMAR Michał, KONOPKA Bogdan, KORASZEWSKI Andrzej, KOTT Jan, KOWAL, KOWALSKA Anna, KUPPER Eugeniusz, KUROWSKA-

MŁYNARCZYK Joanna, KURYLUK Ewa, KWAŚNIEWSKI Aleksander – LATAWSKI Paul, LAYTON Irving, LEBENSTEIN Jan, LEITGEBER Witold, LIKIERNIK Stanisław, LIPSKI Jan Józef, LIPSKI Leo, LIZAKOWSKI Adam – ŁĘTOWSKA Ewa – MALICKI Jan, MAŁECKI Zbigniew, MARCINIAK Janusz, MASŁOWSKI Michał, MATYJA Mirosław, MIANOWICZ Tomasz, MICEWSKI Andrzej, MICHALSKA Elżbieta, MICHEL Tadeusz, MICHNIK Adam, MONDRY Janusz, MORAWSKI Dominik, MOSSAKOWSKI Mirosław, MUSZKOWSKI Krzysztof – NASIELSKI Adam, NAWROCKA Klara, NETZ Feliks, NEUGER Leonard, NOWAKJEZIORAŃSKI Jan, NOWAKOWSKA Ewa, NOWICKAJEŻOWA Alina – OSADCZUK Bohdan, OWSIANKA M. – PACHOLSKI Arkadiusz, PACZKOWSKI Andrzej, PASTERNAK Andrzej, PIECZARA Mariusz J., PIPES Richard, POMIANOWSKI Jerzy, POMIAN Krzysztof, POMIAN-SAADJIAN Joanna, POPLAWSKI Wojciech, POSPIESZALSKI Antoni, PRZEŁOMIEC Maria – REDAKCJA, REDAKTOR, REYKOWSKI Janusz, ROMANOWICZOWA Zofia, ROSENBUSCH Adam, ROSTRON Magdalena, RUDZIŃSKA Anna, RUPP Kazimierz – SCHLOTT Wolfgang, SIEDLAR KOŁYSZKO Teresa, SIKORA Wojciech, SKALMOWSKI Wojciech, SKÓRZYŃSKI Piotr, SKRZYPCZAK Michał, SKRZYPOSZEK Christian, SKWARNICKI Marek, SMECZ, SOKORSKI Włodzimierz, SOLECKI Jerzy Witold, STACH Andrzej, STANISŁAWSKI Wojciech, STANKIEWICZ Władysław J., STANKIEWICZ Zygmunt, STROŃSKA Anna, STUDNICKI-GIZBERT Konrad W., SULIK Bolesław, SZALONEK Witold, SZARUGA Leszek, SZUBER Janusz, SZWEDE Jerzy, SZYMAŃSKA Irena, SZYGIEL Jerzy – ŚMIEJA Florian, ŚWIDERSKA Hanna – TABORSKI Bolesław, TERLECKI Władysław, TOMSIA Teresa, TORAŃSKA Teresa, TUROWICZ Jerzy, TUTAK Tadeusz – UNGER Leopold – WALCZAK-DELANOIS Dorota, WALICKI Andrzej, WANDYCZ Piotr S., WERNER Andrzej, WĘGLEŃSKI Piotr, WIATR Jerzy J., WIERZBICKI Zbigniew T., WILK Mariusz, WOJCIECHOWSKI Janusz, WOLICKI Krzysztof,

WÓJTOWSKI Michał, WRÓBLEWSKI Andrzej K.,
WRÓBLEWSKI Grzegorz, WYCZAŃSKI Andrzej – ZA-
KRZEWSKI Andrzej, ZIABICKI Andrzej – ŻUREK
Sławomir J.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

- ABNER Stefan: *Po dziesięciu latach* (9/624)
– *Trzy kryzysy* (6/621)
CZYŻEWSKI Krzysztof: *Nasza Bośnia* (7/622-8/623)
– *Wariacje kosowskie (I)* (12/627)
FLORCZAK Zbigniew: *W kontekście polsko-rosyjskim*
(7/622-8/623)
HRYNKIEWICZ Andrzej: *Problemy polskiej nauki*
(6/621)
KARCZEWSKI Witold, ZIABICKI Andrzej: *Badania
naukowe w Polsce – blaski i cienie* (1/616-2/617)
KERSKI Basil: *Widmo globalizacji* (4/619)
KORASZEWSKI Andrzej: *Między zamożnością i biedą*
(6/621)
– *O.K. Dobrzyń* (3/618)
– *Polska wieś* (5/620)
– *Uwagi o dialogach i paktowaniu* (9/624)
MARCINIAK Janusz: *Co Żydzi zrobili?* (3/618)
REYKOWSKI Janusz: *Sens Porozumień Okrągłego Stołu*
(4/619)
ROMANOWICZOWA Zofia: *Czy istnieje życie poobo-
zowe* (1/616-2/617)
ROSTRON Magdalena.: *Z żywymi naprzód...* (11/626)
– *O kiełkowaniu (demokracji) na pustyni* (9/624)
– *Uwagi o terroryzmie i fundamentalizmie islamskim*
(6/621)
STANISŁAWSKI Wojciech: *Balkany zachodnie: perspek-
tywa wieloletniego chaosu* (10/625)
STRONSKA Anna: *„Rozbierz się i dowiedz się”* (7/622-8/623)
WIATR Jerzy J.: *Spory o politykę oświatową w Polsce*
(1/616-2/617)
WOLICKI Krzysztof: *Wojna i zmiany miejsc* (5/620)
WRÓBLEWSKI Andrzej K.: *Ręka milionopolca* (3/618)

Wydarzenia miesiąca (1/616-2/617, 3/618, 4/619, 5/620,
6/621, 7/622-8/623, 9/624, 10/625, 11/626, 12/627)
ŻUREK Sławomir J.: *Czytelnicy bez przesady* (1/616-
2/617)

Archiwum polityczne

- ABNER Stefan: *Dylemat Unii: bezrobocie kontra rozsze-
rzenie* (1/616-2/617)
– *Trudne sąsiedztwo* (4/619)
– *Z nordyckiej perspektywy* (11/626, 12/627)
BAUMGARTEN Karol: *Czy Polska powinna kupić
szwedzki samolot JAS 39?* (11/626)
KERSKI Basil: *Koniec epoki Kohla* (1/616-2/617)
– *Wschodząca gwiazda: Otto Schily* (3/618)
KWAŚNIEWSKI Aleksander: *Europa u progu XXI wieku*
(12/627)
MATYJA Mirosław: *Ekonomia równoległa w Europie
Wschodniej* (10/625)
– *Integracja europejska krajów środkowoeuropejskich*
(6/621)
MONDRY Janusz: *Kryzys w Azji* (1/616-2/617)
– *Wojsko Polskie do NATO* (9/624)
NAWROCKA Klara: *Imigracja rosyjska: trudny sukces*
(7/622-8/623)
Notatki Redaktora (1/616-2/617, 3/618, 4/619, 5/620,
6/621, 7/622-8/623, 9/624, 10/625, 11/626, 12/627)
PIPES Richard: *Odpowiedź* (4/619)
POMIANOWSKI Jerzy: *Replika* (4/619)
UNGER Leopold: *Trylogia do NATO* (9/624)
– *Widziane z Brukseli i z Moskwy* (5/620)

Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- AMIEL Irit: *Daniel* (5/620)
– *Z izraelskiego tygla* (11/626)
KLONOWSKA Zofia: *Grudziądz* (10/625)

- LIPSKI Jan Józef: *Proces Anny Rudzińskiej i Klub Krzywego Koła* (7/622-8/623)
- LIPSKI Leo: *Ela* (12/627)
– *O szcurach* (12/627)
- RUDZIŃSKA Anna: *Sprawa „Kultury” paryskiej* (7/622-8/623)
- WILK Mariusz: *Glosariusz rosyjski (I)* (5/620)
– *Glosariusz rosyjski (II)* (7/622-8/623)
– *Glosariusz rosyjski (III)* (9/624)
– *Zapiski sołowieckie* (4/619)
- Utwory poetyckie**
- BUCZKÓWNA Mieczysława: *Aby podnieść różę (pamięci Andrzeja Trzebińskiego)* (9/624)
- BYLIŃSKI Mariusz: *Mapa i pustynia* (10/625)
– *Poniżej Akropolu* (10/625)
- CHABROWSKI Tadeusz: *Tatarak* (6/621)
- DŁUSKI Stanisław: *Podwórza* (5/620)
- FRAJLICH-ZAJĄC Anna: *Sonante* (10/625)
- FROŁOW Sylwia: *Moja dusza nie moja* (5/620)
- KAWIŃSKI Wojciech: *35 lat temu* (6/621)
– *Mały pastisz z aluzjami* (6/621)
- KOWAL: *Marcowe tłumaczenie powstania warszawskiego w Kanadzie w 1999 roku* (6/621)
- KOWAL (tłumacz) zob. Layton Irving (6/621)
- KOWALSKA Anna: *Dziwadło* (4/619)
- KURÓWSKA-MŁYNARCZYK Joanna: *Joseph Conrad* (7/622-8/623)
- LAYTON Irving: *Dla 7515-0326* (tłum. Kowal) (6/621)
- LIZAKOWSKI Adam: *Drobnostki* (7/622-8/623)
– *Na odejście hippisów* (7/622-8/623)
- MICHALSKA Elżbieta: *Czerwony goździk* (4/619)
– *Jacewicz* (4/619)
- SZARUGA Leszek: *Ciało Księgi: Zdanie* (7/622-8/623)
– *Trzynastogłoskowiec dla Jarosława Marka Rymkiewicza* (7/622-8/623)
- SZUBER Janusz: *Morza sargassowe* (4/619)
- ŚMIEJA Florian: *Niepamiętanie* (10/625)

- TABORSKI Bolesław: *Do Krzysztofa po latach* (9/624)
– *Ten plac* (9/624)
- TOMSIA Teresa: *Jeśli są jasne noce...* (4/619)
– *Urodziłam się...* (4/619)
- TUTAK Tadeusz: *Murawy Dobromierskie* (6/621)
– *Wielka Sowa* (6/621)
- WRÓBLEWSKI Grzegorz: *Ważna wiadomość* (5/620)

Sprawy krajowe

- BAUMGARTEN Karol: *Polska w oczach Szwedów* (7/622-8/623)
- BERBERYUSZ Ewa: *Kartki ze skażonej strefy* (1/616-2/617, 3/618, 4/619, 5/620, 6/621, 7/622-8/623, 9/624, 10/625, 11/626, 12/627)
- BIESZCZAD Jerzy P., LIKIERNIK Stanisław, MAŁECKI Zbigniew, MICHEL Tadeusz, POPŁAWSKI Wojciech, REDAKCJA (nota), SKRZYPCZAK Michał, SZYGIEL Jerzy: *A to Polska właśnie...* (5/620)
- DASZKIEWICZ Piotr: *Cena ekologii czy cena głupoty?* (5/620)
– *Park Potockich w Pilawinie* (12/627)
- KACZMAREK Robert: *Wychowanie do kapitalizmu* (3) (1/616-2/617)
- KORASZEWSKI Andrzej: *Finał Konkursu Pamięci Polsko-Żydowskiej w Płońsku* (10/625)
- MICEWSKI Andrzej: *Chmury nad Polską* (9/624)
– *Dewaluacja słów* (12/627)
– *Postkomunizm* (6/621)
– *Z geografii politycznej III Rzeczypospolitej* (4/619)
- SMECZ: *Z ukosa* (1/616-2/617, 3/618, 4/619, 5/620, 6/621, 7/622-8/623, 9/624, 10/625, 11/626, 12/627)
- ŚWIDERSKA Hanna: *Wizyta w Polsce* (12/627)
- WOLICKI Krzysztof: *Coraz ciekawiej...* (6/621)
– *Czy za dwa lata coś się zmieni?* (9/624)
– *Gorzki śmiech* (11/626)
– *Histerie i kryzysy* (1/616-2/617)
– *Pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny* (7/622-8/623)

- *Pokróctce, w antrakcie* (10/625)
- *Pomiędzy NATO i Papieżem* (4/619)
- *Przeciążenie* (3/618)

Sąsiedzi

- B.O.: *Kronika ukraińska* (1/616-2/617, 3/618)
- DELICK Anna: *Litwa ostatnim ogniwem w integracji nordycko-bałtyckiej* (3/618)
- FRISZKE Andrzej: *Konferencja w Lipsku* (5/620)
- GIEDROYC Jerzy, NOWAK-JEZIORAŃSKI Jan: *W odpowiedzi p. Andrzejowi Stelmachowskiemu* (10/625)
- GOLAK Julian: *Bądźmy rodziną!* (1/616-2/617)
- JAGIEŁŁO Michał: *W ukraińskim zwierciadle* (11/626)
- Kronika białoruska* (3/618, 4/619, 5/620, 7/622-8/623, 10/625)
- OSADCZUK Bohdan: *Dokąd pójdzie Ukraina po zwycięstwie Kuczmy?* (12/627)
- *Między Warszawą, Wołyniem i Lwowem* (6/621)
 - *Niemcy, Polska, Ukraina* (1/616-2/617)
 - *Ukraina bez Czornowola* (5/620)
 - *Ukraina na rozdrożu między Wschodem i Zachodem* (4/619)
 - *Ukraina przed wyborami prezydenta* (10/625)
 - *Ukraina w opałach bałkańskiej wojny* (7/622-8/623)
- „*Nasi sąsiedzi – nowe spojrzenie*” (11/626)
- PACHOLSKI Arkadiusz: *Cmentarz ukraiński w Kaliszu-Szczypiornie* (5/620)
- PRZEŁOMIEC Maria: *Krynica – polski atut wschodni* (11/626)
- STACH Andrzej: *Kronika niemiecka* (3/618, 7/622-8/623, 12/627)

O religii bez namaszczenia

- HOBAN Brendan, ks.: *Ostatni idealisci* (tłum. M. Owsianka) (9/624)
- MORAWSKI Dominik: *Watykan a prawosławie* (5/620)

- OWSIANKA M. (tłumacz) zob. Hoban Brendan, ks. (9/624)
- POSPIESZALSKI Antoni: *O Synodzie Europejskim, św. Augustynie i Leszku Kołakowskim* (12/627)
- *O wizycie Papieża w kraju – krytycznie* (9/624)
 - *Synod Europejski i nowe tysiąclecie* (10/625)
 - *Żnowu odpusty* (11/626)

Wywiady „Kultury”

- GAŁKOWSKI Adam: *UNESCO – klub dialogu odmiennych kultur* (Rozmowa z Wojciechem Fatkowskim) (7/622-8/623)
- GRZELA Remigiusz: *Dresy Wokulskiego* (Rozmowa ze Stefanem Chwinem) (6/621)
- KORASZEWSKI Andrzej: *Kontrola funduszy publicznych. Rozmowa z Januszem Wojciechowskim, prezesem NIK-u* (11/626)
- MONDRY Janusz: *W kierunku sprawnej armii...* (Rozmowa z dr. Paulem Latawskim) (12/627)
- NOWAKOWSKA Ewa: *Doktorant na przystanku* (Rozmowa z Piotrem Węgleńskim – nowym rektorem UW) (7/622-8/623)
- *Nie zaśniemy w PAN-ie!* (Rozmowa z prof. dr hab. med. Mirosławem Mossakowskim, prezesem Polskiej Akademii Nauk) (10/625)
- TORAŃSKA Teresa: *Rozmowa z Andrzejem Zakrzewskim, ministrem kultury i sztuki* (6/621)
- UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli i Warszawy. Kwestia kata* (Rozmowa z Adamem Michnikiem) (1/616-2/617)

Polemiki – Wolna Trybuna

- ALBRECHT Andrzej: *Cel uświęca środki* (5/620)
- BAUMGARTEN Karol: *Test dla Polski* (5/620)
- BONIECKI Jerzy: *Czy sądzić kata?* (3/618)
- ĆWIKAŁA Jerzy: *Liberalizm nie sprawdza się* (5/620)

K.B.: *Narastająca panika* (5/620)
SOLECKI Jerzy Witold: *Jeszcze o katastrofie komputerowej* (5/620)

Sprawy i troski

BONIECKI Jerzy: *Polskie niespodzianki* (1/616-2/617)
CZEKAJEWSKI Jan: *Bicie się w cudze piersi* (9/624)
DASZKIEWICZ Piotr: *Czy Polska kupi naukowe oszustwo?* (7/622-8/623)
DOMAŃSKI Walerian: *Po szesnastu latach* (1/616-2/617)
Drastyczna asekuracja (11/626)
DROBISZEWSKI Jerzy: *Dobrzy ludzie z nie lubianych narodów* (11/626)
GIEDROYC Jerzy, CHRZANOWSKI Andrzej: *Nowa afera* (4/619)
GRUSZCZYŃSKI Lesław: *Polish jokes* (9/624)
KORASZEWSKI Andrzej: *Bóle samorządności* (12/627)
– *Czy warto ratować spółdzielczość?* (10/625)
KURYLUK Ewa: *Amici di Tworki w Paryżu* (11/626)
MORAWSKI Dominik: *Polacy w oczach Włochów* (12/627)
NASIELSKI Adam: *Na równi pochyłej* (7/622-8/623)
POMIAN-SAADJIAN Joanna: *„Bo u nas w Polsce...”* (1/616-2/617)
REDAKCJA: *Nota* (1/616-2/617)

Ci, co odeszli

A.P.: *Mój prywatny święty – Michał Chmielowiec* (12/627)
GIEDROYC Jerzy: *Śmierć Przyjaciela – Benedykt Heydenkorn* (11/626)
KOŁAKOWSKI Leszek: *Jerzy Turowicz* (3/618)
KOMAR Michał: *Włodzimierz Sokorski* (7/622-8/623)
MALICKI Jan: *Paweł Czartoryski (21.V.1924-11.VIII.1999)* (10/625)
POMIAN Krzysztof: *Lebenstein: droga pod prąd* (11/626)
SIEDLAR KOŁYSZKO Teresa: *Jerzy Szwede* (6/621)
SKALMOWSKI Wojciech: *Jerzy Turowicz, 1912-1999* (3/618)

STACH Andrzej: *O Christianie Skrzyposzku* (7/622-8/623)
STROŃSKA Anna: *Nie lubię takich znaków* (1/616-2/617)
SZARUGA Leszek: *Odpowiedzialność* (6/621)
UNGER Leopold: *Ireny Szymańskiej śmierć bez frazesów* (7/622-8/623)
WOLICKI Krzysztof: *Jerzy Grotowski 11 VIII 1933 – 14 I 1999* (3/618)

Kronika kulturalna

(afz): *Fundusz im. Adama Mickiewicza* (3/618)
Bilans emigracji (3/618)
CHRZANOWSKI Tadeusz: *Co się dzieje z zabytkami w Polsce?* (9/624)
CZAYKOWSKI Bogdan (tłumacz) zob. Stankiewicz Władysław J. (6/621)
GŁOWACKA Renata: *Europejski Konkurs Fotografii. Rozmowa z Bogdanem Konopką* (3/618)
KERSKI Basil: *Lornetka Gombrowicza* (3/618)
Konkurs na powieść lub zbiór opowiadań (6/621)
KOTT Jan: *Grotowski i jego wiek* (4/619)
MASŁOWSKI Michał: *Obchody mickiewiczowskie we Francji* (3/618)
NOWICKA-JEŻOWA Alina: *Warszawskie spotkanie polonistów zagranicznych* (1/616-2/617)
Ogólnopolski Konkurs Literacki: Krzyż – Drzewo Kwitnące (9/624)
PACHOLSKI Arkadiusz: *Kim jest Mickiewicz* (4/619)
ROSTRON Magdalena: *Niech żyje angielski* (1/616-2/617)
SKÓRZYŃSKI Piotr: *Trzydzieści lat po śmierci Gombrowicza* (9/624)
STACH Andrzej, SZALONEK Witold: *Nagroda Śląska 1999* (7/622-8/623)
STANKIEWICZ Władysław J.: *Aforyzmy polityczne* (tłum. Bogdan Czaykowski) (6/621)
STANKIEWICZ Zygmunt: *O naturze czasu* (11/626)
SZARUGA Leszek: *„Inaczej, niżście to sobie wyobrażali?”* (5/620)
TABORSKI Bolesław: *Kontakt '99* (7/622-8/623)

- WERNER Andrzej: *Jan Bloch w Petersburgu* (4/619)
 WÓJTOWSKI Michał: *Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”* (12/627)
V Warsztaty Artystyczne im. Józefa Czapkiego (6/621)
VI Warsztaty Artystyczne im. Józefa Czapkiego (12/627)
VIII Wschodnia Szkoła Letnia – Studium Europy Wschodniej 1-22 lipca 1999 (4/619)

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- CHYLIŃSKA Kamila: *Dwie książki – nieposłuszne* (7/622-8/623)
 DANILEWICZ-ZIELIŃSKA Maria: *Z prac Biblioteki Polskiej w Paryżu* (12/627)
 DASZKIEWICZ Piotr: *Peruwiańska biografia Ernesta Malinowskiego* (11/626)
 FILIPOWICZ Halina: *Czy Adam Czerniawski był kochankiem Stanisławy Przybyszewskiej?* (10/625)
 FRAJLICH-ZAJĄC Anna: *Polki w literaturze amerykańskiej* (3/618)
 GRZELA Remigiusz: *Rozprawa z Krzywicką* (7/622-8/623)
 HALIKOWSKA-SMITH Teresa: *Wieloryb na bałtyckich piaskach* (3/618)
 HEYDENKORN Benedykt: *Ukraińcy w Kanadzie wobec Polaków i Polski (1914-1939)* (3/618)
 JANOWICZ Sokrat: *„Pan Tadeusz” po raz czwarty* (1/616-2/617)
 KATZ-HEWETSON Janina: *Jak było...* (3/618)
 KORASZEWSKI Andrzej: *Terror ekonomii* (4/619)
 KUPPER Eugeniusz: *Ruch teatralny* (3/618)
 LEITGEBER Witold: *Jules Huret – „De Hambourg aux marches de Pologne”* (12/627)
 ŁĘTOWSKA Ewa: *„W imieniu prawa”* (3/618)
 MUSZKOWSKI Krzysztof: *Pierwsze cztery lata ...* (7/622-8/623)
 – *Tysiąclecie w skrócie* (12/627)
Nadestane nowości wydawnicze (7/622-8/623, 9/624, 10/625, 11/626, 12/627)

- NETZ Feliks: *Błazen – wielki mąż* (4/619)
 NEUGER Leonard: *Poszukiwanie uchwytu* (7/622-8/623)
 PASTERNAK Andrzej: *Stosunki polsko-ukraińskie 1939-1947* (10/625)
 SCHLOTT Wolfgang: *„Księgozbiór przemysłników” Stempowskiego* (tłum. Leszek Szaruga) (5/620)
 SKWARNICKI Marek: *„Wartości w sztuce w czasach zamętu”* (10/625)
 – *Nacjonalizm chrześcijański w Trzeciej Rzeczypospolitej* (1/616-2/617)
 STACH Andrzej: *Autobiografia Marcela Reicha-Ranickiego* (11/626)
 STUDNICKI-GIZBERT Konrad W.: *Polska widziana z Nieświeża* (4/619)
 SZARUGA Leszek: *Być pisarzem* (5/620)
 – *Język zmiany* (10/625)
 – *Konserwatyzm konserwatywny* (12/627)
 – *Świadectwo liryki* (1/616-2/617)
 – *Uwikłany w historię* (11/626)
 – *Wstęp do rozmowy* (3/618)
 SZARUGA Leszek (tłumacz) zob. Schlott Wolfgang (5/620)
 ŚMIEJA Florian: *Pamięć świadka* (9/624)
 WALCZAK-DELANOIS Dorota: *Podróżowanie – Poszukiwanie – Pamiętanie* (5/620)
 WOLICKI Krzysztof: *Podsumowanie w antrakcie* (10/625)

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

- HOBAN Brendan, ks.: *Ostatni idealisci* przeł. M. Owianka (9/624)
 LAYTON Irving: *Dla 7515-0326* przełożył Kowal (6/621)
 STANKIEWICZ Władysław J.: *Aforyzmy polityczne* przełożył Bogdan Czaykowski (6/621)

Z języka niemieckiego

SCHLOTT Wolfgang: „Księgozbiór przemysłników”
Stempowskiego przełożył Leszek Szaruga (5/620)

Listy do Redakcji

BERBERYUSZ Ewa (5/620), BIERNACKI Andrzej (5/620), BONIECKI Jerzy (5/620, 12/627), CZERNIAWSKI Adam (3/618), DZIEWANOWSKI M.K. (5/620), GIERAT Ewa (10/625), GRYNBERG Henryk (3/618), HIŻ Henryk (11/626), HRABIEC Marian (5/620), MIANOWICZ Tomasz (5/620), MONDRY Janusz (3/618), MORAWSKI Dominik (6/621), PACZKOWSKI Andrzej (11/626), PIECZARA Mariusz J. (9/624), POMIANOWSKI Jerzy (5/620), ROSENBUSCH Adam (4/619), RUPP Kazimierz (12/627), SULIK Bolesław (9/624), WALICKI Andrzej (5/620), WANDYCZ Piotr S. (9/624), WIERZBICKI Zbigniew T. (9/624).

•
Odpowiedzi Redakcji (1/616-2/617, 3/618, 4/619, 5/620, 6/621, 7/622-8/623, 10/625, 11/626, 12/627)

Różne

Ankieta stypendium Kasy im. Józefa Mianowskiego (1/616-2/617)

B.H.: Kronika kanadyjska (1/616-2/617)

Kasa im. Józefa Mianowskiego (1/616-2/617)

Komunikat Komisji Stypendialnej Fundacji im. Stanisława Lama (6/621)

Komunikat Komisji Stypendialnej Fundacji im. Jana i Suzanne Brzękowskich (9/624)

Komunikat o stypendiach Fundacji Bankowej im. Leopolda Kronenberga i FPNLiNP (4/619)

Komunikat o stypendiach Fundacji Bankowej im. Leopolda Kronenberga (10/625)

Komunikat o stypendiach Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej (10/625)

Komunikat Ośrodka Kultury Polskiej przy Uniwersytecie Paris IV (12/627)

Nagrody (1/616-2/617, 6/621)

Nagrody Towarzystwa Demokratyczno-Społecznego (9/624)

Program „Trzy Biblioteki” (11/626)

REDAKCJA: Do Prenumeratorów i Czytelników „Kultury” (4/619, 5/620)

REDAKCJA: Sprostowania (3/618, 5/620, 7/622-8/623, 10/625, 12/627)

REDAKCJA: Wyjaśnienie... (5/620)

Stypendia naukowe Kasy Mianowskiego (7/622-8/623)

Uniwersytet Letni Kultury Polskiej – Rzym 1999 (3/618)

Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/616-2/617, 3/618, 4/619, 5/620, 6/621, 7/622-8/623, 9/624, 10/625, 11/626, 12/627)

Wpłaty na Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu (1/616-2/617, 3/618, 4/619)

WYCZAŃSKI Andrzej, DOWGIAŁŁO Jan: Fundacja „Polska Katedra w Uniwersytecie Jerozolimskim” – (Komunikat nr 6) (3/618); – (Komunikat nr 7) (11/626)

Wyróżnienia POLCUL Foundation (3/618, 9/624)

Biobibliografia

AMIEL Irit: Nota biograficzna (11/626)

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1999 (12/627)

LATAWSKI Paul: Nota biograficzna (12/627)

WĘGLEŃSKI Piotr: Nota biograficzna (7/622-8/623)

Wydawnictwa książkowe
Biblioteki „Kultury” w roku 1999

- Tom 507 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 128). Str. 224
 Tom 508 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 129). Str. 240
 Tom 509 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 130). Str. 240

Numery *Kultury*: styczeń–luty (1/616-2/617) i lipiec–sierpień (7/622-8/623) miały po stron 224, a numery: marcowy (3/618), wrześniowy (9/624) i grudniowy (12/627) po stron 176.

Dla orientacji czytelników podajemy spis zawartości *Zeszytów Historycznych* wydanych w 1999 roku:

ZESZYT 127: K. Jonca: *Postawa Niemiec w czasie wojny polsko-sowieckiej 1920 r.*; G. Mazur: *Między Stambułem a Lwowem. Z dziejów Bazy Łączności „Bey” w Stambule 1940-1941*; M. Christian: *Urząd Bezpieczeństwa w Nowej Hucie w latach 1951-52*; A. Grzywacz, M. Kwiecień: *Sikorszczycy kontra Sanatorzy 1939-1940. (Z dziejów konfliktów politycznych uchodźstwa polskiego)*; M. Jastrun: *Pamiętnik. Lwów (grudzień 1939 – grudzień 1941)*; M. Stępień: *Z notatnika*; I. Modelski: *List do gen. Sikorskiego*; A. Bocheński, A. Werner: *Jan Bloch (1836-1902)*; T. Wyrwa: *Wspólna droga Kajetana Morawskiego z Rogerem Raczyńskim. Wspomnienia*; P. Waingertner: *Zaolzie i Ruś Zakarpacka*; P. Daszkiewicz: *Francuska książka o Białowieży*; E. Kupper: *Wspomnienia gdańskiego Bówki. Nadstane nowości wydawnicze i LISTY DO REDAKCJI.*

ZESZYT 128: J. Stadnicki: *Mój pamięciowy obraz Oświęcimia*; P. Waingertner: *Dekompozycja środowiska „Naprawy” (1935-1937)*; M. Sworzeń: *Sędziowie w podbitym kraju*; J. Nowak-Jeziorański: *Zrabowane zasługi*; J. Jedd: *Wyjątki z przemówienia*; H. Świdarska: *Z dziejów polskiej prasy w Anglii*; J. Dunin-Horkawicz: *Jak szanować Litwę?* G. Motyka: *Ostro tak, ale czy zawsze prawdziwie?* Z.

Sroczyński: *Konspiracja krakowska 1939-1945*; S. Tamowicz: *Pluton łączności kanałami*; P. Wandycz: *Pożegnanie Aleksandra Gieysztor*; Z. Wystouch: *Pożegnanie Ojca*; G. Gömöri: *Świadectwo bujnego życia*; T. Wyrwa: *Stosunki polsko-fińskie w latach 1939-1941*; *Jak Niemcy oceniali w 1920 r. polskich dowódców?* *Apel Kościuszkowski*; H. Anders-Nowakowska: *Dwa listy do Brata*; M. Rudzki: *Architekci Juliusz Nagórski i Jan Łukasik w latach okupacji niemieckiej*; M.K. Dziewanowski: *Wybitni ludzie o jakich otarłem się*; J. Jankiewicz: *Kijowskie impresje*; *Nadstane nowości wydawnicze i LISTY DO REDAKCJI.*

ZESZYT 129: K. Pol: *Aleksander Lednicki (1866-1934)*; A. Grzywacz, M. Kwiecień: *Sikorszczycy kontra sanatorzy (ciąg dalszy)*; S. Mazurkiewicz: *Czy Radosław był postacią kontrowersyjną?* G. Wolfs: *Czy należało utworzyć Królestwo Polskie w listopadzie 1916 roku?* P. Wandycz: *Zagłada Drugiej Rzeczypospolitej 1945-1947*; P. Wandycz: *Na bezdrożach*; H. Szostakiewicz: *Wschodni sojusznicy Polski w wojnie 1920*; H. Szostakiewicz: *Obywatele ukraińscy w Polsce i w wojsku polskim*; J. Lewandowski: *Teczka Stalina*; J. Ciechanowski: *Powstanie warszawskie w oczach poety*; T. Wyrwa: *Profesor Henryk Batowski – nestor historyków polskich*; H. Kocój: *Bitwa pod Skoczowem*; A. Marton-Domeyko: *Prasa francuska o wizycie Piłsudskiego w Paryżu w 1921 r.*; J. i N. Dhombres: *Lazare Carnot w Polsce*; *Biuletyn Czeskiej Akademii Nauk*; *LISTY DO REDAKCJI.*

ZESZYT 130: A. Nowak: *Polityka „rosyjska” obozu Piłsudskiego w latach 1914-1918*; Grzegorz Mazur: *Polityka sowiecka na „Zachodniej Ukrainie” 1939-1941 (zarys problematyki)*; J.W. Solecki: *Unia, własność, sprawiedliwość*; T. Mianowicz: *Mniejsze zło. Taktyka PZPR w 1989 r.*; A. Rudzińska: *Mój KOR. Czerwiec 1976 – styczeń 1980*;

M. Bernhardt: *Byłem przymusowym ochotnikiem*; T. Wyrwa: *Monografia o Pawle Edmundzie Strzeleckim*; J.R. Krzyżanowski: *Powieść o Krystynie Skarbek*; K. Czyżewski: *Studium zniewolenia; Książki nadestane*; L. Gruszczyński: *Zjazd historyków we Wrocławiu*; J. Cisek: *Ame-rykański Legion dla Polski?* P. Daszkiewicz: „*Jeniec Polak*” w osiemdziesiątą rocznicę zakończenia działalności; P. Owczar: *Jeszcze raz Oświęcim*; M. Bornet: *Pierwsi żołnierze polscy w Rzymie w 1944 roku*; LISTY DO REDAKCJI.

Wydawca: **INSTITUT LITTERAIRE**

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: **Jerzy Giedroyc.**

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^{ème} trimestre 1999.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: **JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52
e-mail: kultura@club-internet.fr

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 2000			
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska , 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz , Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska , E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska , 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; Księgarnia Polska w Ottawie , Andrzej Lifsches , 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński , 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner , Buchexport-Import, Hessestr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel , Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung , 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek , Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska , 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski , 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore , 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa , Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books , 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika» , 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd. , 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska , 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. 18-228-56 W020 (z Francji)
lub C.C.P. 18-228-38 B020 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSLAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 509 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO TRZYDZIESTY

zawiera opracowania: A. Nowak: *Polityka „rosyjska” obozu Piłsudskiego w latach 1914-1918*; Grzegorz Mazur: *Polityka sowiecka na „Zachodniej Ukrainie” 1939-1941 (zarys problematyki)*; J.W. Solecki: *Unia, własność, sprawiedliwość*; T. Mianowicz: *Mniejsze zło. Taktyka PZPR w 1989 r.*; A. Rudzińska: *Mój KOR. Czerwiec 1976 – styczeń 1980*; M. Bernhardt: *Byłem przymusowym ochotnikiem*; T. Wyrwa: *Monografia o Pawle Edmundzie Strzeleckim*; J.R. Krzyżanowski: *Powieść o Krystynie Skarbek*; K. Czyżewski: *Studium zniewolenia; Książki nadesłane*; L. Gruszczyński: *Zjazd historyków we Wrocławiu*; J. Cisek: *Amerykański Legion dla Polski?* P. Daszkiewicz: *„Jeniec Polak” w osiemdziesiątą rocznicę zakończenia działalności*; P. Owczar: *Jeszcze raz Oświęcim*; M. Bornek: *Pierwsi żołnierze polscy w Rzymie w 1944 roku*; LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 55 F